

Igła w mrowisko
Lekarze dołączają do grona
szczepionkowych sceptyków → 20

Strącić pomnik z piedestału
O monumentach,
które można zabrać na spacer → 46

Kryzys jest super
Tak twierdzi łowca trendów
Jeremy Gutsche → 68

PRZE KRÓJ

nr 37 (3553), 16 września 2013, cena: 4,90 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Nie widzę skandalu

Małgorzata Szumowska
o swoim nowym filmie
„W imię...” → 6

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

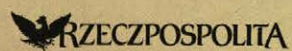
ISSN 0033-2488

9 770033 248304

37 >

INDEKS
371424


ebooki historyczne „Rzeczpospolitej”



Rotmistrz Pilecki – Tryptyk odwagi

Przez lata komuniści starali się zatrzeć pamięć o rotmistrzu, dokonując kolejnej zbrodni – tym razem w świadomości Polaków. Pamiętajmy prawdziwego bohatera narodowego, nieugiętego człowieka, najmężniejszego z mężnych żołnierzy II wojny światowej.



Pobierz e-booki historyczne „Rzeczpospolitej” na  rp.pl/ebooki

PRZE KROJ

NA POCZĄTEK

ZUZANNA ZIOMECKA



Są dwie wizje przyszłości. Jedną prezentuje Jeremy Gutsche, rozentuzjasmowany prorok wielkiego przyspieszenia rynkowego i korporacyjny trener innowacyjności, z którym wywiad publikujemy na s. 68. Z jego perspektywy jedyną drogą naprzód zapewnia głód nowości i wymiana europejskiego modelu wielopokoleniowych dynastii biznesowych na amerykański wyścig po trupach. To, jak na łowcę trendów, wizja wyjątkowo mało odkrywczą. Choć analizuje kłopotliwe pokolenie boleśnie wykluczonych z rynku millenialsów, dopasowuje je do swojej teorii postępu wykładniczego i osadza w roli przyszłych innowatorów, którzy dopiero zbierają się do ataku. Tymczasem coraz wyraźniej słychać zainteresowanie (może to tylko jęk wyczerpania) alternatywnym jutrem. Między innymi

coraz popularniejszy detoks cyfrowy, o którym pisaliśmy obszernie kilka wydań temu, to symptom rozwoju wahań, a nie wzrostowego. W tej wizji rozpędzony bączek rynkowy wyraca się i następuje korekta – zdrowsza dla człowieka i zbawienna dla planety. A może Jeremy to jednak widzi? W końcu jego serwis trendhunter.com stworzył niedawno siostrzany portal poświęcony w całości zjawisku social business, czyli nowym firmom, które zarabiają i jednocześnie działają społecznie. Sam prorok przyspieszenia przyznaje, chyba na wszelki wypadek, że wiąże z tą kategorią spore nadzieje. Nie będąc obarczona kontraktami z międzynarodowymi koncernami, dla których pracuje Jeremy, może śmieiej postawić swoje karty na tego niewyścigowego konia.

MARCIN PROKOP



Najfajniejszym bohaterem mojego ulubionego ostatnio serialu „The Big Bang Theory” jest niejaki Sheldon – facet, który kulturuje niezliczone neurotyczne obsesje. Coś à la Adaś Miauczyński z filmów Koterskiego, tyle że podniesiony do szczytów. Jednym z jego natręctw jest potrzeba nieustającego badania się pod kątem wszystkich możliwych i niemożliwych chorób, a ulubioną rozrywką – układanie równań na przewidywaną długość własnego życia, względnie komputerowa tomografia mózgu, której wyniki omawia potem z ekscytacją w towarzystwie. Sheldon chce zważyć, zmierzyć i skatalogować każdy kawałek swojego ciała, każdą życiową funkcję i jest w tym pragnieniu bardzo pocieszny.

Tyle tylko że Sheldon jest postacią z sitcomu, więc nikt nie zakłada, że ktoś tak groteskowy istnieje naprawdę. Błąd. Okazuje się, że od niedawna rośnie na świecie armia sheldonów – ludzi opętanych potrzebą monitorowania każdej swojej funkcji życiowej za pomocą zaawansowanych technologicznie gadżetów i tworzących społeczności zajmujące się wymianą tych informacji, kluby dyskusyjne itd. (s. 26). Niby świeży trend, a jednak myślę sobie: nihil novi. W Polsce od dawna wystarczy przejść się do dowolnej apteki albo usiąść w kolejce do lekarza, żeby spotkać podobną grupę zajawkowiczów, często w wieku emerytalnym. Niestety, nie jest to już tak zabawne jak Sheldon.

RACZKOWSKI



52



MATERIAŁY PRASOWE

AKTUALNOŚCI

- 6 → BOHATERKA TYGODNIA** W imię czego? Jej najnowszy film nosi tytuł „W imię...”. O wierze, ateizmie i otwartych księżkach z reżyser Małgorzatą Szumowską rozmawia Monika Brzywczy

GRUBE SPRAWY

- 20 → MEDYCYNA** Ryzykowne nakłuwanie. Szczepić dzieci na wszystko czy nie? Pisze Joanna Ćwiek
- 24 → EDUKACJA** Bezpieczne związki. Nad szkolną edukacją seksualną ubolewa Anna Wittenberg
- 26 → BIOTECHNOLOGIA** Wejść w buty boga. Ula Ryciak
- 30 → BIZNES** Kochanie, zróbmy sobie grę. Ola Wiechnik
- 34 → MOTORYZACJA** Koniec romansu. Anna Przybył
- 40 → AFRYKA** Pogodne piekło. Zimbabwe w obiektywie Tomka Michniewicza

KULTURA

- 46 → ZJAWISKO** Uwolnić pomniki! Miejsca pamięci w Polsce to kwestia wagi ciężkiej. Ale na szczęście są artyści, którzy próbują tchnąć w nie trochę życia - pisze Anna Sańczuk
- 52 → TANIEC** Tak, lubię patrzeć. Mike Urbaniak
- 58 → MUZYKA** Zmieniamy się my, zmienia się muzyka. Lider zespołu Múm, Gunnar Örn Tynes, o życiu i twórczości w rozmowie z Angeliką Kucińską
- 59 → MUZYKA** Recenzje. Winczewski o islandzkiej nowofolkównie Emilianie Torrini, Kucińska o nowym rockandrollowcu Pete Dohertym
- 61 → FILM** Recenzje. Chrobak o kinie, Nowakowska o TV
- 62 → LITERATURA** Recenzje. Węclawek, Kube, Ziemacki
- 64 → ZWIASTUN LITERACKI** Kod Leonarda. Fragment książki „Leonard Cohen. Jestem twoim mężczyzną” Sylwie Simmons



30

ROZMAITOŚCI

- 68 → BIZNES** Łowca nie śpi. Kto się cieszy z kryzysu? Łowca trendów Jeremy Gutsche, z którym rozmawia Zuzanna Ziomecka
- 72 → OD RZECZY** Pożądany brak czasu. O rzeczach, które pozwalają zaoszczędzić cenne minuty, pisze i koleżuje Franciszek Barwiński
- 74 → KRYMINAL** Ofiara dzwoni tylko raz. Janina Bilikowska i Marek Kozubal
- 76 → PIERWSZA PRACA** Trzeba wiedzieć, czego się chce. Z Martą Stachniuk rozmawia Patryk Chylewicz
- 78 → KUCHNIA** Nie tylko kłuska z dziurką. Aleksandra Czapla-Osliślo

- 80 → WINO** Zdrowe czy niezdrowe? Włosi czy Francuzi nie mają wątpliwości, ale tak naprawdę zdania o zdrowotnym wpływie wina są podzielone - twierdzi Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 17 → EWA WANAT** Żal do ojców, czyli zawsze możesz zwać na tatusia
- 18 → MAX CEGIELSKI** SZROT, czyli o płocie, przez który Wałęsa skakał albo nie
- 56 → MACIEJ NOWAK:** Felieton przedostatni, czyli o funeraliach

RACZKOWSKI



PRZEKROJ

RACZKOWSKI

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, 22 463 03 00, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@przekroj.pl
Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy (redaktor działu Kultura)
Redaktor działu Grube Sprawy:
Hubert Kropielnicki
Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarna
Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski, Kuba Dąbrowski, Aga Kozak, Angelika Kucińska, Jan Mirosław Katarzyna Nowakowska, Cezary Polak, Marek Raczkowski, Marianna Saska, Karolina Sulej, Sławek Szablowski, Mike Urbaniak, Jerzy Ziemacki
Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski
Fotoedycja:
foto@przekroj.pl, Dorota Majka-Czarnocka
Korekta: Dominika Stepien, Agnieszka Ujma
Projekt strony internetowej:
KRCMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski - p.o. Dyrektora Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska (p.berska@rp.pl)
Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69; fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57; reklamainfo@presspublica.pl;
Dyrektor Biura Sprzedaży Korporacyjnej Witold Trzcziński tel. 22 463 05 53
Dyrektor Działu Agencyjnego i Magazynów Filip Weichert tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.: Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy składać e-mailem: prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje: tel. 800 120 195; 22 463 00 87
Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803 lub 22 693 70 00 - telefoniczne Biuro Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18, www.prenumerata.ruch.com.pl; urzędy pocztowe
Prenumerata Elektroniczna (e-wydanie, wydanie na tablecie): tel. 801 15 15 15, e-mail: serwisypłatne@rp.pl
www.przekroj.pl
www.sklep.rp.pl
www.e-kiosk.pl
www.e-gazety.pl

Zdjęcie na okładce: Maciej Kluczyński



W tym tygodniu nie piszemy...

...o wspaniałym meczu, który nasza reprezentacja rozegrała z drużyną San Marino. Polacy zostali 12. drużyną, której 207. zespół rankingu FIFA strzelił bramkę w meczu o punkty. Są powody do buczenia.

...o tym, czego nie pokazał poseł Hofman podczas „delegacji” na Podkarpaciu, chociaż bardzo chciał. Bunga-bunga w Mielcu? Co nie mieści się w głowie, może się zmieścić w spodniach.

...o tym, że książkę William po siedmiu latach służby wojskowej idzie do cywila. Taką wstrząsającą informację ogłosił rzecznik prasowy Pałacu Kensington. Will będzie się teraz oddawał służbie monarchii, czyli pozowaniu do zdjęć, polowaniu na lisy oraz machaniu z karocy.

...o tym, że w posiadłości rodzinnej Williama, zwanej Wielką Brytanią, dochodzi do rewolucji. Po 500 latach sprywatyzowana zostanie brytyjska poczta. Według komunikatów rządowych prywatyzacja Royal Mail ma zapewnić firmie „zdrową przyszłość”. Naszym zdaniem to jest jednak chore.

...o heroicznym gestach Jarosława Gowina. Lepsza wielka schizma niż wieczna schiza.

...o kolejnym raporcie ONZ, który pokazuje poziom zadowolenia mieszkańców krajów z całego świata. Tym razem wskaźnik szczęścia badano w 156 państwach. Najgorzej wypadło Togo, najlepiej Dania. Polacy uplasowali się na 51. miejscu, czyli dwa oczka wyżej niż poprzednio. Optymizm to nasza cecha narodowa.

...o wyczynach Ryszarda Kalisza za kółkiem. Jazda 100 km/h w terenie zabudowanym w jego wykonaniu została uwieczniona na filmie nakręconym komórką przez innego „rajdowca”. I polityk, i autor nagrania złamali prawo. Nie ma się czym ekscytować.

...o Lechu Wałęsie. Chcielibyśmy, chcieli. Po prostu prezydent nie zgodził się na wywiad.

Celowo wsadza pani kij w mrowisko?

Nie odnoszę wrażenia, aby ten film był szalenie kontrowersyjny i obrazoburczy. Choć na pewno temat jest mocny sam w sobie. Ojciec dominikanin Paweł Głóżyński również za taki go nie uznał, wypowiadając się na ten temat w programie u Tomasza Lisa. Nie mogę teraz udawać, że zrobiłam szalenie ostry film, bo jak to ludzie zobaczą, to się zaśmieją.

Ksiądz okazuje się homoseksualistą, a na dodatek ze słabością do alkoholu. Kiedy się napije, tańczy z obrazem przedstawiającym papieża... Jestem pewna, że w Polsce to wywoła kontrowersje, zostanie odebrane jako obraza majestatu.

Pewne środowiska zawsze będą uznawać za obrazoburcze wszystko, co nie jest zgodne z ich punktem widzenia, ale to już zupełnie inna sprawa. Czy nie ma księży homoseksualnych? Czy nie ma księży ze słabością do alkoholu? Są tacy sami jak my wszyscy.

A konserwatywna część naszego społeczeństwa źle reaguje nie tylko na temat homoseksualizmu, ale też związków partnerskich, a nawet praw kobiet. Jeśli myślałabym tylko o tej publiczności, to nie bym w Polsce nie nakręciła. Ten nasz naród jest specyficzny, oburza się na rzeczy, które na Zachodzie na nikim nie robią już żadnego wrażenia. Gdybym tak do tego podchodziła, to w zasadzie każdy mój film był niewłaściwy: „Sponsoring” – „pochwała” prostytucji, „33 sceny z życia” – jak tak można opowiadać o rodzinie, o śmierci... Celowo kij w mrowisko to byłby film o księdzu, który molestuje chłopców.

No a tu ksiądz ma do czynienia z nastolatkami...

Nie, ci chłopcy są pełnoletni i zależało nam na podkreśleniu tego. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałam z kilkoma krytykami filmowymi, że tutaj nie ma pożądanego przez media skandalu. Pewnie prasa chciałaby tak to przedstawić, ale jeżeli ktoś pójdzie do kina i zobaczy

MAŁGORZATA SZUMOWSKA

ur. 1973 w Krakowie, reżyserka, scenarzystka, producentka filmowa. Córka dziennikarki Doroty Terakowskiej i Macieja Szumowskiego. Ukończyła reżyserię w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Zadebiutowała w 1996 r. etiudą „Zanim zniknę”. Zrealizowała m.in. „Ono” (2004), „33 sceny z życia” (2008), „Sponsoring” (2011) i „W imię...” (2013).

ROZMAWIA MONIKA BRZYWCZY

W imię czego?

Długo byłam osobą wierzącą. Potem odeszłam od religii, ale zostały mi w głowie rozmowy z księżmi. To byli świetni, bardzo otwarci ludzie. Bo katolicyzm, jak wiadomo, ma dwie odmiany... Tę otwartą i tę zamkniętą, radykalną – o swoim najnowszym filmie „W imię...” opowiada **Małgorzata Szumowska**.



film, to raczej nie wyjdzie, trzęsąc się z oburzenia...

Bodźcem do zrobienia tego filmu była historia z życia, z mediów wzięta.

Od dawna chciałam robić film o księdzu.

Dlaczego właśnie o księdzu?

Długo byłam osobą wierzącą. Potem odeszłam od religii, ale zostały mi w głowie rozmowy z księżmi. To byli świetni, bardzo otwarcy ludzie. Bo katolicyzm, jak wiadomo, ma dwie odmiany... Tę otwartą i tę zamkniętą, radykalną. Od dawna chodziła mi po głowie myśl, żeby opowiedzieć o tym, co dla księdza jest zakazane. O tęsknocie za miłością. W końcu impulsem stała się historia z mediów, o tym, że jakiś ministrant zamordował księdza. Były przypuszczenia, że to mógł być związek homoseksualny. Oczywiście podczas pisania scenariusza to ewoluowało, niewiele zostało z tamtej prasowej historii. Inną inspiracją był artykuł Romana Daszyńskiego w „Dużym Formacie” – zresztą dziękuję mu w napisach do filmu – o księdzu, który prowadził ognisko dla nastolatków... Wszystko to jednak tylko inspiracje i tropy, a film nie ma nic wspólnego z publicystyką.

Dawniej mówiła pani, że film jest autentyczny tylko wtedy, gdy opowiada o czymś, czego reżyser doświadczył na własnej skórze. W „Ono” i „33 scenach z życia” bliskość scenariusza i biografii jest oczywista. Ale już przy „Sponsoringu” i „W imię...” odchodzi pani od tej teorii?

No, jaką ja bym musiała mieć biografię, żeby ciągle robić według niej filmy! (śmiech).

O homoseksualizmie może pani opowiadać raczej z perspektywy outsidera.

Szczerze to nie bardzo widzę różnicę pomiędzy miłością homoseksualną a heteroseksualną. Tak samo opowiadałabym o faceciami i o babce.

Ale jednak świadomie zdecydowała pani, że to będą mężczyźni. To jednak zasadnicza różnica... Ksiądz i kobieta zdarza się od wie-

ków, wszyscy wiedzą. Ale ksiądz i chłopak to już poważne przekroczenie. Zresztą macie to na billboardach: „przełamujący tabu”.

Rzeczywiście w tym kraju takiego filmu nie było. Ja chyba lubię takie tematy. Proszę spojrzeć na „33 sceny z życia”. Ktoś umiera na raka, a rodzina przy łóżku śmieje się, żartuje. To przecież skandaliczne! Tak samo zaciekał mnie fakt, że prostytutki się dziewczyny nie widzą w tym nic zdrożnego. Podobnie miłość homoseksualna księdza jest

jak my, też kochają i mają do tego prawo. Szczególnie w kraju, w którym nie są szczególnie lubiani.

Bardziej niż to, co jest istotą tego filmu, czyli po prostu taka ludzka, egzystencjalna udreka człowieka samym sobą. Bo o tym jest przede wszystkim „W imię...” – o człowieku, który się strasznie męczy.

Otóż to. Powiem szczerze, słyszałam też zarzuty środowisk lewicowych, że to jest film słaby, za delikatny, za subtelny!

z Michałem Englertem, że to doskonała metoda pracy. Zupełnie inaczej się pisze, gdy zna się możliwości aktora, wie się, jak zagra.

Jak się im grało w tej mocnej scenie erotycznej kończącej film?

Szybko, sprawnie. Nakręciliśmy to w 30 minut. Co czuli, gdy to grali? Pewnie coś czuli, jakiś rodzaj zażenowania, ale dlatego scena jest mocna, działa.

Na planie „W imię...” z Andrzejem Chyrą i Mateuszem Kościukiewiczem.



ANNA WAWRZYCKA-ATACH

dla mnie tematem ciekawym, artystycznym. To nie jest tak, że ja chcę komuś nastąpić na odcisk.

Ksiądz mógłby się po prostu zakochać w dziewczynie.

Nie taką historię chciałam opowiedzieć. Zresztą są przecież homoseksualni księża. I nie widzę w tym nic dziwnego, choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że dla części naszego społeczeństwa ten temat nie istnieje. Może też chciałam pokazać, że homoseksualiści są tacy

Bo ksiądz jest człowiekiem czującym i myślącym?

Traktuję tę postać poważnie, podobnie jak wiarę. Nie wyśmiewam się z nikogo. To by było głupie.

Wybór Andrzeja Chyry do tej roli był oczywisty?

To było napisane dla Andrzeja! I dla Mateusza! W pewnym momencie też dla Mai Ostaszewskiej. Ostatnia wersja scenariusza powstawała z myślą o konkretnych aktorach. Odkryliśmy

Profesjonalnym aktorom na planie towarzyszyło wielu amatorów, skąd ich wzięliście?

Z okolicznych wsi, miasteczek, robiliśmy castingi, wieszaliśmy ogłoszenia. Dostałam wstępne nagrania, a potem dużą grupę zaprosiłam na taki callback.

Co musieli zrobić?

Nie! Gadaliśmy, poprosiłam, żeby coś powiedzieli ostrzej, żeby krzyknęli, grali w piłkę. A ja podglądałam. Wyłoniła się grupa ośmiu chłopaków, którzy zachowywali się najbardziej naturalnie.

Spędzili tydzień z naszymi aktorami i dopiero potem zaczęły się zdjęcia.

Jak się z nimi pracowało? Chyba pierwszy raz w pani filmie była aż tak duża grupa naturalszczyków?

W moich filmach zawsze było ich sporo. Lubię pracę z naturalszczykami, są o wiele bardziej naturalni niż aktorzy. Jeśli potrafisz dobrze poprowadzić amatora, to efekt bywa lepszy niż z aktorem. Naturalszczyk ma wielką moc, prawdę ekranową. To jest to, czego często brakuje polskiemu kinu, polskim aktorom. W następnych filmach też będę mikсовать aktorów z naturalszczykami.

Postać, którą gra Mateusz Kościukiewicz, nazywa się Dynia. Dlaczego?

Sam to wymyślił. Czytał akurat książkę „Życie i czasy Michaela K.” Coetzeego. Tam jest taki autystyczny bohater, który nie mówi, tylko coś tam hoduje. I Mateusz, w ramach przygotowań do roli, zasadił sobie dynię. W rezultacie wszyscy na planie zaczęli na niego wołać „Dynia”.

On też w filmie praktycznie nic nie mówi.

Gra chłopaka ze wsi i myślę, że byłoby mu trudno wypowiadać się tak, jak ci chłopcy. A poza tym co oni niby mieliby mówić do siebie? Spodobał nam się pomysł, że to się rozgrywa bez słów.

Gdzie kręciliście? Słyszałam, że nazywaliście to miejsce...

„Nigdzie” albo „Nigdzie”. To taka Polska B albo nawet D. Mazury, ale nie turystyczne, tylko te biedne, dzikie. Trochę nam się to kojarzyło z Arizoną, z Ameryką.

Dosyć długo film nosił nazwę „Nowhere”, ale w końcu stanęła na „W imię...”. Czemu?

To był tytuł roboczy. Ale co znaczy „Nigdzie”? Takie pytanie mi zadał mój agent sprzedaży światowej. Przecież film dzieje się w Polsce, na wsi. Mieliśmy na początku scenariusza takie motto „In nomine patris...” i to się spodobało. Każdy sobie może dodać do tego co chce: w imię miłości, wiary czy jeszcze czegoś innego.

Film był długo montowany, Jacek Drosio podobno spędził nad nim niemal rok.

Czemu tak długo?

Wszystkie moje filmy tak powstają. Daję sobie czas, lubię robić film w swoim tempie. A filmowcy często się spieszą, żeby zdążyć na taki czy inny festiwal, na Gdynię na przykład. My najpierw robimy pierwszą wersję filmu, oglądamy, widzimy, że to jeszcze nie to. Odkładamy na miesiąc, dwa i dopiero wtedy wiemy, co trzeba poprawić. Zdarzają się dokrętki po roku! Tak było też w tym przypadku. Ogromna w tym rola i zasługa Jacka Drosia właśnie, który jest mózgiem całego filmu na tym ostatnim, najważniejszym w sumie etapie.

Trzeba czasu...

Tak! Gdy słyszę, że ktoś robi film i za trzy miesiące on ma być gotowy, to wiem, że ciężko będzie zrobić coś przemyślanego. My pracujemy w swoim wolnym tempie i nie odpuszczamy, czelujemy sprawę do końca.

Od planu „W imię...” minął już chyba rok.

No, ze dwa lata już będzie.

W tym czasie została pani po raz drugi mamą. To takie świadome zwolnienie tempa?

Oj nie, ja cały czas coś robię. Już napisaliśmy kolejny scenariusz z Michałem Englertem. Mam nadzieję, że zrealizujemy go zimą. Piszę kolejny. Mam podpisany kontrakt z Francuzami. A w międzyczasie jeszcze były premieiry „W imię...” na Berlinale, w Londynie... Ten film sprzedał się do wielu krajów: do Francji, Niemiec, Stanów, więc ciągle coś się wokół niego dzieje i ciągle gdzieś z nim jadę.

O to chciałam spytać. To się nieczęsto polskim filmowcom udaje. Pani ma tę umiejętność obracania się w środowisku filmowym, pozyskiwania koproducentów i sprzedawania filmów na świecie.

Jak to się robi?

Przed wszystkim trzeba zrobić dobry film! Inaczej cała znajomość maszyny filmowej na nie!

No pewnie. Ale też znajomość tego filmowego know-how jest ważna. Jak się tego nauczyć?

Mi na początku drogi bardzo pomógł Stefan Laudyn, który, gdy miałam 25 lat, poradził, żeby wysłać „Szczęśliwego człowieka” na festiwal. Wziął go też na zamknięcie Warszawskiego Festiwalu Filmowego. Był wtedy chyba jedyną osobą w Polsce, która orientowała się w tych strukturach międzynarodowych. I nadal w tych tematach raczkujemy. Polscy filmowcy zazwyczaj nie mają agentów sprzedaży światowej. Ja czy Tomek Wasilewski jesteśmy w tej kwestii wyjątkami, oczywiście nie licząc wielkich nazwisk, jak Agnieszka Holland. To, że moje filmy firmuje Memento Films, daje mi stempel jakości. Ale nadal uważam, że pierwszą rzeczą jest zrobić dobry film, a dopiero na drugim miejscu odnaleźć się w strukturach, zresztą nie ma odwrotnej drogi. Na Berlinale zgłasza się 7 tys. filmów, a tylko 18 trafia do konkursu głównego. I jakie one muszą spełniać kryteria...?

„W imię...” się dostało. Ostatnio polski film w konkursie był ze 20 lat temu! Sukces!

No tak. Ale film musi być przede wszystkim dobrze zrobiony, a potem jeszcze pewnie spełnić jakieś wymogi, oczekiwania... Coś mówić o kraju, w którym powstał, a równocześnie przenieść jakąś myśl uniwersalną, zrozumiałą wszędzie.

Gdyby miała pani coś doradzić tym, którzy dopiero zaczynają?

Dobrym przykładem jest Tomek Wasilewski. Jest nagradzany na zagranicznych festiwalach, ma agenta sprzedaży. Nie miał dotacji, pieniędzy, zrobił film za grosze, nie zrażając się niczym. Poruszył trudny temat. Więc ludziom, którzy chcą robić filmy, mogą tylko życzyć takiego totalnego samozaparcia.

Wróćmy jeszcze na chwilę do macierzyństwa. Pani nie jest przecież zwolenniczką rodziny w klasycznym tego słowa znaczeniu. Broni się pani przed tym momentem, w którym coś

kostnieje, staje się przewidywalną codziennością...

O nie! Jestem wielką zwolenniczką rodziny. Nie wyobrażam sobie życia bez niej. Rodzina to takie miejsce, do którego uciekam przed światem. Dom, dzieci... Gdy mówię o rodzinie negatywnie, mam na myśli ogólnie panujący, przyjęty model. Że rola kobiety jest taka, a mężczyzny taka. Ja uważam, że role powinny się zmieniać. Nie mam nic przeciwko temu, że mężczyzna przejmuje rolę kobiecą, a potem znów się możemy wymienić.

Wszystko płynie?

Nie wiem, czy płynie, raczej w równowadze. To samo dotyczy opieki nad dzieckiem, nie widzę żadnego powodu, by mój partner, mój mąż, nie zajmował się na full etat dziećmi. Jeśli ja jestem zajęta, to on może mnie w tym zastąpić. Ale nie oszukujmy się, utrzymać związek w ogóle nie jest łatwo, to zawsze praca.

A fajniej być mamą po przerwie, po raz drugi?

Pewnie. Z perspektywy czterdziestoletniej zupełnie inaczej na to patrzę, może mniej niefrasobliwie. Fascynuje mnie przyglądanie się człowiekowi, który wszystkiego się uczy: mówienia, chodzenia, siadania. Niechętnie rozstaję się z Aliną, żeby to obserwować, nie przegapić.

I te pieluchy, wózki, kupki nie są udupiające?

Nie są, bo jak chcę iść na kawę, to idę. Nie pakuję się godzinę przed wyjściem, jak zapomnę pieluchy, to podejść do takiej mamy jak ta, co tu siedzi z wózkiem, i zapytam, czy mi pożyczyc... Nie obciążam się nadmiernie logistyką macierzyństwa. Mam jeden tani wózek, nie kupuję ton drogich przedmiotów, staram się ograniczać.

Czterdziestka da się znieść?

No pewnie. Zresztą u mnie dopiero się wszystko zaczyna. Zrobiłam już pięć filmów fabularnych, to nieźle, ale to dopiero początek. Reżyser swoje najlepsze filmy kręci między 40. a 60. rokiem

życia, kiedy już jest dojrzały. Wszystko więc jeszcze przede mną.

Nie to, co w przypadku aktorek... Kiedy w panice obserwuje się pojawianie zmarszczek... Lubię zmarszczki! Jestem zwolenniczką zmarszczek! I bardzo mi w Polsce brakuje interesujących twarzy ze zmarszczkami. U nas się je bezwzględnie odmładza, ztraca się wiek, a przecież fajnie jest wyglądać na tyle lat, ile się ma! Oczywiście można mieć energię, czuć się młodo. Jak spotykam Andę Rottenberg na imprezach w trampkach i z papierosem w ustach

to mam wrażenie, że spotykam nastolatkę. Ona ma wciąż swoją twarz i jest piękna.

Kobiety w polskim kinie chyba nie mają lekko?

Nie. Ale muszę powiedzieć, że ja się czuję dość obojętnie. Nie dzielę ludzi na mężczyzn i kobiety. Oczywiście, jeśli chcę być political correct, to myślę tymi kategoriami i wtedy też widzę, że w Polsce trudniej jest być kobietą niż we Francji, zdarza się, że mam poczucie, że nie do końca jestem traktowana serio. A ja, jak na swój wiek, mam na-

prawdę duży dorobek. A że jeszcze jestem kobietą, która ma odwagę zmieniać swoje życie prywatne... To już w ogóle stawia mnie w jakimś niewłaściwym świetle. Gdybym tak była starszym facetem, w polarze i w okularach, to chyba byłabym lepiej postrzegana (śmiech).

Zdarzają się trudne momenty na planie, z ekipą, która w dużej mierze składa się z facetów?

Nie! Myślę, że mam szacunek ze strony mojej ekipy. Pracuję ze swoimi dobrymi przyjaciółmi.

No właśnie, tak się o pani ekipie mówi, że to jedna wielka rodzina. Jest w niej też dwóch byłych pani partnerów. To ewenement – utrzymać przyjaźń, współpracę po zakończeniu związku.

Związek to jest przede wszystkim przyjaźń. Tak mi zawsze mówili rodzice. Jeśli się nie przyjaźnimy, to nie ma związku. To chyba najlepszy dowód na to, że to były przyjaźnie, które będą trwały. Przyjaźnie artystyczne, bo mamy podobny gust, podobnie czujemy i chcemy ze sobą pracować.

Film „W imię...” trafi do kin 20.09.



ANNA WAWRZYTKA-ATACH

LITERATURA

10x10x10

Dziesięć osób ze świata kultury i polityki będzie czytać książki dziesięciu europejskich autorów w dziesięciu punktach Wrocławia. Pod hasłem „Jedna noc – wiele doświadczeń” uczestnicy Nocy Literatury wyruszą 21 września w podróż po krajach europejskich, z których wywodzą się pisarze i bohaterowie ich powieści. Atrakcją nocy będzie „Czytanie w ciemności” opublikowanej w 1975 r. „Kartoteki” Thomasa Bernharda. Czytanie we wszystkich miejscach rozpocznie się o godz. 18.00 i będzie się odbywało co pół godziny przez 15 minut do 22.30.

Więcej na www.literaturenights.eu/2013 → eb

TECHNOLOGIE

Złoty iPhone 5

Apple pokazał światu dwa nowe modele iPhone'ów – 5C oraz 5S. Wersja 5C będzie miała plastikową obudowę i będzie przypominać poprzedni model, choć z udoskonalonymi kamerami, lampą i większym akumulatorem. W najtańszej wersji w USA ma kosztować 549 dol. 5S będzie miał z kolei obudowę aluminiową w nowych kolorach: srebrnym, szaroczarnym i złotym. Flagowy model działa z 64-bitowym systemem operacyjnym oraz ma specjalny procesor interpretujący dane z czujników ruchu. Najważniejszą nowością ma być czytnik linii papilarnych w przycisku Home. Cena w Stanach – 649 dolarów. W Polsce do kupienia w grudniu. → kru



Z ARCHIWUM OFICYJNY LITERACKIEJ NOIR SUR BLANC

LITERATURA

Mrozek niewydany

Wszyscy jesteśmy z Mroźka, bo to jego oczami patrzymy na absurdy polskiego życia, ale także jemu zawdzięczamy dystans do siebie i zdolność do autoironii. Mówimy i myślimy Mroźkiem. Jego opowiadania, sztuki teatralne i rysunki mają wpływ na indywidualną i zbiorową wyobraźnię Polaków. Wkrótce ukaza się dwie książki, których publikację planowano jeszcze za życia autora. Noir sur Blanc wyda 17 października zbiór rysunków „Mrozek w obrazach”, a Wydawnictwo Literackie zapowiada na 14 listopada pierwsze wydanie korespondencji Sławomira Mroźka ze szwedzkim intelektualistą Grunarem Brandellem: „Listy 1959–1994”.

170 wybranych przez Noir sur Blanc rysunków Mroźka pochodzi z różnych okresów jego twórczości, z wcześniejszych publikacji książkowych i praso-

wych – w „Rzeczpospolitej” i w „Gazecie Wyborczej”.

– Dawno nie było już książki z jego rysunkami, więc planowaliśmy ją jako niespodziankę i benefis dla Mroźka. Myślę, że by się z niej ucieszył – mówi Maria Raczkiewicz, redaktorka tomu „Mrozek w obrazach”. Wybieraliśmy rysunki ponadczasowe, starając się, żeby nie dotyczyły czysto peerelowskiej minionej rzeczywistości, ale spraw uniwersalnych, nadal żywych i aktualnych. Nie dzielimy ich chronologicznie czy tematycznie, np. kobiety, alkohol, sprawy duszy czy sprawy damsko-męskie, ale przeplatamy wątki, bo Mrozek komentował wszystkie dziedziny życia.

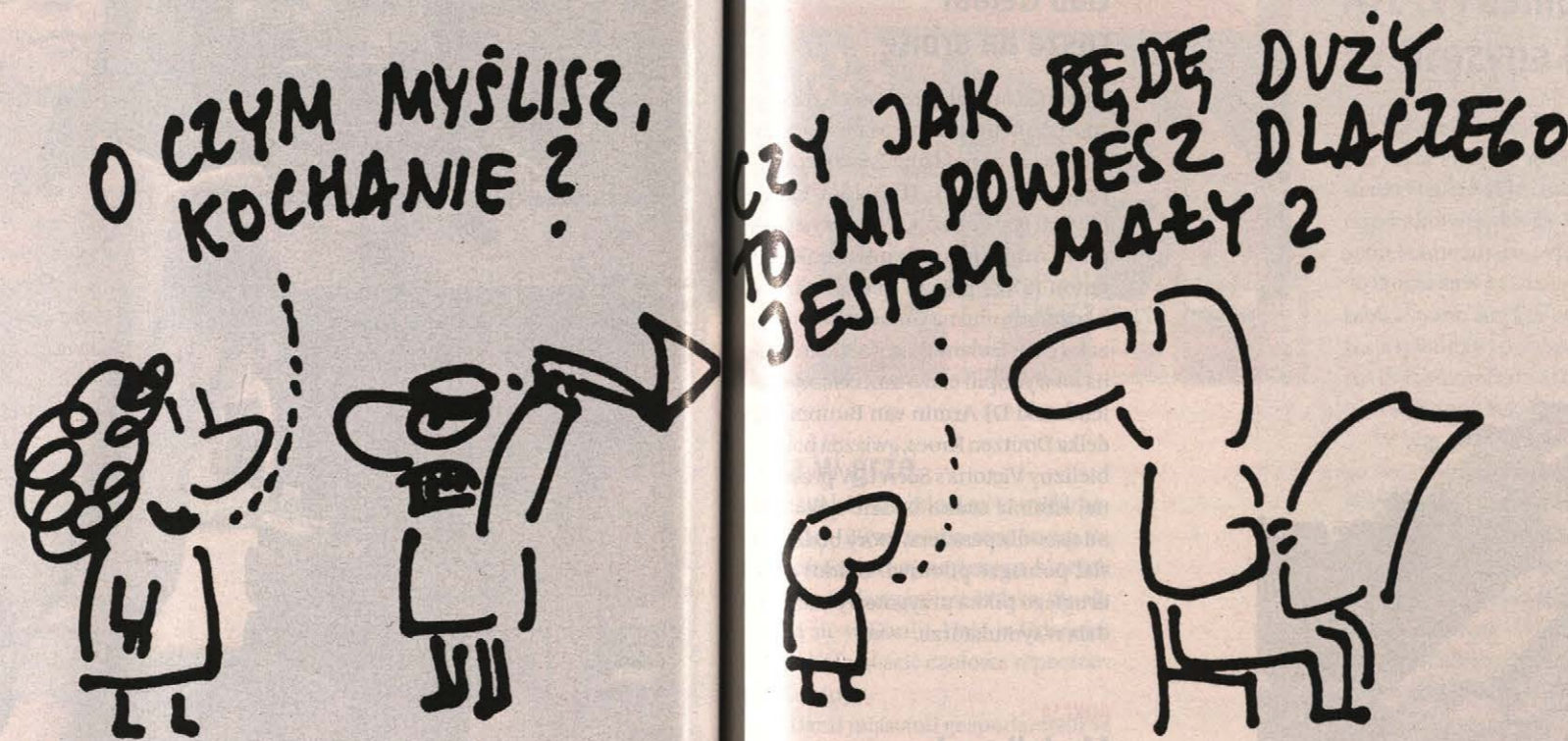
Sławomir Mrozek miał 28 lat, gdy w 1958 r. poznał w czasie rejsu przez Ocean Atlantycki na pokładzie statku

„United States” 42-letniego Gunnara Brandella, cenionego szwedzkiego literaturoznawcę, profesora literatury w Uppsali, szefa działu kulturalnego czasopisma „Svenska Dagbladet”. Wspólny rejs do Nowego Jorku przetrwał się w 35-letnią przyjaźń aż do śmierci Brandella w 1994 r.

– Obaj byli zaproszeni na seminarium literackie pod patronatem Henry'ego Kissingera na Harvard University – opowiada Anna Zaremba-Michalska, prezes Wydawnictwa Literackiego. Przyjaźń, która się wówczas między nimi zawiązała, przetrwała dziesięciolecia. Doskonale się rozumieli i mieli do siebie o czym pisać: o życiu literackim, edukacji i polityce Polski i Szwecji wobec pisarzy, o opowiadaniach i dramatach Mroźka. Brandell starał się, aby doszło do inscenizacji „Indyka” w re-

alizacji jego syna, pisał o twórczości Mroźka i optował za jego kandydaturą do Nagrody Nobla.

– Korespondencja ta zawiera także dużo szczegółów prywatnych. Jest tam m.in. jeden list wręcz wstrząsający, dotyczący bardzo osobistych spraw Mroźka, ale na razie niczego więcej nie zdradzę. Początkowo Mrozek nie był zwolennikiem wydawania swojej korespondencji, podobnie jak i „Dzienników”, ale z biegiem czasu zmienił zdanie i pomagał nam przy ich redagowaniu. Przekazał Wydawnictwu Literackiemu duży zbiór korespondencji, więc nie poprzestaniemy na pewno na tomie z Brandellem. Mamy jeszcze materiał na kilka następnych, m.in. z listami do Kazimierza Dejmka i Konstantego Pużyny – mówi Anna Zaremba-Michalska. → Monika Kuc



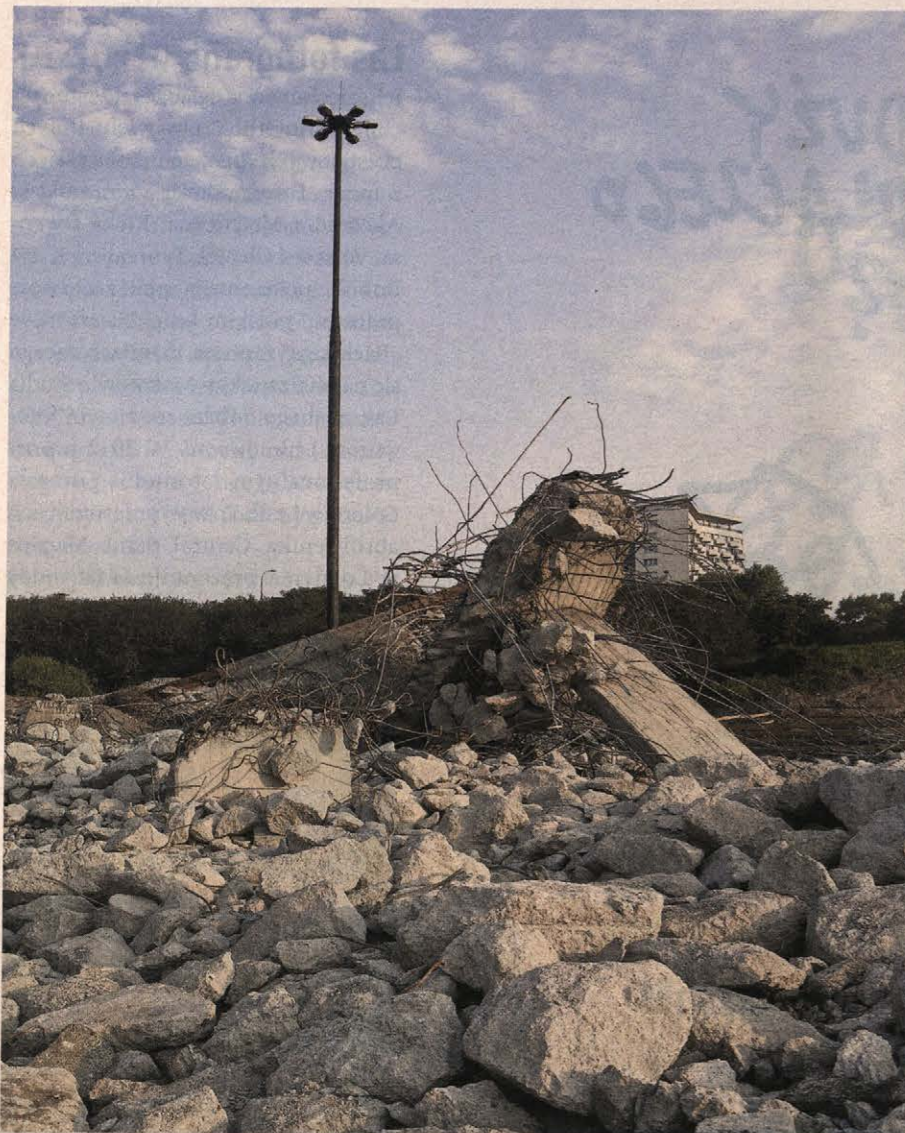
WYSTAWA

Las fotografii

Jej zdjęcia można oglądać w „Vogue'u”, „Elle”, „AnOther” i w wielu innych prestiżowych pismach kojarzonych z modą. Fotografowała m.in. pokazy Alexandra McQueen, Ricka Owensa, Versace i Chanel. Tym razem Kasia Bobula postanowiła pokazać swoje prace w... polskim lesie. Na wystawę „Backstage” zaprasza do mieszczącego się na warszawskim Mokotowie Studia Las, znanego dobrze rodzimym fotografom i filmowcom. W 2012 r. przy profesjonalnym fotostudiu powstała Galeria w Lesie. To w jej przestrzeniach absolwentka Central Saint Martins w Londynie prezentuje świat mody



„od podszewki”. – Zdjęcia Kasi Bobuli, mało znane w Polsce, lecz bardzo popularne za granicą, zauroczyły nas malowniczym charakterem. Kasia pokazuje świat zza kulis pokazów mody w niepowtarzalnie emocjonalny sposób, jej prace wyglądają jak kadry z filmów Felliniego – mówi Robby Cyron, kurator ekspozycji. Koniecznie! Wystawa potrwa do 14 października, więcej na www.gwl.art.pl → eb



MACIEJ STĘPIŃSKI TRASA, 2013 LAMBDA 72X90 CM

SZTUKA „Tu rośnie dom, tam rośnie dom...”

„W ciągu ostatniej dekady obraz Warszawy uległ przemianom: z przeoranego miasta stała się może jeszcze nie piękną, ale z pewnością interesującą metropolią” – czytamy w zapowiedzi wystawy „Zdjęcie Miasta. Fotografia warszawska i praktyki pokrewne”, którą od 20 września będzie można oglądać w Hali Warsztatowej Nowego Teatru. Stolica zrujnowana w czasie wojny wstaje z kolan. Ciągłe panuje w niej bałagan, jak to na placu budowy, ale projektowane i stawiane w XXI wieku budynki sprawiają, że jest jednym z najnowocześniejszych miast

w Europie. Artyści – klasycy i współcześni – utrwaliли kolejne etapy tej przemiany. Nazwiska twórców, których prace zgromadził na wystawie jej główny kurator Adam Mazur, robią wrażenie. Zbigniew Dłubak, Zofia Chomętowska, Nicolas Groszpiere, Szymon Rogiński, Kuba Dąbrowski, Aneta Grzeszykowska, Maciej Stępiński (zdjęcie powyżej), Zbigniew Libera, Ewa Partum... To będzie wydarzenie! Wystawę uzupełniają m.in. filmy Akademii Ruchu, neon autorstwa Maurycego Gomulickiego oraz mural Moniki Zawadzki. Szczegóły na www.nowyteatr.org. → Edyta Borkowska

KOSMOS

Bob Geldof rusza na orbitę

Irlandzki muzyk, biznesmen i działacz społeczny poleci w kosmos w 2014 r. Za miejsce na pokładzie statku kosmicznego Lynx Mark II Geldof zapłacił ok. 100 tys. dolarów. Wykorzystywany przez firmę Space Expedition Corporation (SXC) pojazd będzie startował z kosmodromu na Curacao, terytorium zależnym Holandii na Karaibach. Bilet na lot wykupili także inni celebryci: holenderski DJ Armin van Buuren i modelka Doutzen Kroes, gwiazda pokazów bielizny Victoria's Secret. W przeszklonej kabinie statku będzie tylko jedno miejsce dla pasażera, który będzie musiał pomagać pilotowi. Geldof do roli drugiego pilota przygotowywać się będzie w symulatorze. → kru

AUKCJA

Modelka z brązu

Jest piękna, przed kamerą zmienia się jak kameleon. „Nic nie smakuje lepiej niż poczucie, że się jest chudym” – to wypowiedziane przez nią zdanie wywołało oburzenie wśród rodziców, których dzieci chorują na anoreksję. Kate Moss teraz jest bohaterką aukcji, a nie skandalu. Przedstawiają ją zdjęcia – pozowane i te zrobione w biegu – obrazy, rzeźby, kolaże i gobeliny wystawił dom aukcyjny Christie's. Wybrane przez kuratora Gerta Elferinga prace można oglądać na www.vogue.co.uk. Galerię otwiera wykonany w 1993 r. przez Alberta Watsona portret modelki w podartej woalce i posagowa Kate Moss Allena Jonesa z 2013 r. Licytować można od 25 września. → eb



JAKUB ARTYS ARCH. ORLEN

SPORT

Pilka w grze

Kibice siatkówki czekali na to wydarzenie 65 lat – 20 września rozpoczyna się mistrzostwo Europy mężczyzn, których współgospodarzem jest Polska (finały odbędą się w Danii). Hale w Gdańsku i Gdyni będą gościć czołowe reprezentacje Europy.

W Danii miastami gospodarzami są Odense, Herning, Aarhus i Kopenhaga. W Gdańsku zagrają zespoły grupy B, wśród nich Polska, która jest jednym z faworytów turnieju. Zawodnicy trenera Andrei Anastasiego zmierzą się ze Słowakami, z Francuzami i Turkami. Cel drużyny jest jasny – powtórzyć sukces z 2009 r., tak by kibice zapomnieli o niepowodzeniu na londyńskich igrzyskach.

Cztery lata temu polscy siatkarze zostali mistrzami Europy, teraz na początku września wygrali odbywający się w płockiej Orlen Arenie Memoriał Huberta Jerzego Wagnera – turniej o bardzo silnej obsadzie. Poza Polską grały w nim zespoły, które wkrótce będą walczyć o prymat w Europie – Rosja, Niemcy i Holandia. Optymizm jest więc uzasadniony.

Polacy swój marsz do podium rozpoczną 20 września o 20.30 meczem z Turcją. 16 drużyn, 40 spotkań, transmisje w Polsce – sponsorzy i kibice na pewno się nie rozczarują. Polscy siatkarze zapowiadają, że na własnych parkietach nie sprawią zawodu.

→ Maksymilian Radziwiński

MODA

Art & Fashion Festival by Grażyna Kulczyk

Zna się na modzie jak mało kto i ma świetny gust. Na pokazach siedzi w pierwszym rzędzie i jest autorem kultowego bloga The Sartorialist. Scott Schuman (na zdjęciu) przyjedzie do Poznania w październiku, by poprowadzić warsztaty Fashion Styling (stylizacja w modzie) podczas siódmej edycji Art & Fashion Festival by Grażyna Kulczyk w Starym Browarze.

W tym roku w czasie poznańskiego święta mody odbędzie się siedem warsztatów – oprócz Scotta Schumana poprowadzą je m.in. twórcy lotewskiej marki Mareunrol's, ilustratorka Magda Antoniuk, projektantka biżuterii Anna Orska i muzyk Wojtek Mazolewski. – Wszystkie przedsięwzięcia, w które angażuje się twórczyni festiwalu Grażyna Kulczyk, to projekty, które mogą równie dobrze funkcjonować zarówno w Poznaniu, jak i Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie. Dotyczy to także warsztatów festiwalowych – mówi Basia Metel-

ska, kuratorka wydarzenia. – Ich nowatorska tematyka, intensywność, dobór i klasa prowadzących, a także formuła, w której koszty ponosi organizator, nie uczestnik – długo by szukać na tym polu podobnych projektów edukacyjnych. Warsztaty dają młodym ludziom możliwość zetknięcia się z profesjonalistami, ludźmi odnoszącymi sukcesy. To często osoby, których nigdy nie mieliby szansy spotkać, nie mówiąc już o pracy z nimi czy dla nich – zaznacza kuratorka. Ci, którzy dostaną się na warsztaty, będą mogli sprawdzić, czy prawdziwy świat mody jest zgodny z ich wyobrażeniami o nim. Rekrutacja wystartowała na początku miesiąca i potrwa do 29 września. Na każdy warsztat dostanie się sześć osób. Na laureatów czeka m.in. kurs w Central Saint Martins College of Art & Design w Londynie.

Tegoroczna edycja Art & Fashion Festival by Grażyna Kulczyk odbędzie się od 8 do 20 października. → eb



GARANCE DORÉ

OCHRONA ZDROWIA

Infrastruktura parku zdrojowego

Korzystając z pieniędzy unijnych, gmina Rabka-Zdrój zyskała infrastrukturę uzdrowiskową w parku Zdrojowym w postaci pijalni, tężni solankowych i muszli koncertowej. Pijalnia to „okrągłak” z główną salą dla kuracjuszy, a także ladą do wydawania wody, zapleczem i pomieszczeniami socjalnymi. Tężnia ma również cylindryczny kształt. Ze znajdującego się pod spodem zbiornika solanka jest podawana perforowanymi rurami na szczyt i kiedy opada, zrasza tarninę. W ten sposób wewnątrz pawilonu powstaje solankowy aerozol. Z tężni można korzystać wewnątrz i na zewnątrz. Wyremontowano też budynek kiwajki (pompy wydobywającej solankę z głębokości 440 m), a także amfiteatr zdrojowy z muszlą koncertową i miejscami dla 640 osób. Dzięki inwestycji poszerzono ofertę rekreacyjną miasta. Poprawił się też komfort osób korzystających z leczniczych funkcji uzdrowiska. → ośa



Rabka-Zdrój,
park Zdrojowy

Rozwój szpitala dziecięcego w Krakowie

Uniwersytecki Szpital Dziecięcy w Krakowie wzbogacił się o centralny blok operacyjny ze sterylizatornią i oddziałem intensywnej terapii. Jego budowę współfinansowano z regionalnego programu operacyjnego Małopolski na lata 2007–2013. Za dotację z Unii Europejskiej powstał nowoczesny budynek z sześcioma salami operacyjnymi i oddziałem intensywnej terapii oraz centralną sterylizatornią. Budowa bloku zdecydowanie poprawiła jakość opieki medycznej nad małymi pacjentami oraz komfort pracy personelu medycznego. → ośa

KULTURA

Małopolski ogród sztuki

Dzięki dotacji z małopolskiego regionalnego programu operacyjnego na lata 2007–2013, którą otrzymał Teatr im. Juliusza Słowackiego, w centrum Krakowa powstał Małopolski Ogród Sztuki. Jest to wielofunkcyjny, nowoczesny budynek, w którym spotykają się artyści, twórcy i miłośnicy

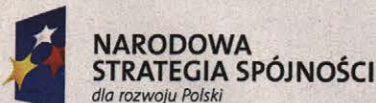
działań artystycznych. Dzięki wykorzystaniu nowoczesnych rozwiązań technicznych ogród pozwala na łączenie rozmaitych dziedzin nowoczesnej sztuki. Główna część budynku to wielofunkcyjna sala teatralno-koncertowo-konferencyjna z wejściem przez foyer. Ściany dzielące obydwie pomieszczenia można też rozsunąć i zyskać jedną dużą przestrzeń artystyczną, targową bądź konferencyjną. Nowa, przeszklona część obiektu umożliwia ekspozycję zabytkowej elewacji oraz „ogrodu sztuki” usytuowanego przed budynkiem. → ośa

OCHRONA ZABYTKÓW

Perła architektury chasydów w Polsce

Za pieniądze europejskie małopolska gmina Dąbrowa Tarnowska odnowiła synagogę uznawaną za perłę architektury chasydów w Polsce i stworzyła w niej Ośrodek Spotkania Kultur. Ośrodek jest miejscem dialogu międzykulturowego i stanowi nowoczesną, mobilną ekspozycję, która w razie potrzeby zmienia się w salę koncertową, scenę i widownię teatru oraz miejsce lekcji historii. W dawnej sali modłów zorganizowano część ekspozycyjną. Zabytek jest wyposażony w system elektroniczny, umożliwiający grupowe (z przewodnikiem lub bez) i samodzielne zwiedzanie ekspozycji przez turystów porozumiewających się w różnych językach, oraz elektroniczne panele ekspozycyjne, tzw. infokioski. → ośa

Więcej o funduszach UE w Małopolskim:
www.małopolskie.pl (zakładka Fundusze Europejskie);
www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty;
www.mapadotacji.gov.pl



MINISTERSTWO
ROZWOJU
REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Sięgnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach:
www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty

Ewa Wanat

Żal do ojców



DAREK GOLIK

Tomasz Stawiszyński rozprawia się z przekonaniem, że za wszystkie nasze nieszczęścia i upadki odpowiedzialni są nieodpowiedzialni rodzice.

i kilku terapeutom, którzy na takich jak ty i ja dorobili się przytulnych domków nad jeziorami, o których my tylko możemy pomarzyć (bo to, za co mogłyśmy je kupić, oddałyśmy im), zrzucam z siebie odpowiedzialność za własne wybory, pomyłki i nieszczęścia – jak w ustawieniach hellingerowskich. Jestem, jaka jestem, bo dźwigam na sobie ciężar niezawinionego nieszczęśliwego dzieciństwa oraz osnute już mgłą zapomnienia błędy i zbrodnie przodków. Od razu mi lepiej, zwłaszcza że to co najmniej o połowę taniej niż u średniej klasy specjalisty.

Zastanawiam się, skąd nagle (w historii ludzkości jednak „nagle”) ten żal do ojców. Po wiekach oczywistej nieobecności ojców w procesie wychowawczym – kiedy ginęli na wojnach, zdobywali pożywienie na polowaniach, przegrywali majątki w karty lub gięli kark na pańszczyźnianej roli, próbując nakarmić napłodzone wcześniej gromady dzieciaków – nagle okazało się, że ojcowie nie giną, nie zdobywają, nie przegrywają i karków nie gną, a nadal ich nie ma. I stali się potrzebni. Dlaczego?

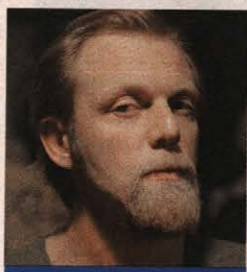
W zbiorze esejów „Potyczki z Freudem. Mity, pułapki i pokusy psychoterapii” filozof i dziennikarz Tomasz Stawiszyński rozprawia się z powszechnym we współczesnym świecie przekonaniem, że za wszystkie nasze nieszczęścia i upadki odpowiedzialni są nieodpowiedzialni rodzice – matki tygrysyce, ojcowie, których nie ma, błędy wychowawcze i niedostatki miłości. Nie wiadomo, czy coraz bardziej oczywista w wielu kręgach psychoterapia z nich leczy, czy raczej na nich żeruje. Stawiszyński pisze: „Zamiast traktować rodziców, nawet tych najokrutniejszych, jak złowieszcze bóstwa, które na zawsze naznaczyły nasze życie, lepiej zobaczyć ich jako nauczycieli, przekazujących wiedzę o własnej bezradności i własnym złu. A tym samym – o bezradności i złu, które drzemią w czło-wieku, także w nas”. →

Autorka od maja jest redaktorką naczelną i dyrektorką programową Polskiego Radia RDC. W latach 2003–2012 kierowała radiem Tok FM. U nas pisze o sprawach społecznych i kulturze.

RDC
POLSKIE RADIO

Max Cegielski

SZROT



KRZYSZTOF SKŁODOWSKI

Wajda robi swojego „Wałęsę”. A Wałęsa? Nie czyta książki żony. Radykalni robotnicy? Krzyczą, że wcale nie skakał przez płot! A kiedy ten płot zbudowano i dlaczego właśnie zniknął, to nikogo nie obchodzi.

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Prowadzi blog maxmasala.blog.pl.

Słyszycie chichot Historii, ale zupełnie innej niż ta, o której zazwyczaj donoszą media i która staje się przedmiotem gier politycznych, od lewa do prawa. Na zgliszczach Stoczni Gdańskiej nie nawiedza mnie wcale duch „Solidarności”, tylko upiór Ferdynanda Schichaua. Wiem, nigdy o nim nie słyszeliście, o nim żaden mistrz kina nie nakręci filmu, a to właśnie Schichau jest największą ofiarą problemów z przeszłością I, II i III RP, pewnie IV również. Pod koniec XIX wieku w Gdańsku, na terenie swojej stoczni, stworzył piękną industrialną dzielnicę. Plan całościowy rodem z epoki, kiedy przedsiębiorcy wierzyli nie tylko w kasę, ale też w postęp ludzkości. Były tu domki dla robotników, szerokie aleje prowadzące do budynku dyrektora, wysadzone drzewami, hale i wreszcie, dziś unikatowe, pochylnie na okręty.

Z upiorem Schichaua zapoznał mnie Michał Szlaga, od ponad 10 lat dokumentujący największe w historii Polski przestępstwo kulturalno-historyczne. Właśnie ukazał się album „Stocznia Szlaga”, gdzie na prawie 300 stronach artysta pokazuje, jak systematycznie wyburzano i niszczone dziedzictwo, które mogłoby się stać ozdobą powstającej pod szumną nazwą Młode Miasto nowej dzielnicy. Fotograf był tu już w 1999 r., kiedy Skarb Państwa sprzedał tereny prywatnym deweloperom. Ten felieton to nie kliwa ballada o etosie robotniczym, więc nie przekonują mnie argumenty związkowców, którzy walczyli wtedy z władzami, twierdząc, że to kradzież. Sami podcięli gałąź, na której siedzieli: obalili partyjny komunizm, ale w zamian dostali nie rady robotnicze, o których marzyli, tylko kapitalizm. To oddzielny temat, stocznia została sprzedana, a duża część terenów kolebki „Solidarności” miała zostać zamieniona w osiedle apartamentowców.

„If I were a rich man”, tobym „se kupił” taki dom w Gdańsku, gdzie obok miałbym warzywniak w domku ogrodnika Schichaua, a dzieci brałbym na huśtawkę w miejscu XIX-wiecznej pochylni dla statków, kawę piłbym, patrząc na dźwigi stoczniowe, a w niedzielę mógłbym nawet pójść do Europejskiego Centrum Solidarności

w jednym z ogromnych, starych budynków przemysłowych. Nic z tego, nawet burzuje nie będą przywiązywać psa do starej kotwicy: zamiast alei drzew będzie dwupasmówka do hipermarketu w blaszanej hali i awangardowy gmach muzeum. W innych okolicznościach przyrody nawet ciekawy, ale po co stawiać zardzewiały statek-budynek, a obok burzyć piękną halę? Deweloperzy nie chcą zarobić na dziedzictwie, niemieckim i polskim. U siebie w Europie Zachodniej budują osiedla wpisane w lokalny kontekst. Na Wschodzie są kolonialistami. Z ich perspektywy nie ma sensu bawić się w atrakcje dla ludożerców. Prywatny inwestor robi, co mu się podoba, ponieważ władze miasta, gminy, województwa zapomniały, że stoją tu zabytki sprzed ponad 100 lat.

Michał Szlaga w swoim albumie wyręcza zbyt zajętych konserwatorów zabytków i urzędników. Sprowadza z Niemiec książki o stoczniach Schichaua, zderza je z własnymi zdjęciami. Okazuje się, że budynki od 1945 r. nigdy nie zostały rzetelnie opisane. Ocalało już tylko 50 procent dawnej zabudowy, a album Szlaga dokumentuje po prostu nie tylko architektury, ale też ducha.

Przez lata, przyjeżdżając do Gdańska, nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Miasto walczyło o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury za pomocą znaczków z dźwigami stoczniowymi, z których kolejne znikają na złomie. Wajda robi swojego „Wałęsę”. A Wałęsa? Nie czyta książki żony. Radykalni robotnicy? Krzyczą, że wcale nie skakał przez płot! A kiedy ten płot zbudowano i dlaczego właśnie zniknął, to nikogo nie obchodzi. Dlaczego w Łodzi, Krakowie, nawet w przeżartej pieniędzmi Warszawie można ocalać, łączyć nowe ze starym i robić lofty, luksusowe hotele w starych przedziałniach czy halach targowych? Dlaczego nie na Wybrzeżu? Czyżby duch wrednego niemieckiego stoczniowca był równie robotniczy co „Solidarność”? Czyżby przeszłość wielokulturowego portu uwierała tak samo jak porozumienia sierpniowe? Nie jestem prawicowym publicystą, wszystkie kolejne rządzące w Polsce ekipy przyłożyły rękę do barbarzyństwa. Duch Schichaua straszy prawicę i lewicę...

MEETING POINT

Festiwalowa Stacja Paliw
Gdańsk, al. Grunwaldzka 258



ORLEN

SPONSOR

38

GDYNIA
FESTIWAL
FILMOWY



Szczepić czy nie szczepić? Większość z nas nie zadaje sobie tego pytania. Przecież zgodnie z polskim prawem każde dziecko musi przyjąć odpowiednią liczbę szczepionek. Jeśli nie wypełnimy tego obowiązku, zapłacimy karę – do tysiąca złotych. A że jesteśmy praworządni, a w każdym razie nie przepadamy za mandatami, pielęgnujemy nasze obywatelskie posłuszeństwo. I szczepimy.

Ale Ewelina Buganik z Zielonej Góry, matka trzyletniego dziś chłopca, postanowiła się zbuntować. Dlaczego? – Nie wierzę, że szczepienia to dla takich maluchów dobrodziejstwo. Zbyt wiele naczytałam się o powikłaniach poszczepiennych. Znam dziecko, u którego po szczepieniu wystąpiły drgawki. Postanowiłam, że nie zafunduję takich atrakcji własnemu dziecku – tłumaczy „Przekroju”. Jak nie trudno się domyślić, urzędnicy szybko postanowili przywołać niesformalną matkę do porządku. – Ukarano mnie mandatem w wysokości 500 zł, którego oczywiście nie zapłaciłam. Wielokrotnie odwoływałam się od tej decyzji, aż ostatecznie sprawa trafiła do Naczelnego Sądu Administracyjnego – opowiada Buganik.

I tu zaskoczenie – sąd orzekł, że sanepid nie miał prawa nałożenia takiego mandatu, bo może go nałożyć wyłącznie wojewoda. Sanepid może jedynie wystawić tytuł wykonawczy. – Poza tym sąd dopatrzył się, że zanim lekarz wypisał nam skierowanie na szczepienie, po którym odmówiłam jego wykonania, nie zbadał dziecka i tak naprawdę nie zakwalifikował go do szczepienia – opowiada matka. Od tamtej pory Buganik ma spokój.

Sprawa przed NSA to niejedyny taki przypadek w ostatnich tygodniach. Kilka dni temu podobny wyrok zapadł w sądzie administracyjnym w Białymstoku.

Ale nad zasadnością obowiązkowych szczepień zastanawiają się też inne kraje. Niedawno zapytanie w tej

sprawie do Trybunału Sprawiedliwości UE wysłał słowacki Sąd Najwyższy, który nie uznał grzywny nałożonej na jedną z matek za odmowę szczepień. Słowaccy sędziowie chcą się dowiedzieć, czy można przymusić kogoś do zaszczepienia się w imię szeroko pojętego dobra publicznego. – Jeśli odpowiedzą, że nie, będzie to przełomowa decyzja dla całej Unii Europejskiej, a takie kraje jak Polska czy Słowacja będą musiały zrezygnować z przymuszania do szczepień – mówi Justyna Socha

JOANNA ĆWIEK

Ryzykowne nakłuwanie

Niepożądany odczyn poszczepienny. Brzmi groźnie i może być groźny. W obawie przed nim część rodziców rezygnuje ze szczepień dzieci. Już nie tylko opiekunowie, ale nawet lekarze zaczynają mieć wątpliwości.

ze stowarzyszenia STOP NOP, organizacji zajmującej się m.in. powikłaniami poszczepiennymi.

Szczepionka – szczęście czy przekleństwo?

Zaletą szczepionek jest to, że osoba zaszczepiona uzyskuje odporność na daną chorobę (przynajmniej przez jakiś czas), a nawet jeśli ją złapie, to przechodzi ją łagodniej.

Z epidemiologicznego punktu widzenia tzw. wysoka wyszczepialność (powyżej 85 proc. populacji) spowodowała, że w regionach nią objętych

wiele chorób zniknęło lub pozostało w uśpieniu przez długie lata. Dzięki szczepionkom choroby zeszyły do poziomu endemicznego. Chronione są nie tylko dzieci zaszczepione, ale także te, które z jakichś powodów, np. neurologicznych, zaszczepione być nie mogą.

Ten medal ma też drugą stronę – szczepienia, czyli wprowadzenie elementów wirusa do organizmu bez naturalnej blokady, jak np. skóra, to dla organizmu szok. I chociaż generalnie

mierną drażliwość, zaczerwienienie czy nieprzerwany płacz dziecka, ale także wzrost ciśnienia śródczaszkowego (tzw. krzyk mózgu) i wystąpienie nagłej, wysokiej temperatury. Wśród najpoważniejszych powikłań wymienia się drgawki, poszczepienne zapalenie mózgu, poszczepienną encefalopatię czy autyzm (choć związek tej ostatniej przypadłości ze szczepieniem nie jest jednoznaczny i jest kwestionowany).

Wielu badaczy uważa także, że szczepienia są jedną z przyczyn nagłej śmierci łóżeczkowej. „Są badania amerykańskie i australijskie, które pokazują, że większość takich zgonów zdrowych niemowląt nastąpiło kilka godzin czy dni po szczepieniach” – mówi prof. Maria Dorota Majewska, neurobiolog z Zakładu Farmakologii Instytutu Psychiatrii i Neurologii w wywiadzie dla Telewizji Lublin udostępnionym na YouTube.

Jej zdaniem główną przyczyną niepożądanych reakcji poszczepiennych jest dodawanie do współczesnych szczepionek konserwantów oraz adiuwantów, których zadaniem jest wzmacnianie działania szczepionek. Problem w tym, że często są to szkodliwe dla zdrowia związki aluminium czy rtęci. Jak tłumaczy prof. Majewska, u wielu osób po szczepieniach rozwijają się groźne alergie, np. na fistaszki czy sezam, a niekiedy także astma, ADHD czy autyzm.

Zgodnie z polskim kalendarzem szczepień na rok 2013 (komunikat głównego inspektora sanitarnego z 29 października 2012 r.) każde dziecko musi być zaszczepione przeciwko gruźlicy, WZW typu B, błonicy, tężcowi, krztuścowi, HiB, polio, odrze, śwince i różyczce. Dodatkowo zaleca się (bez refundacji) szczepienia m.in. przeciwko WZW typu A, ospie wietrznej, grypie, rotawirusom, pneumokokom i megionokokom. Dużo? Aż za dużo, biorąc pod uwagę, że pierwszą szczepionkę – przeciwko gruźlicy – dziecko dostaje już w pierwszej dobie życia.

więcej ludzi przeżywa szczepienia niż ma z tego powodu poważne powikłania, zdarzają się jednostki, dla których może się to skończyć źle. W najgorszym przypadku nawet śmiercią. – Jeśli dziecko choruje na rzadką chorobę genetyczną, a rodzice o tym nie wiedzą, rzeczywiście mogą wystąpić poważne powikłania. Są one jednak tak rzadkie, że w naszej praktyce lekarskiej ich nie obserwujemy – mówi dr Tomasz Kmieć, neurolog z Centrum Zdrowia Dziecka.

Do najczęstszych powikłań poszczepiennych można zaliczyć nad-

– Za wcześniej. Nie ma w Polsce takiego zagrożenia, żeby dziecko musiało dostać ją w pierwszych minutach życia. To bardzo niebezpieczna szczepionka. Jeśli trafi na słaby organizm, może wywołać poważne konsekwencje neurologiczne – mówi anonimowo lekarz pediatra przyjmująca w jednej z przychodni na warszawskim Mokotowie. Nazwiska ujawniać nie chce, bo boi się jawnego wystąpienia przeciwko Ministerstwu Zdrowia i sanepidowi. – Po prostu boję się o pracę, chociaż jestem zwolennikiem szczepień. Tyle że nie podoba mi się ich kalendarz – mówi.

Od kilku lat mówi się o tym, żeby tę szczepionkę podawać tylko dzieciom ze środowisk, w których choroba ta występuje. Ale pomyśl jak dotąd pozostaje w sferze rozważań akademickich.

Kolejna szczepionka aplikowana noworodkowi ma uodparniać przed wirusowym zapaleniem wątroby typu B. Choć zdaniem lekarzy nie jest ona tak niebezpieczna jak ta przeciwko gruźlicy (jako jedyna jest podawana dzieciom, które np. miały drgawki), także mogłaby być podawana później. – Gdybyśmy badali tuż przed porodem wszystkie ciężarne na nosicielstwo tego wirusa, mogliśmy przesunąć termin tego szczepienia o dwa-trzy miesiące. Niestety, nie ma komu sfinansować tych badań – mówi Paweł Grzesiowski, immunolog z Fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń. Tak jest na przykład w krajach skandynawskich. „Uważam, że obie te szczepionki, zarówno przeciwko gruźlicy, jak i WZW typu B, podawane w pierwszej dobie są zupełnie zbędne. Tym bardziej że podawane są dziecku, o którego stanie zdrowia tak naprawdę nic nie wiemy. Co więcej, nikt w szpitalu nie przeprowadza wywiadu i nie pyta, czy w przeszłości w rodzinie były przypadki wstrząsów po podaniu szczepionek” – tłumaczy na YouTube prof. Majewska. Jak mówi jeden z pracowników sanepidu: – Powikłań byłoby mniej, gdyby szczepionki podawano z większą rozważą. Często podaje

się je bez odpowiednich badań. I stąd tak nietypowe reakcje organizmu. Dotyczy to zwłaszcza szczepionek podawanych noworodkom, gdzie nikt nie sprawdza, w jakim stanie jest dziecko, tylko podaje się ją wszystkim, jak leci.

Rodzice chcą mieć wybór

A świadomość rodziców rośnie. Z danych Głównej Inspekcji Sanitarnej wynika, że w ubiegłym roku nie zaszczepiono 5,3 tys. maluchów. – Ze szczepień rezygnują najczęściej rodzice, którzy u swoich dzieci lub w kręgu znajomych doświadczyli zaburzenia bądź utraty zdrowia w związku czasowym ze szczepieniem. Nie znam osób, które rezygnują ze szczepień, kierując się wyłącznie modą na ekologiczny styl życia – mówi Justyna Socha. – Chociaż oczywiście są to ludzie, którzy dbają o zdrowie dziecka, czyli np. by dziecko dobrze się odżywiało, wysypiało, uprawiało sport czy nie przebywało w towarzystwie osób palących – opowiada.

W Polsce ofiary szczepień nie mogą liczyć ani na odszkodowanie, ani nawet na orzeczenie lekarskie.

Tak właśnie o odporność dziecka walczy Ewelina Buganik. – Od lat odżywiamy się zgodnie z zasadami diety Kwaśniewskiego, nie chorujemy i dlatego uznaliśmy, że będzie to także doskonały sposób na zapewnienie zdrowia naszemu dziecku. Jak na razie to się sprawdza – syn prawie wcale nie choruje i jeszcze nigdy nie brał antybiotyków – opowiada. Czy jest pewna swojego wyboru? – Nie wiem, co by się miało stać, żebym jednak zdecydowała się na szczepienia. Ale staramy się mieć otwarte umysły i cały czas poszerzać wiedzę, żeby podejmować decyzje najlepsze dla naszego dziecka – uważa.

A prof. Majewska dodaje: – Dobroć wolność szczepień to nic nadzwyczaj-

nego. W większości rozwiniętych krajów rodzice mogą sami o tym decydować. Każdy rodzic powinien móc wybierać, czy woli żyć z ryzykiem, że jego dziecko zachoruje na chorobę zakaźną, czy woli mu podać szczepionkę, która może wywołać powikłania.

Gniew rodziców podsycy dodatkowo fakt, że ci, którzy ucierpią wskutek szczepionek, są pozostawieni sami sobie. Justyna Socha ze STOP NOP opowiada, że w większości krajów ofiary powikłań poszczepiennych mogą liczyć na odszkodowanie w ramach specjalnie stworzonego systemu. We Francji system odszkodowań dla ofiar szczepionek istnieje już od 1963 r. W Polsce poszkodowani nie mogą liczyć ani na pieniądze, ani na orzeczenie, że cierpią z tego powodu. Na swoim profilu na Facebooku stowarzyszenie opisuje przypadek dziecka we Włoszech, które zmarło na skutek powikłań po zaszczepieniu szczepionką 6 w 1 (przeciw polio, błonicy, tężcowi, WZW typu B, HiB i krztuścowi). Włoski sąd przyznał odszkodowanie w wysokości 200 tys. euro i 700 euro renty miesięcznie. Rodzice tłumaczą, że w Polsce lekarze wcale nie biorą pod uwagę zgłaszanych przez nich powikłań poszczepiennych. O jakichkolwiek zadośćuczynieniach nie ma mowy. Kiedy po szczepieniu pojawi się zaczerwienienie, pediatrzy każą przykładać okłady z sody. Niemal nikt się tym nie przejmuje i nie zgłasza do NOP. Do rejestrów w Polsce trafia zaledwie tysiąc przypadków rocznie. – Prawdziwa skala jest nieznana, ale szacuje się, że rejestrowane działania niepożądane wszystkich leków to zaledwie do 10 proc. wszystkich przypadków – mówi Socha.

Druga strona medalu

Czy w związku z ryzykiem należałoby zrezygnować ze szczepień? Większość lekarzy twierdzi, że o wiele trudniejsze do wyleczenia są same choroby i wywołane nimi komplikacje. – Bardzo niebezpieczna jest np. odra, po której może dojść do ostrego zapalenia mózgu. Nie obserwowaliśmy tego od 20 lat.



ale obawiam się, że przy tak szybko rosnącej grupie niezaszczepionych osób problem może szybko wrócić – mówi dr Tomasz Kmieć, neurolog z Centrum Zdrowia Dziecka. Do szczepień namawia także Sabina Szafranec ze Stowarzyszenia Parasol dla Życia zrzeszającego rodziców dzieci cierpiących z powodu powikłań po chorobach bakteriologicznych. Na stronie internetowej stowarzyszenia można przeczytać historie dzieci, u których pneumokoki wywołały sepsę, zapalenie opon mózgowych czy zapalenie mózgu. Dziś większość z nich nie słyszy lub ma ubytki w słuchu w różnym stopniu, inne są sparaliżowane, a te, które miały mniej szczęścia, umarły. – U wszystkich dzieci, których

rodzice działają w stowarzyszeniu, wykryto takie szczepy bakterii pneumokokowych, które są w dostępnych obecnie na rynku szczepionkach. To oznacza, że choroby można by uniknąć, gdyby dziecko dostało wcześniej szczepionkę – opowiada Szafranec. Dlaczego nie zaszczepili? – Nie wiedziałam, że taka szczepionka istnieje, bo to były czasy, gdy dopiero wchodziła ona na rynek. Ale znam rodziców, którzy nie zaszczepili, bo nikt im nie powiedział, że można to zrobić. Wszyscy żałujemy, że wówczas nie mieliśmy takiej wiedzy – mówi Sabina Szafranec, której syn przeszedł sepsę wywołaną pneumokokami. Dziś swoje drugie dziecko szczepi na wszystkie według zaleceń lekarza. – Z jednej

strony na szali stawiam dobrodziejstwo szczepień, a z drugiej ryzyko powikłań, które mogą wystąpić jak po każdym innym zażytych preparacie. Jak na razie widzę więcej plusów szczepień niż ich wad – mówi. Ale zwraca uwagę, by bardzo uważać przy kwalifikacji medycznej, np. nie szczepić dzieci, które mają katar czy podwyższoną temperaturę (teoretycznie można podać szczepionkę do temp. 38,5 stopnia). – A gdy mamy wątpliwości, czy można podać szczepionkę, bo wcześniej wystąpił potwierdzony przez lekarza NOP, trzeba zrobić dziecku badania w przychodni immunologicznej. Tak żeby wyeliminować ryzyko niepożądanego działania – podsumowuje Szafranec.

ANNA WITTENBERG

Bezpieczne związki

Jeszcze przed wakacjami **prof. Zbigniew Lew-Starowicz** niemal codziennie udzielał wywiadów dotyczących zmian w edukacji seksualnej w szkołach. Kiedy dziś pytam, co nowego słychać w tej kwestii, seksuolog ucina krótko: – Nie ma o czym mówić.

Rozgrywka, którą najwyraźniej poddał prof. Lew-Starowicz, zaczęła się w kwietniu. W siedzibie PAN zaprezentowano wówczas standardy Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) dotyczące edukacji seksualnej wśród dzieci i młodzieży. Oprócz naukowców w konferencji wzięli udział przedstawiciele Ministerstwa Edukacji Narodowej i Ministerstwa Zdrowia. I choć początkowo wszyscy byli nowymi standardami co najmniej zacieka-wieni, a według relacji „Rzeczpospolitej” wiceminister edukacji Joanna Berdzik obiecała „rozpowszechnić raport WHO wśród nauczycieli i rodziców”, seksualnie rumiejące urzędników szybko przybladły.

Media wyciągnęły z dokumentu najbardziej kontrowersyjne stwierdzenia. Na czołówkach gazet znalazły się hasła, że już sześciolatek powinien rozumieć pojęcie „akceptowalny seks”, a 12-latek „komunikować się w celu uprawiania przyjemnego seksu”. Te dwa zdania wywołały prawdziwą burzę. Rwetes podniósł się nie tylko z prawej strony; o bezwstydne pomysły dopytywał się w interpelacji poselskiej Jacek Tomczak (PO), który z zapalem urodzonego notariusza chciał się dowiedzieć, kto zapłacił za konferencję w PAN. I czy ministerstwo naprawdę zamierza wprowadzać „szokujące” postulaty.

Na wątpliwości posła odpowiedziała ta sama urzędniczka, która podczas konferencji miała wyrażać wobec standardów entuzjazm. W obszernym piśmie wyjaśniła, że resort nie przewiduje wprowadzenia standardów WHO ani

żadnych innych zmian w kwestii edukacji seksualnej. Napisała też, że ministerstwo podczas konferencji przedstawiło rozwiązania stosowane w Polsce, które uważa za wystarczające.

Na decyzji ministerstwa sprawa w zasadzie ucichła. Poparcia szukał dla niej w wakacje jeszcze Ruch Palikota, ale bez większego skutku. Pieczęć przy-stawił episkopat, który w oficjalnym stanowisku przypomniał rodzicom, by pilnowali, czego w szkołach uczy się ich dzieci.

Skansen

Raport WHO, który wywołał tak wielką debatę, wyróżnia trzy modele edukacji seksualnej. Najpierw model abstynencyjny, w którym uczniów generalnie zachęca się do niepodejmowania kontaktów seksualnych. W drugim modelu, pośrednim, abstynencja jest jedną z opcji, a edukacja skupiona jest na metodach zapobiegania ciąży. Trzeci model, holistyczny, rozszerzany jest dodatkowo o perspektywę związaną z indywidualnym rozwojem dziecka. Kiedy pytam prof. Lwa-Starowicza, który model jest najbliższy polskiemu, ten odpowiada z ironią: – Skansen.

Od czwartej klasy podstawówki uczeń ma u nas bowiem obowiązek uczęszczać na „wychowanie do życia w rodzinie”, gdzie dowie się między innymi, co to jest rodzina i jak przy-jąć do niej nowo narodzone dziecko. – To przedmiot skrajnie zideologizowany, światopoglądowy, a nie naukowy – mówi krajowy konsultant w dziedzinie seksuologii i wyjaśnia, że

podczas lekcji uczniom przekazywany jest jeden, katolicki model rodziny, a podręczniki pełne są treści dyskryminacyjnych i homofobicznych. Lew-Starowicz poleca uwadze czytelników „Przekroju” swoją książkę „Szkoła milczenia”, w której poddał analizie pod tym kątem 51 podręczników (także do biologii i WOS).

Jak dowodzi seksuolog, przebadane książki utrwalają między innymi stereotypy płci. Jednym z nich, „Wędrując ku dorosłości” pod redakcją Teresy Król, zajęła się ówczesna minister do spraw równego traktowania Elżbieta Radziszewska. Podręcznik trafił ponownie do rozpoznania rzeczoznawców. Nadal używa się go w szkołach, a autorka w odpowiedzi oskarżyła Lwa-Starowicza o propagandę (homoseksualną) i próbę przyklejenia jej łatki oszołoma.

Wulgarnie albo dziecinnie

Problem „wychowania do życia w rodzinie” nie leży jednak tylko w podręcznikach, ale także w podejściu pedagogów. Mimo że nauczyciele kończą specjalistyczne studia lub kursy, są niedouczeni, a przedmiot jest przez uczniów lekceważony. Na forach internetowych pedagodzy uzalają się na brak dyscypliny, śmiechy, durne żarty. „Chętnie się angażują, ale jest głośno na lekcjach. Nie wiem jednak, jak do nich dotrzeć, żeby nie rozmawiali” – żali się pedagog o nicku Gian-na na forum wychowanie.pl.

O poziomie lekcji może świadczyć choćby notowana na nich frekwencja



Prof. Lew-Starowicz się poddał. Polska uparcie nie chce wprowadzać światowych standardów w edukacji seksualnej.

– choć zajęcia w teorii są obowiązkowe, w praktyce rodzic lub pełnoletni uczeń mogą złożyć u dyrektora deklarację, że rezygnują z zajęć. Badania, jakim zainteresowaniem cieszy się przedmiot, przeprowadzono niedawno w Białymstoku. O ile uczniowie z podstawówek chodzą na wychowanie do życia w rodzinie niemal w komplecie, o tyle w szkołach średnich z lekcji tych korzysta zaledwie 32 proc. uczniów. I z roku na rok rośnie liczba deklaracji o rezygnacji z przedmiotu.

Uczniowie rezygnują, choć w założeniu program wychowania do życia w rodzinie nauczyciel powinien konsultować z rodzicami podczas zebrania. Tu znów teoria rozmija się z praktyką – zamiast dyskusji podczas spotkań jest najczęściej suche przedstawienie programu. A gdyby nawet belfer chciał rozmowę przeprowadzić, pojawia się kolejny problem: rodzice też są do rozmowy nieprzygotowani, jak ich dzieci, żartują lub milkną, cali w pąsach.

Biała flaga?

Językoznawcy i seksuolodzy nie od dziś podkreślają, że sfera intymna generalnie jest dla nas tematem tabu – o narządach płciowych mówimy albo wulgarnie, albo zdrobniale, czerwienimy się pytani o nasze życie erotyczne.

„Wciąż nie potrafimy rozmawiać o swych problemach seksualnych. Nie rozwijamy języka miłości, choć mamy bogate tradycje, bo o miłości pięknie i kwieciście potrafiono rozmawiać w czasach staropolskich. Tę umiejętność całkowicie jednak zatraciliśmy” – mówił podczas konferencji w 35. rocznicę publikacji książki „Sztuka kochania” Michaliny Wisłockiej dr Andrzej Depko, prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Seksualnej.

Kiedy ta książka pojawiła się na rynku, była prawdziwą rewolucją. W czasach, kiedy 40 proc. kobiet nie przeżywało podczas stosunków orgazmu (jeśli wierzyć autorce, ona sama po raz pierwszy osiągnęła satysfakcję po trzydziestce), nie tylko przedstawiała całą listę pozycji seksualnych i zabaw, ale jeszcze omawiała szczegółowo wiele sposobów antykoncepcji. „Sztuka kochania” sprzedała się w 7 mln egzemplarzy. Być może więc zamiast kolejnych podręczników do wychowania do życia w rodzinie po jednym należałoby dziś obowiązkowo wręczyć każdemu rodzicowi. Siedząc ze swoim dzieckiem, mógłby mu spokojnie wytłumaczyć, czym różni się pochwa od warg sromowych, a prącie od jąder i jak skorzysać z tego wszystkiego zgodnie z sumieniem i przekonaniem. Inaczej młodzi wszystkiego o seksie i szacunku do partnera naprawdę nauczą się w Internecie.

Albo na lekcjach polskiego, przy analizie fraszki Daniela Naborowskiego „Do panien”:

*Wiem ja, za co tak często paciorki miewacie,
Za to, że tylko jedną rzecz potrzebną macie.
Bo co po pięknej twarzy, co po pięknym oku,
Gdybyście też nie mieli owej rzeczy w kroku.*

Autorka jest dziennikarką serwisu naTemat.pl

Już słynne maksymy delfickie przed świątynią Apolla w Delfach zalecały, by poznać samego siebie. Ale czy wola samopoznania poprzez liczby to wystarczający pretekst, żeby zamienić naszą codzienność w krainę statystyk? Na dwa lata przed wkroczeniem świata w epokę Zeltabajda, czyli tryliarda bajtów informacji, uzbrojeni w komputery noszone na ciele, mierzymy nawet najbardziej elementarne czynności dnia i nocy. Jakbyśmy wierzyli, że świadome zbieranie i analizowanie danych na własny temat pozwoli nam przejąć kontrolę nad życiem. Skąd się to bierze?

Znaj właściwy czas

Odpowiedź jest prosta. Z fantomu nieśmiertelności, którym uwodzą nas już nie tylko prorocy, ale i wynalazcy z prawdziwymi technologicznymi sukcesami na koncie. Jednym z takich sprzedawców marzeń jest kontrowersyjny transhumanista, reprezentant futurologicznej śmietanki świata Ray Kurzweil – wielokrotnie nagradzany za swoje wynalazki dyrektor techniczny Google'a. Stworzył on m.in. syntezator tekstu i mowy, za pomocą którego niewidomi mogą słyszeć czytany tekst. Pokochał go za to i zaprzyjaźnił się z nim m.in. Stevie Wonder. To Kurzweil w głośnej książce „The Age of Spiritual Machines” sprzed czterech lat omał nas nadzieją, że ok. 2045 r. postęp technologiczny pozwoli człowiekowi pokonać śmierć. Według upartego w poszukiwaniach beczasowości innowatora komputery już wkrótce będą w stanie zasymulować funkcje mózgu. Znajdziemy się w krainie osobliwości (Singularity), która da nam możliwość przeniesienia świadomości z obudowy cielesnej na nośnik cyfrowy.

Science fiction? Być może. Na wszelki wypadek lepiej bliżej się poznać i trochę o siebie zadbać. Według serwisu mobihealthnews.com, w Ameryce w 2012 r. swój stan zdrowia za pomocą aplikacji i urządzeń mobilnych śledziło 11 proc. dorosłych obywateli. Tegoroczne badania opublikowane w serwisie quantifiedself.com pokazują, że w obszarze urządzeń noszonych na ciele

w celu dokonywania pomiaru najdynamiczniej uczestniczy właśnie medycyna. Monitorujemy swoje zdrowie nie tylko po to, aby poprawić kondycję i okiełznać doskwierające nam choroby. Robimy to także dlatego, by zaradzić problemom, których nie mamy, ale które zawsze mogą się zjawić.

Ruch self-tracking, który zapoczątkował trend analizowania danych na własny temat, powstał w 2007 r. w Kalifornii. Zainicjował go entuzjasta samorozwoju, dziennikarz i bloger Gary Wolf, który propaguje ideę zbierania danych o własnym codziennym funkcjonowaniu i co roku organizuje konferencje,

tach bardzo się rozwinie. Według raportu IMS (Market for Wearable Technology 2012) w 2011 r. sprzedano 14 mln przyrządów elektronicznych do noszenia na sobie, z czego większość stanowiły urządzenia monitorujące nasze ciała i umysły. Do 2016 r. przychody z tego biznesu mają osiągnąć 6 mld dolarów.

Władaj sobą

Większość zaawansowanych technologicznie urządzeń służy bezpośrednio do ochrony naszego zdrowia. Jak choćby słuchawki do słuchania muzyki, które jednocześnie monitorują pracę serca podczas aktywności fizycznej i ostrze-

ULA RYCIĄK, ILUSTRACJE KAROLINA KOTOWSKA

Wejść w buty boga

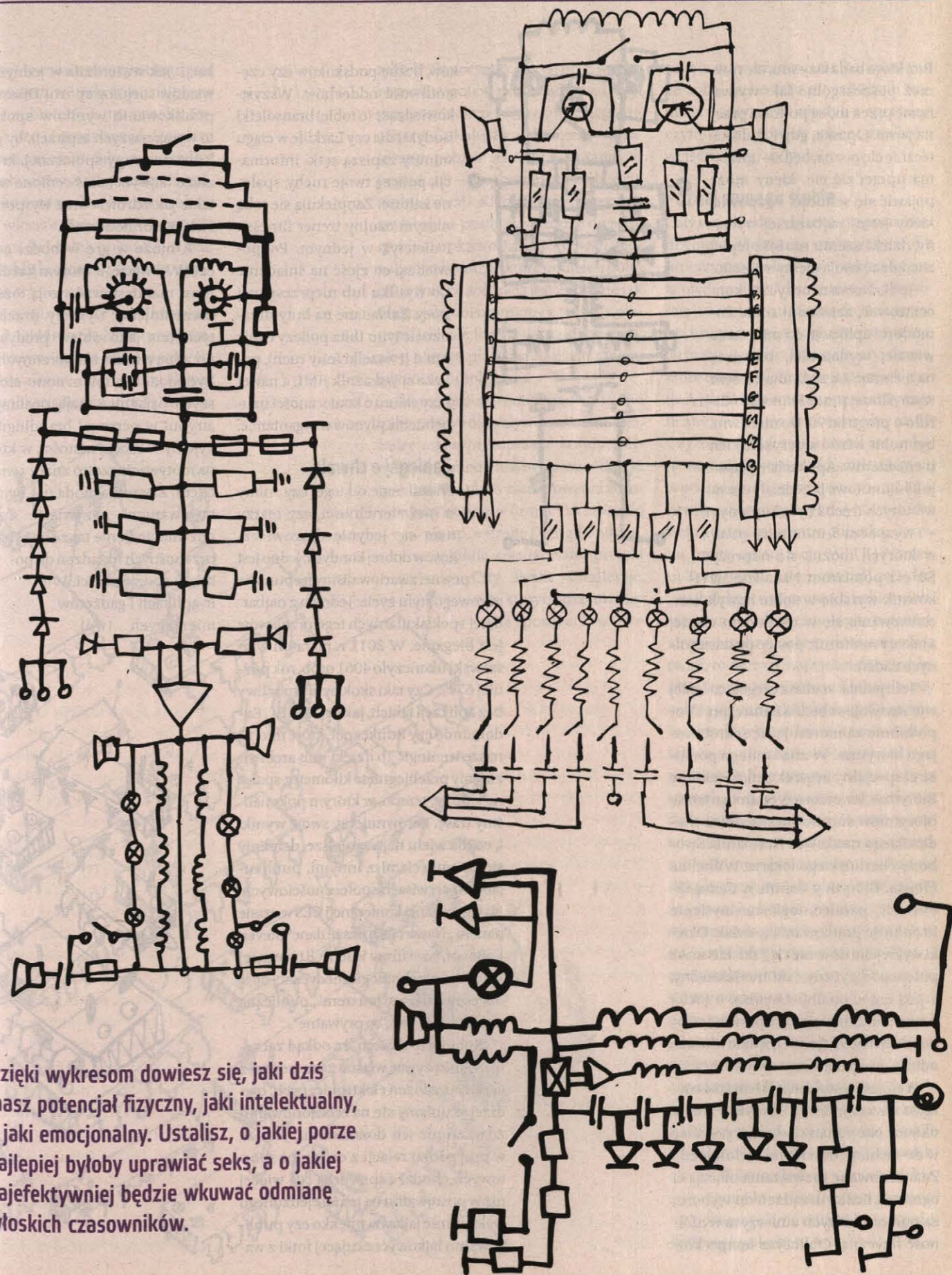
Znamy już nie tylko liczbę spalanych przez nas kalorii i tempo oddechu, ale też długość własnych snów. **Zbikowaliśmy na punkcie bycia fit**, cierpimy na lęk przed chorobami cywilizacyjnymi czy może dopadła nas obsesja samopoznania?

które służą wymianie doświadczeń i upowszechnianiu wiedzy na temat nowych urządzeń oraz prowadzonych badań. Tegoroczna konferencja zapaleńców self-trackingu odbędzie się już wkrótce, 10–11 października w San Francisco.

Ekspertki od nowych technologii dowodzą, że spersonalizowana diagnostyka, która za pomocą wyspecjalizowanych przenośnych urządzeń bada poziom naszej aktywności, nastrojów, jakości i ilość snu, wysiłek fizyczny, metabolizm, poziom cukru, stresu, wydajność organizmu po zażyciu używek i wiele innych parametrów w najbliższych la-

gają, kiedy przesadzamy z wysiłkiem (PerformTek firmy Valencell). Albo wykorzystująca tekstotronikę (czyli inteligentne użycie tkanin) kurtka dla astmatyków (Aegis Parka), która mierzy stężenie zanieczyszczeń w powietrzu. Kiedy osiąga ono groźny poziom, automatycznie uruchamia się wbudowany w nią respirator dla użytkownika.

Coraz popularniejsze stają się urządzenia, które służą do analizowania naszych możliwości psychofizycznych, dzięki czemu możemy zoptymalizować swoją wydajność w multizadaniowej rzeczywistości. Jedną z takich propozycji jest menedżer snów, czyli opaska Zero



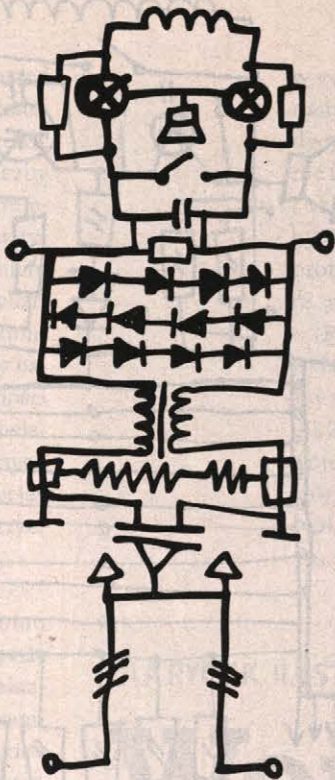
Dzięki wykresom dowiesz się, jaki dziś masz potencjał fizyczny, jaki intelektualny, a jaki emocjonalny. Ustalisz, o jakiej porze najlepiej byłoby uprawiać seks, a o jakiej najefektywniej będzie wkuwać odmianę włoskich czasowników.

Pro, która bada fazy snu, ale również poszczególne fale wytwarzane przez mózg podczas pracy na jawie. Opaska, gdy już dostatecznie cię pozna, będzie uprzedzała cię, kiedy może pojawić się senność. Podpowie, kiedy jesteś najbardziej wydajny, dzięki czemu możesz lepiej zarządzać swoją efektywnością.

Jeśli chcesz nauczyć się koncentrować, zainstaluj sobie Pomodoro: aplikację do mierzenia własnej wydajności, bazującą na technice zarządzania czasem wymyślonej przez Francesco Cirillo u progu lat 90. Do niedawna był to hit wśród amerykańskich menedżerów. Aplikacja wyłapuje 25-minutowe przedziały czasu, w których trzeba być skupionym – i wyznacza 5-minutowe przerwy, w których można się odprężyć. Dzięki pomiarom i analizie użytkownik wyrabia w sobie nawyk koncentrowania się w ustalonym czasie, a także monitoruje postęp poszczególnych zadań.

Jeśli jednak szukasz czegoś, co lepiej wyraża twoją subtelną naturę, prawdopodobnie zainteresuje cię sekret twojego biorytmu. W zbadaniu go pomoże ci specjalny zegarek Seiko Nextime Biorythm, stworzony w oparciu o teorię biorytmów sformułowaną przez niemieckiego naukowca Hermanna Swobodę i berlińskiego lekarza Wilhelma Fliessa. Biorytmy definiują naszą aktywność, pamięć, logiczne myślenie i zdolność pojmowania zjawisk. Dzięki wykresom dowiesz się, jaki dziś masz potencjał fizyczny, jaki intelektualny, a jaki emocjonalny. Ustalisz, o jakiej porze najlepiej byłoby uprawiać seks, a o jakiej najefektywniej będzie wkuwać odmianę włoskich czasowników.

A co, jeśli jesteś sceptykiem i nie wierzysz w rzeczy, których nie widać gołym okiem? Nie musisz od razu popadać w de-teching (odwrot od technologii). Zaawansowane rozwiązania oferują ci ogromną liczbę urządzeń do wyboru, za pomocą których zmierzysz wydolność fizyczną. Obliczysz tempo kro-



ków, liczbę podskoków czy częstotliwość oddechów. Wszystkie wiedzące (o tobie) bransoletki BodyMedia czy Larklife w ciągu minuty zapiszą setki informacji, policzą twoje ruchy, spalone kalorie. Zaopiekują się tobą niczym czujny trener fitnessu i dietetyk w jednym. Podpowiedzą, co zjeść na śniadanie po wysiłku lub nieprzespanej nocy. Zakładane na buty urządzenia typu Ibitz policzą twoje kroki (i wszelki inny ruch), pokaże ci wskaźnik BMI, a nawet przypomni o konieczności uzupełnienia płynów w organizmie.

Zabiegaj o chwałę

Niezależnie od tego, czy śnimy o nieśmiertelności, czy marzymy o długowieczności w dobrej kondycji, jedno jest pewne: zwariowaliśmy na punkcie

zdrowego stylu życia. Jednym z najbardziej spektakularnych tego przejawów jest bieganie. W 2011 r. maraton warszawski ukończyło 4061 osób, rok później 6797. Czy taki skok byłby możliwy bez aplikacji takich, jak np. NIKE+, Endomondo czy Runkeeper, które mierzą nasze treningi? To dzięki nim archiwizujemy przebiegnięte kilometry, spalone kalorie, tempo, w którym pokonaliśmy trasę. Porównujemy swoje wyniki i, co dla wielu najważniejsze, dzielimy się osiągnięciami z innymi, publikując je w serwisach społecznościowych. Na tegorocznej konferencji CES w czasie panelu „Nasze ciała, nasze dane” Steven LeBoeuf, (szef firmy Valencell tworzącej najnowsze technologie medyczne) dość obcesowo nazwał ten trend „publiczną masturbacją tym, co prywatne”.

Robimy to dlatego, że odkąd zaczęliśmy przeżywać własne życie poprzez ekrany urządzeń elektronicznych, bardziej skupiamy się na relacjonowaniu zdarzeń niż ich doznawaniu. Jednak w przypadku relacji z osiągnięć sportowych chodzi zapewne o coś więcej niż w postowaniu na temat zjedzonego wykwinnie jajka na miękko czy publikowaniu lajkowyczekującej fotki z wa-

kacji. Jak stwierdziła w jednym z wywiadów socjolog sportu Dorota Olko, publikowanie wyników sportowych to wyraz naszych aspiracji, by przynależać do grupy społecznej, która wyznaje najwyższe dziś cenione wartości, takie jak zdrowie oraz wysportowane i wiecznie młode ciało.

A może w grę wchodzi coś jeszcze? W świecie, w którym każda marka musi manifestować swoją tożsamość, prezentujemy wykresy przebiegniętych tras jako objaw predyspozycji do zdobywania zamierzonych celów. Być może upublicznione efekty naszych osiągnięć mają posłużyć jako atrybut w personal branding, skoro żyjemy w rzeczywistości, w której silna motywacja często znaczy więcej niż talent. Zawrotna moda na „bycie zmotywowanym” oczywiście znajduje odzwierciedlenie także w świecie przenośnych urządzeń do pomiaru codzienności. Wiele aplikacji i gadżetów mierzących twój

„progress” w czasie rzeczywistym jest zaopatrzonych w hasła typu: najpierw wyznacz sobie cel! I np. opaska Fit-beet pomoże ci go osiągnąć. Dowiesz się na bieżąco, co ci dało, że wszedłeś na 105 schodków w ciągu czterech minut lub że przeszedłeś 3,5 tys. kroków w jeden wieczór. Specjalne diody LED za pomocą światełek pokażą ci w real time, jak blisko jesteś zdobycia upragnionego celu.

Bywa, że nie kończy się tylko na zachętach. Niektóre urządzenia proponują nam formy osiągania celów w pakiecie z karami za złamanie dyscypliny. Należy do nich aplikacja Beeminder. Co musisz

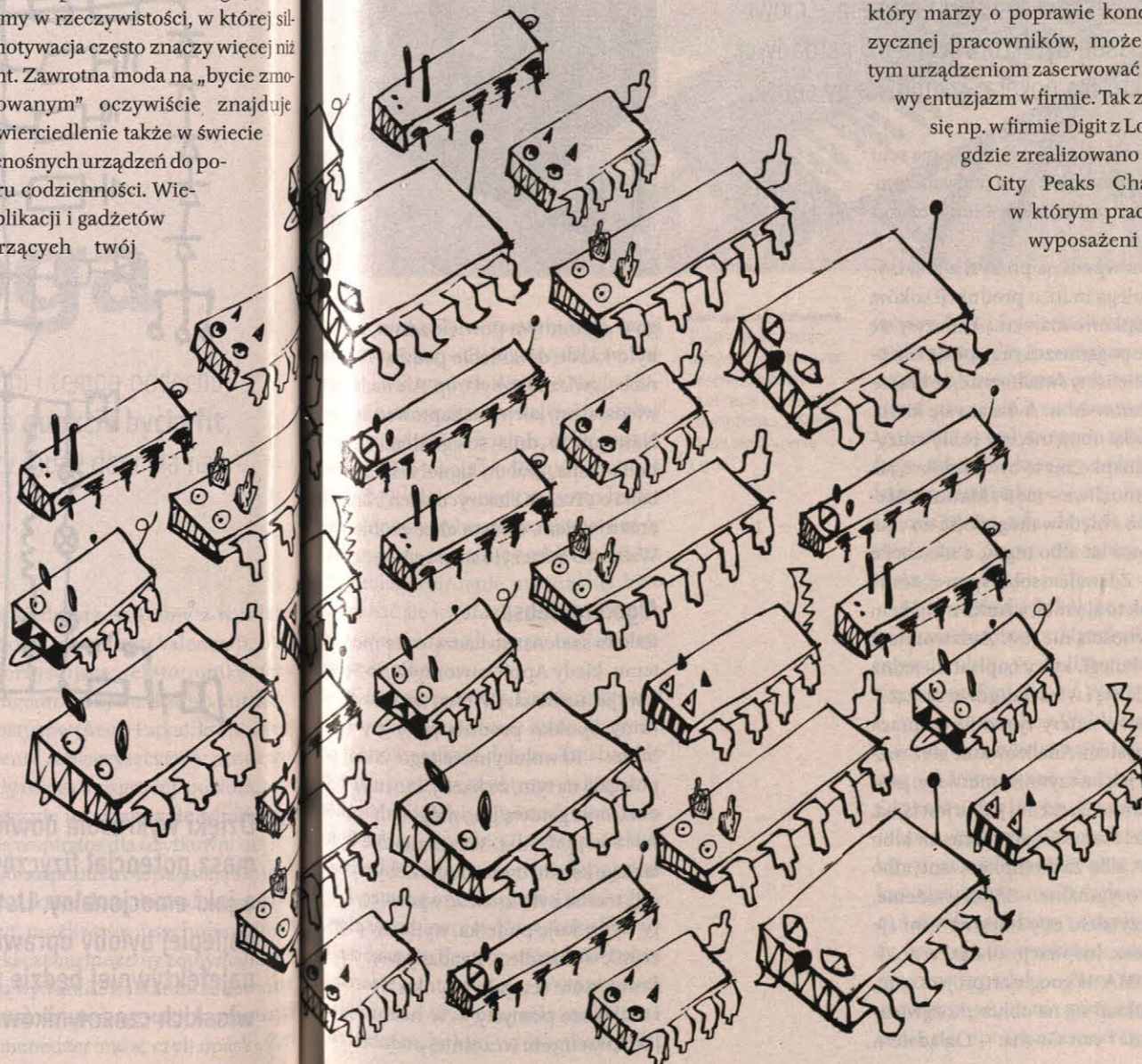
zrobić? Na początek, oczywiście, wybierasz cel. A potem twoje Żądło będzie ci przypominało o konieczności jego realizacji. Cokolwiek wybierzesz – utratę wagi, pobicie rekordu w porannych pompkach – przypominać będzie cię mobilizował. Kiedy jesteś grzeczny, czyli robisz postępy w drodze do celu, rysuje ci wykres osiągnięć i chwali. Jednak zobowiązanie, które podjąłeś, polega na tym, że aplikacja jest za darmo tak długo, jak robisz postępy zgodnie z planem. Jeśli się lenisz, odchodzisz z gry albo musisz płacić za każdym razem, gdy sobie pofolgujesz.

Narzędzia self-trackingowe to nie tylko zabawa dla indywidualistów. Szef, który marzy o poprawie kondycji fizycznej pracowników, może dzięki tym urządzeniom zaserwować zbiorowy entuzjazm w firmie. Tak zdarzyło się np. w firmie Digit z Londynu, gdzie zrealizowano projekt City Peaks Challenge, w którym pracownicy wyposażeni w sto-

sowne oprzyrządowanie konkurowali ze sobą, wchodząc po schodach (zamiast korzystać z windy), a specjalne czynniki umożliwiały analizę prędkości wejść na górę budynku.

Poznaj samego siebie

Cały ten obłęd to ziszczony sen marketingowca, dla którego spakowana w plik precyzyjna wiedza na temat konsumenta otwiera drzwi do sezamu. Z pewnością już niebawem zaczną do nich pukać np. firmy ubezpieczeniowe, medycyna, farmacja, a nawet branża rozrywkowa, które dopasują ofertę do nastroju klienta. A jak daleko w samopoznaniu przez liczby zechcemy się posunąć my sami? Czy zanim jeszcze Kurzwail zafunduje nam nieśmiertelność, zmienimy się w podłączone do gadżetów cyborgi, analizujące diagramy i wykresy? Genevieve Bell, australijska antropolożka, uznana przez organizację WITI (Women in Technology International) za jedną z najbardziej wpływowych kobiet w obszarze nowych technologii, twierdzi, że choć technologie szybko zmieniają świat, to sprawy najistotniejsze zmieniają się powoli. Od zawsze stanowimy część społeczności, chcemy otaczać się ludźmi, którzy dzielą się naszymi wartościami, i to się nie zmienia. Zawsze też wierzyliśmy w rzeczy potężniejsze od nas samych, a przedmiotów używaliśmy do komunikowania innym naszej osobowości. Czy te kwestie mogą się zmienić wskutek dynamicznego rozwoju urządzeń self-trackingowych? Możliwe, że poprzez pomnażanie danych zyskamy nowe narzędzia do ulepszenia relacji międzyludzkich. Być może dzięki ultraczułym detektorom mierzącym tempo uderzeń serca na widok nowo poznanej osoby nauczymy się bezbłędnie rozpoznawać, czy to prawdziwe uczucie, czy jedynie chwilowe zauroczenie. Może ukonkretnimy kilka niepojętych dziś dla nas abstrakcji, poznamy wagę własnych myśli i ciężar właściwy strachu, a także rozmiar własnej ciekawości. I w efekcie, wnikliwie śledząc samych siebie, wytyczymy kres możliwości człowieka – by pewnego dnia odkryć, że już przestaliśmy być ludźmi. ▣



OLA WIECHNIK, ZDJĘCIA MAGDA STAROWIEYSKA

Kochanie, zróbmy sobie grę

Moja żona twierdzi, że **odkąd robię grę, jestem lepszym mężem** – mówi Mariusz, 31-letni prawnik, który rzucił posadę dyrektora w międzynarodowej korporacji. Ale nie zrezygnował z kontraktu dla pokera, jak można by sądzić.

Wzeszłym roku na zakup gier mobilnych, które umilają egzystencję użytkownikom smartfonów i tabletów, wydano na świecie 9 mld dol. To o 32 proc. więcej niż rok wcześniej. Szacuje się, że w tym roku będzie to nawet 12 mld dol. Wprawdzie przychody z gier pudełkowych (czyli tych na konsole i komputery) są dwukrotnie większe, ale podczas gdy całkowity koszt wydania jednej gry pudełkowej to nawet 100 mln dol., porządną grę mobilną można zrobić za kwotę tysiąckrotnie niższą. I właśnie taką grę Mariusz postanowił zrobić.

Algorytm sensu życia

Gdy osiem miesięcy temu postanowił się tym zająć, był totalnie zielony. – Z perspektywy gracza miałem wieloletnie doświadczenie. Ponad dwie dekady spędzone przed wszystkim, co jest w stanie wyświetlić piksel, nad którym można zapanować – śmieje się. – Ale jako producent, project manager i game designer startowałem od zera.

W międzynarodowej korporacji zajmującej się nieruchomościami pracował od 2007 r. – Godzinę po wejściu do firmy wiedziałem, że nie chcę tam być. Zostałem sześć lat. Omamiły mnie prestiż, kolejne awanse, wynagrodze-

nie – opowiada. – To wszystko ma sens tylko pod warunkiem, że pozwala zgromadzić fundusze na zrobienie czegoś własnego.

Zanim wpadł na pomysł z grą, myśleli z kolegą m.in. o produkcji soków, ale początkowo marzenia kończyły się na etapie pogaduszek przy piwie i czip-sach. – Mieliśmy świadomość, że brakuje nam know-how. A staram się kierować zasadą: obojętne, czy robię muzykę czy kanapkę, ma to być tak dobre, jak to tylko możliwe – mówi Mariusz. Metodą prób i błędów mógł dojść do czegoś za pięć lat albo nigdy, a nie chciał czekać. – Zdawałem sobie sprawę, że nie wiem, jak to się robi, a rurka z kremem to z pewnością nie jest. Zadzwoniłem więc do kolegi, który napisał niejedną grę fabularną i wiedział, gdzie zacząć.

Pierwsze cztery tygodnie to praca nad pomysłem. Analizowanie gier, rozkładanie ich na czynniki pierwsze, próba zrozumienia, czemu jedna jest fajna, a inna nie. Pomysły były różne, ale albo za drogie, albo za skomplikowane, albo za mało oryginalne. – Mam wrażenie, że przeczytałem cały Internet – śmieje się Mariusz. Inspirację znalazł w zbiorach MOMA na google.artproject.com, gdzie natknął się na obraz „Rozgwieżdżona noc” van Gogha. – Oglądałem

go w ogromnym powiększeniu, widać było każde dotknięcie pędzla. Noe niebo, gwiazdy to był trop. Ale nadal nie wiedziałem, jak je zaadaptować do gry. Następnego dnia ściągnąłem audiobook Lema, brałem kąpiel i słuchałem bajki o „Trzech elektryczkach”. I nagle zrozumiałem, o czym chcę zrobić grę. Wszystko połączyło się w spójną całość.

Algorytm Jobsa

Całe to szaleństwo zaczęło się pięć lat temu, kiedy Apple otworzył App Store – wyjaśnia Maciej Weiss, współtwórca firmy Spokko produkującej gry mobilne. – Rewolucyjność tego „sklepu” polegała na tym, że każdy, kto miał 100 dolarów i gotową grę, mógł tam umieścić swój produkt. Wcześniej nie było takiego kanału dystrybucji. Żeby wydać grę, trzeba było znaleźć wydawcę, który wydrukuje pudełko, wytłoczy płyty, zajmie się handlem. Rządziły więc duże firmy, które ściągały z rynku twórców i najlepsze pomysły. – W historii gier jako przemysłu wcześniej podobna sy-

tuationa nastąpiła w czasach Atari, czyli pierwszej konsoli, jaka wyszła w Stanach – kontynuuje Weiss. – Nagle okazało się, że nie trzeba wielkiej maszyny stojącej gdzieś w knajpie, żeby zagrać. Starczyła konsola podłączona do telewizora. Ludzie zaczęli masowo kupować gry, a że były proste, niemal każdy programista potrafił je zrobić. Kartridge były relatywnie tanie, można więc było zamknąć się w garażu i myśleć. I wszyscy się na to rzucili, bo potencjalne zyski były ogromne.

Tak samo jest dziś. Dzięki Steve'owi Jobsowi kilkusobowe firmy na rynku gier znów mają się dobrze. Trzeba było tylko w porę zwężyć trop – tak jak zrobił to Maciej Weiss. Był na drugim roku w Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych, gdy pojechał na wymianę studencką do Leeds. Jednym z przedmiotów do wyboru był tam mobile game development. – W Polsce coś takiego nie istniało. Wszyscy mieli telefony z wężykami, jakieś nokie, motorole z malutkim wyświetlaczem, te

Inspirację do swojej pierwszej gry Mariusz Leśniewski znalazł w obrazie van Gogha i audiobooku z bajką „Trzej elektryczki” Lema.

sprawy. Po tych zajęciach wszystko zaczęło mi się spinać – wspomina. – Tata często mi powtarzał, jak ważne jest, aby w pracy, choć codziennie robi się to samo, za każdym razem robić coś innego. Pomyślałem: te gry mobilne to jest fajna rzecz: krótki projekt, obejmujący bardzo różne pola, dźwięk, obraz, historię, kod. Zawsze tak samo, a jednak inaczej.

Miał na studiach kolegę z wydziału programowania gier. Namówił go, żeby razem zrobili grę na iPhone'a. Pierwsza, nazwali ją „Tap of War”, polegała na przeciąganiu liny. Waliło się w ekran palcem, kto szybciej walił, ten mocniej ciągnął i wygrywał. Żadna filozofia. Okazało się, że ich gra doszła do pierwszego miejsca na liście najczęściej pobieranych darmowych gier w amerykańskim App Store. Była darmowa, ale z płatnymi reklamami. Kasa była z tego, że ktoś walił w reklamy, najczęściej przez przypadek. – Nam było łatwo zaryzykować, bo nie mieliśmy do stracenia nic oprócz czasu. A że byliśmy

na studiach, czas nie był bezpośrednio przeliczalny na pieniądze – wspomina Weiss.

Do dziś działa z Rafałem i Michałem, którzy wtedy do niego dołączyli. – Projektowanie gier to projektowanie satysfakcji gracza. Gra także, jak inne dziedziny sztuki, odnosi się do emocji. Może niespecjalnie wysokich, ale zawsze. Ciekawa historia i piękna grafika nie są tu istotne. Przed konsolą czy telewizorem zwykle siedzisz co najmniej godzinę, więc coś tam da się opowiedzieć. A użytkownika gier mobilnych nie interesuje historia, on chce jak najszybciej zagrać, bo ma tylko te pięć minut na kibelu. Historia powinna być przemycana w małych smaczkach, obrazkach, aby budować przywiązanie gracza, ale pierwsza ocena (a więc możliwa decyzja o odrzuceniu gry) jest taka: gameplay jest fajny albo niefajny. A powstaje on w kodzie, nie na kartce; dochodzi się do niego metodą prób i błędów, robi go programista, zespół sprawdza, wnosi poprawki. Programi-





Największy przebój firmy Spokko, której współtwórcą jest Maciek Weiss, to gra „Zombie Road Trip”.

tacy od „Angry Birdsów”, przestali ścigać nowe gry, bo mieli już te swoje. „Angry Birds” i to im wystarczyło. Rynek się zagaścił, pojawiły się duże pieniądze na marketing, nie byliśmy w stanie dotrzymać tempa. To było półtora roku temu, wszystko się posypało, nie wiedzieliśmy, co robić – wspomina Maciek. – Doszliśmy do wniosku, że nie ma już sensu robić gier dla przypadkowego odbiorcy, prostych, przyjemnych, z ładną grafiką, miłą muzyką. Nadzieją są najbardziej wymagający gracze – opowiada.

Nowa gra powstawała rok. W bólach. Ale gdy już powstała, okazała się ich największym sukcesem, który ilustruje 8 milionów pobrań. – Przed „Zombie Road Trip” byliśmy w dupie. Na wcześniejszych grach nie zarobiliśmy dużych pieniędzy, zaczęliśmy brać zlecenia na aplikacje, żeby się utrzymać – wspomina Maciek. Statystyki są miążdzące. Tylko 10 proc. deweloperów zarabia na zwrot kosztów produkcji. Nikt tego nie pomierzy, ale jego zdaniem o czystych zyskach może tak naprawdę mówić niewielu twórców.

Rynek jest potężnie rozpędzony: koszt produkcji małej gry osiąga 100 tys. dol., a żeby się przebić, drugie tyle trzeba wpompować w marketing. I to wcale nie gwarantuje sukcesu. Nie chodzi tylko o liczbę konkurentów, ale też o jakość: grami zajmują się dziś najbardziej zdolniejsi specjaliści.

Algorytm inwestycji

– Moja rola jest stricte inwestorska – przyznaje 27-letni Norbert Redkie, współtwórca Grupy Warszawa, do której należy kilka stołecznych klubów. Niedawno razem z Michałem Brańskim (współzałożycielem Grupy o2), Krzysztofem Gagackim (twórcą Grupy G7 Media) i Radkiem Zaleskim (CD Projekt) założyli firmę Swapp Games, włożyli w nią 4 mln zł. Do końca roku planują wydać pierwszą grę mobilną, a potem następne – wszystkie w modelu free-to-play, czyli za darmo, z płatnymi dodatkami. Ich zdaniem to jest przyszłość. – Gdy zacząłem się interesować tą bran-

żą, dowiedziałem się, że jestem kimś, kogo określa się mianem hardcorowego gracza. Mam ulubiony typ gier, gram dużo i bez wahania wydaję na nie pieniądze – mówi. – Ale teraz, jak ktoś ode mnie wyludza pieniądze, przynajmniej wiem, jakimi mechanizmami się posługuję – śmieje się. Ostatnio gra głównie w mobilne szachy, z kilkoma osobami naraz. Robi jeden ruch, pracuje, po godzinie czy dwóch, gdy widzi, że przeciwnik zrobił swój, wykonuje drugi. I wraca do pracy. A pracuje 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Przedsiębiorczość wyniósł z domu. – Rodzice mają własne firmy, rozmowy biznesowe były częścią mojego dzieciństwa. Nie nie rozumiałem, ale byłem traktowany po partnersku i jak chciałem coś powiedzieć, rodzice słuchali. I mówili:

„nie, tak nie wolno, bo to, to i to”. Więc szkołę miałem zapewnioną od dziecka – opowiada.

Jego pierwszym przedsięwzięciem były koszulki. Miał 17 lat, gdy założył Grono „Błękitne banany i różowy lans”, które jak na Grono miało wielu fanów. – Pomyślałem, że skoro jest tyle osób, które cieszą się z tego, że są „bananami”, to trzeba im coś sprzedać. Więc zrobiłem koszulki z wielkim napisem „Warszafka”, które ludzie z jakiegoś powodu kupowali – wspomina z uśmiechem. Kilka lat później razem z Bartkiem Kračiukiem otworzył Warszawę Powiśle. I poszło. Produkcja filmowa, agencja kreatywna, kolejne popularne lokale – spektrum ich działań jest rozległe.

W Swapp Norbert nie chce być tylko osobą, która wyklada pieniądze, chce

ten biznes zrozumieć. Żeby go zrozumieć, musi grać. Ściga więc prawie wszystko, co ukazuje się w App Store. A to nie zawsze jest przyjemne, bo wiele gier to chała. – Najlepsze gry to takie, które sprawiają, że masz ochotę rzucać telefonem ze złości, że coś nie wychodzi. Bo jak w końcu wyjdzie, satysfakcja jest dużo większa – mówi.

Jeśli idzie o rynek gier mobilnych, na działania „w garażu” zdaniem Norberta jest ciut za późno. – Teraz panuje gorączka złota, wszyscy się na to rzucili. Tym, którzy mają dobry biznesplan i szczęście, może się jeszcze udać. Ja mam nadzieję, że wygramy. A jeśli nie, nie położę się przecież na podłodze i nie będę walił pięściami w ziemię. Trzeba mieć jak najwięcej nóg biznesowych, żeby stać stabilnie i nie płakać, jak jedna się wywali – podsumowuje.

– W dzieciństwie chodziłem grać do sąsiadów. Kolega, którego tata był lekarzem, miał peceta. Graliśmy w „Prince of Persia” i „Barbariana”. Trząśłem się z emocji – wspomina Mariusz, mój pierwszy rozmówca. – W tych gorszych chwilach, gdy zastanawiam się, po co ja to w ogóle robię, przypominam sobie „Barbariana” i już wiem po co. Dziecięca radość z gry to nic w porównaniu z tym, co czujesz, kiedy grę tworzysz. Byłbym przeszczęśliwy, gdybym dostał kiedyś mejla: „Stary, zrobiłeś świetną grę”. Kiedy robisz coś takiego, chcesz to pokazać ludziom. Zupełnie inaczej niż w korporacji, gdzie nie czujesz się dumny z niczego. ☞

Norbert Redkie zainwestował 4 mln zł w firmę Swapp Games i zamierza wygrać wyścig z konkurencją.



- **Gameplay** – mechanizm, na którym bazuje podstawowa rozgrywka (np. chodzę i strzelam albo podskakuję i coś zbieram)
- **Input** – interakcja gracza z urządzeniem, sposób, w jaki ona zachodzi (np. naciskam ekran jednym palcem albo przesuwam po nim dwoma)
- **Monetyzacja** – sposób zarabiania na grze; podstawowe modele monetyzacji to pay-to-play (gracz płaci za grę), free-to-play (gra jest darmowa, twórca zarabia na zamieszczanych w niej reklamach albo na in-appach), istnieją też modele mieszane
- **In-app** – dodatkowe, płatne elementy gry, np. nowa broń albo model samochodu

ANNA PRZYBYLL

Koniec romansu

Kto pamięta horror „Christine” o licealiście, który zakochuje się w pięknym, czerwonym samochodzie? Dziś **opowieść o tej trudnej miłości**, naznaczonej obłędem, nabiera całkiem nowego sensu.



Sklonność do jazdy dużymi samochodami, które pożerają mnóstwo benzyny, stanowi część błędnego amerykańskiego życia”. To nie są słowa z lat powojennej hossy, kiedy uskrzydłone amerykańskie limuzyny turlały się po wstążeczkach tamtejszych szos, wijących się po horyzont. Zdanie to padło zaledwie 12 lat temu, a wypowiedział je rzecznik prasowy prezydenta G.W. Busha, Ari Fleischer (rocznik 1960). I nawet przez myśl mu nie przemknęło, że jego społeczno-motoryzacyjna diagnoza już wkrótce stanie się mocno przeterminowana.

Ktoś powie: chwila, moment. Ostatnie wskaźniki zbytu pojazdów czterokołowych napawają optymizmem. W USA w sierpniu zanotowano najwyższy od 2006 r. wzrost sprzedaży aut, który w tym tempie na koniec roku może się zamknąć liczbą 16 mln. Dla porównania w 2009 r. sprzedano 10,4 mln pojazdów. To kolosalny skok – nawet jeśli weźmie się pod uwagę promocje, które napędzają rynek. A że boom na samochody zwykle wróży kres kryzysu, powinniśmy się cieszyć: skoro globalna gospodarka to system naczyń połączonych, dźwięczny warkot pomyślności zaraz dotrze i do nas. Jednak analitycy są innego zdania. Choć liczba sprzedanych aut wciąż pozostaje papierkiem lakmusem do oceniania kondycji gospodarki, demografia zakupu samochodów w USA się zmienia. Na ile popyt, więc i wizja nadchodzącej hossy, są kreowane sztucznie, trudno ocenić – ale jedno jest pewne: liczba młodych ludzi, którzy chcą mieć samochód, spada. I to do tego stopnia, że „New York Times” obwieścił „kres kultury samochodu”.

Wolność i przygoda

Od początku upowszechnienia się pojazdu z benzynowym silnikiem kultura za oceanem połączyła to hulaśliwe urządzenie z najszczytniejszymi ideałami. Francuzi mieli „Wolność, równość i braterstwo”, a Amerykanie „Wolność, równość i samochód”.auta inspirowały zarówno pisarzy, jak też filmowców, i tylko w latach 1905–1908 w Stanach powstało ponad 120 utwo-



rów sławiących rozwój motoryzacji. Wraz ze stworzeniem forda T (1908 r.) lawina ruszyła. Pierwsze produkowane seryjnie auto schodziło z taśmy co trzy minuty i połączyło wszystkie cechy potrzebne do rozkręcenia masowego zbytu: miało miękkie resory, wysokie prześwit (do jazdy po bezdrożach) i dość miejsca w środku, żeby od biedy upchnąć całą rodzinę.

W zawody z prostotą konstrukcji pójść mogła tylko cena. Najprostsze modele kosztowały ok. 250 dol., przy dziennych zarobkach robotnika oscylujących wokół 5 dol. Hasło „wolność za jedyne 50 dniówek” nie sposób było się oprzeć, dzięki czemu w ciągu kolejnych dwóch dekad w ręce klientów trafiło ponad 15 mln fordów T. Tak, w skrócie, zrodziła się moda na rodzinne wycieczki do odległych pomników przyrody, a także masowa chęć do inwestowania w przydrożne knajpy i motele. Oraz gigantyczny lobbing uprawiany przez nafciarzy i producentów aut, za sprawą którego Kongres asygnował coraz większe kwoty na budowę dróg.

Po II wojnie światowej samochód utracił rys rodzinny i stał się wyrazem ego użytkownika. Liczba koni mechanicznych określała, jak bardzo właściciel jest wolny, amerykański, a nawet odważny. Na wzór Jima z dramatu „Buntownik bez powodu” (1955) Nicholasa Raya młodzież organizowała zabójcze wyścigi, na bezkresnych kanapach aut dziewczyny traciły dziewictwo, a chłopców zaraz potem dopadał dylemat: bardziej kocham Zuzannę czy moją ryczącą maszynę? Pod koniec lat 50. wolność nabrała nowego znaczenia: teraz Amerykanie przekreślali klucz w stacyjce po to, żeby złamać sztywną hierarchię społeczną. Wzorem Jacka Kerouaca chcieli stale być „w drodze”, aż wreszcie autostrada urosła do symbolu anarchii.

Kiedy jednak wydorośleli, porzucili rebelię. Osiedli w domach na przedmieściach, zamieniając hot-rodry na masywne, solidne wany, w których dzieci były bezpieczne, w bagażniku zaś mieściły się zakupy z supermarketu na cały kolejny tydzień.

Romantyczna ściema

To obrazek zgrabny jak hollywoodzki film. Jest romantyczny początek, wartka fabuła i dające do myślenia, łzawe zakończenie. Trochę to podejrzane? – Owszem – odpowiada Peter Norton, historyk technologii z Uniwersytetu w Wirginii. W rzeczywistości to nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Opinia publiczna początkowo bała się



la nuova automobile
fiat 1300



modernità di concezioni
di eleganza
nella sicurezza e nella economia

fiat 1300 la vettura che voi guiderete al successo

LINCOLN



szybkich pojazdów na drogach, po których chodzili piesi, bawiły się na nich dzieci, a wszystko w otoczeniu powolnych powozów i konnych tramwajów. Odnotowano niejedną przypadłość lincozu na kierowcy, który pędząc czterdziestką, potrafił spacerowicza na samym środku ulicy.

Kiedy pojawiły się naciski na polityków, żeby ukrócić motoryzacyjne szaleństwa, producenci zaczęli się bronić za pomocą psychologii. Już w 1915 r. wypromowano określenie „jaywalker”, nawiązujące do głupiej sójki, które ośmieszało ludzi włączających niechcący pod koła. Od 1920 r. Amerykańskie Stowarzyszenie Samochodowe weszło do szkół z lekcjami o bezpieczeństwie na ulicach. Następnie doprowadzono do zwiększenia liczby stojkowych, których zadaniem była ochrona dzieci przed wypadkami. Aż wreszcie do obie-

gu wszedł slogan „Amerykański romans z samochodami” („America's Love Affair with the Automobile”), wypromowany w 1961 r. przez legendarnego komika Groucho Marksa, który został narratorem popularnego programu o motoryzacji „Merrily We Roll Along”. – Podobną bitwę stoczą w przyszłości producenci zautomatyzowanych aut, które nie będą wymagały kierowcy – kończy opowieść Peter Norton. – Z tą różnicą, że takie samochody zmniejszą liczbę wypadków na drogach, gdy auta u swych narodzin ogromnie ją podniosły.

Tak czy owak, bitwa została wygrana. Z badania gospodarstw domowych przeprowadzonego przez firmę Experian Automotive wynika, że 35 proc. amerykańskich rodzin ma trzy lub więcej aut. 34 proc. rodzin posiada jeden pojazd, a reszta – dwa. Średnio na jedną parę rąk w USA przypada 2,28 kierownicy. – Bez

względu na miejsce zamieszkania i poziom zarobków Amerykanie przywiązują wagę do swoich pojazdów. Zazwyczaj mają w garażu samochód miejski i pickup van – tłumaczy Scott Waldron, prezes Experian. Jednak kryzys sprawił, że przestali zmieniać samochody jak rękawiczki. Średni wiek auta w USA osiągnął właśnie historyczny rekord. Po analizie czasu, jaki upłynął od zjechania z linii produkcyjnej 247 mln samochodów, firma badawcza Polk ustaliła, że przeciętny wiek samochodu wynosi 11,4 lat. Od ubiegłego roku wzrósł on o 73 dni, a od 2007 r. aż o dwa lata. Jednak to nie rosnący wiek aut zwiastuje zmierzchu amerykańskiego romansu z motoryzacją, tylko rosnący wiek ich posiadaczy.

Nas to już nie kręci

Rodzice millenialsów wciąż wspominają ekscytację, jaką czuli po zdmu-

nięciu 16 świeczek na torcie, co otwierało im drogę do odbioru prawa jazdy. Ale zamiast śnić o samochodzie, ich 20- czy 30-letnie dzieci marzą o dobrej pracy. Badania pokazują, że ludzie urodzeni w latach 1980–2000 odwołują się do decyzji o kupnie samochodu, a jeśli go mają, to dla prestiżu. Epoka jazdy dla przyjemności się skończyła. – To ważna zmiana – komentuje Michael Sivak, kierownik badań w Instytucie Badań nad Transportem z Uniwersytetu Michigan. – Pierwszy raz obserwujemy aż taki spadek zainteresowania samochodem.

Liczyby mówią same za siebie. W 1983 r. ośmiu na dziesięciu 18-latków posiadało prawo jazdy. 17 lat później – już tylko sześciu na dziesięciu. Jak donosi motoryzacyjna strona Edmunds.com, służąca m.in. do wyszukiwania atrakcyjnych ofert dilerów, odsetek samochodów zakupionych przez

osoby z przedziału wiekowego 18–34 spadł w ostatnich pięciu latach o jedną trzecią.

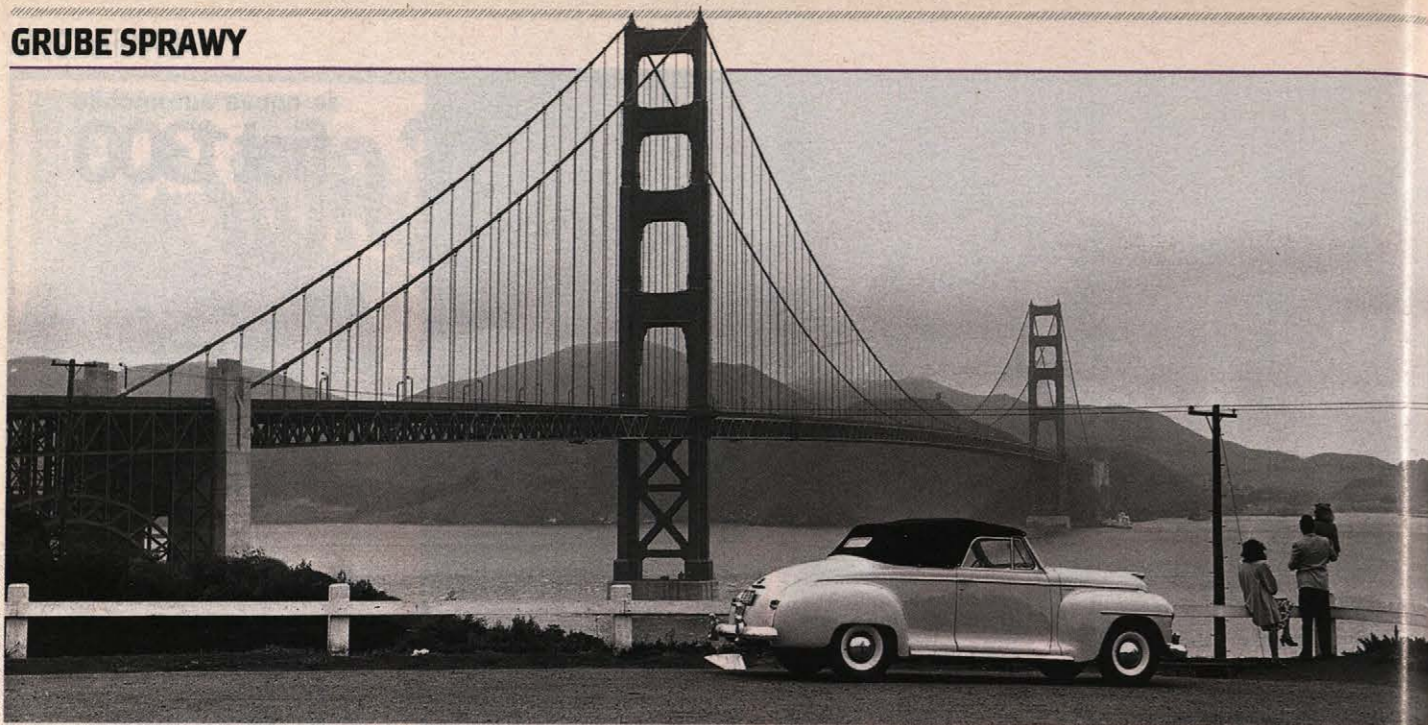
Z badań fundacji U.S. PIRG i Frontier Group, zajmujących się m.in. promocją ekologicznych źródeł energii, wynika, że natężenie ruchu w USA osiągnęło szczyt w 2004 r. i odtąd stale spada. – Pod względem liczby przejechanych mil na osobę wróciliśmy do lat 90. – mówi Sivak. Amerykanie jeżdżą mniej niż pod koniec pierwszej kadencji Billa Clintona. W 2011 r. statystyczny kierowca przejechał 12,492 mil. To o 9 proc. (lub o 1221 mil) mniej niż w szczycie, siedem lat wcześniej.

Nie chodzi wyłącznie o koszt paliwa. – Odnotowaliśmy cztery głębokie zmiany społeczne, które mają wpływ na ruch samochodów osobowych w USA – wyjaśnia Sivak. Po pierwsze, nastąpiło „zbliżenie telekomunikacyjne”.

Dzięki internetowym komunikatorom nie trzeba już dziś wysłać pracowników w delegację, wystarczy wideokonferencja. Po drugie, więcej osób korzysta z pociągów, autobusów, metra czy promów, których nie trzeba kupować na kredyt, a w dodatku ich jakość wzrasta. Po trzecie, ludzie ściągają do metropolii w poszukiwaniu pracy, lepszych warunków socjalnych i rekreacyjnych, więc żyją na małej planszy i do szczęścia wystarczają im rolki czy rower. I wreszcie społeczeństwo się starzeje. Pokolenie wyżu demograficznego, baby boomu z lat 1946–1964, z wolną przechodzi na emeryturę. A im ludzie są starsi, tym mniej jeżdżą autem.

Co z wolnością?

Craig Giffi, ekspert od branży auto-moto z firmy doradczej Deloitte, dodaje, że to, co baby boomersi robili w samocho-



ARTHUR ROTHSTEIN/CORBIS

dach, młodzi robią dziś online. Szpanują, nawiązują przyjaźnie, a nawet uprawiają seks.

Dziś samochód niewiele ma wspólnego z wolnością, której symbolem był dla poprzednich generacji. – Kiedy ja wsiadałem do samochodu, oznaczało to, że jadę spotkać się z przyjaciółmi. Dziś oznacza to odcięcie się od przyjaciół – mówi Giffi. Analizy firmy Deloitte są jednoznaczne: 46 proc. badanych w wieku 18–24 lata zamiast samochodu woli mieć Internet.

W pokoleniu baby boomu 75 proc. Amerykanów do 30. roku życia zaliczało pięć ważnych rytuałów: kupno auta, ukończenie uczelni, ślub, zakup domu i posiadanie dziecka. Dziś ten „plan” realizuje mniej niż 40 proc. osób przed trzydziestką. Jedna trzecia baby boomersów określa się jako „entuzjaści samochodów”. Gdy było ich na to stać, kupowali np. efektowne, paliwożerne suvy. Dziś zaledwie 15 proc. pokolenia Y tak o sobie myśli i jeśli już, to wybierają praktyczne kompaky. – Najczęstszą przyczyną tych zmian jest brak czasu potrzebnego na kurs prawa jazdy czy dbanie o samochód. Wiele stanów podniosło ostatnio limit wieku na prawo jazdy, stąd młodzi ludzie dłużej korzystają z motoryzacyjnych usług rodziców. W końcu gdy osiągną odpowiedni wiek, stwierdzają, że mogą żyć bez własnego pojazdu. Szczególnie

jeśli żyją w mieście lub mają do niego dogodny dojazd transportem publicznym – uważa Micheline Maynard z magazynu „Forbes”, specjalistka od rynku samochodowego. I wreszcie wypowiada te słowa: – Samochód wyjechał z ludzkich serc i zaparkował w garażu, czyli tam, gdzie jest jego miejsce.

Niegdyś bożek, dziś przedmiot użytkowy

Ważnym powodem, dla którego młodzi nie kupują aut, są koszty. Millennialsi kończą studia obciążeni kredytem i ze słabymi perspektywami na dobrze płatną czy choćby stałą pracę. Nawet najtańsze modele oscylujące wokół 15–16 tys. dol. są poza zasięgiem zadłużonych absolwentów. Jednak zdaniem mojej rozmówczyni ważniejsze jest to, że Amerykanin bez samochodu nie jest już pariasem. Nawet milionerzy, wzorem swoich europejskich kolegów, przekonują się do transportu miejskiego. I zamiast uchodzić za słabeuszy, zyskują w oczach młodych ludzi, którzy od urodzenia słyszą o globalnym ociepleniu i dziurze ozonowej.

Samochód nie stał się jeszcze wrogiem publicznym numer 1, ale w dobrym tonie jest korzystać z niego z głową. – Po co stać w korku i spalać benzynę – pyta retorycznie Maynard – do której dochodzi jeszcze niewymierny koszt nerwów? Transport pu-

bliczny jest tańszą i szybszą drogą do celu. I nie chodzi tylko o pracę. Kiedyś po tańsze zakupy trzeba było pomknąć vanem do supermarketu na periferiach. Dziś sieciowe molochy, jak Costco czy Walmart, poszły po rozum do głowy i coraz częściej otwierają filie w ścisłych centrach miast.

Przemiana mentalna trwa, więc eksperci ostrożnie dobierają słowa. Przemysł auto-moto to wielki sektor amerykańskiej produkcji i sprzedaży detalicznej, a mniejsze wpływy z podatków obniżą pulę na remonty i budowę dróg. Czy stratni producenci wymyślą jakąś nową „Christine”, żeby młodzi Amerykanie znowu się w niej zakochali?

Niemcy są stali w uczuciach

- **Badanie instytutu Forsa** ze stycznia br. (próbą 1253 osoby powyżej 18 lat) wskazuje, że Niemcy nadal kochają auta. Są one zadbane i cennie, a Niemki chętnie nadają swoim samochodom imiona i ucinają sobie z nimi pogawędki. 73 proc. badanych twierdzi, że życie bez samochodu nie ma sensu, a dla 5 proc. auto jest ważniejsze od innych członków rodziny.
- **Własne auto oznacza dla 87 proc. Niemców** niezależność. O wolności mówi połowa badanych, a radość z jazdy wymienia 38 proc. Im młodszy ankietowany, tym większe przywiązanie do „prawdziwej wolności, jaką daje samochód” (tak mówi 77 proc. osób przed trzydziestką). Z badań Ernst & Young z ubiegłego roku wynika, że 82 proc. młodych ludzi chce być podczas jazdy online; dla starszego pokolenia ważniejsza jest liczba koni mechanicznych i marka wozu.
- **Na cudownie równych (i wciąż bezpłatnych) autostradach** nie ma ograniczeń prędkości. A jednak Niemcy swoje samochody lubią głównie pielęgnować i o nich rozmawiać, natomiast sama mobilność schodzi na drugi plan.


i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

 RZECZPOSPOLITA

 rp.pl / zakupy

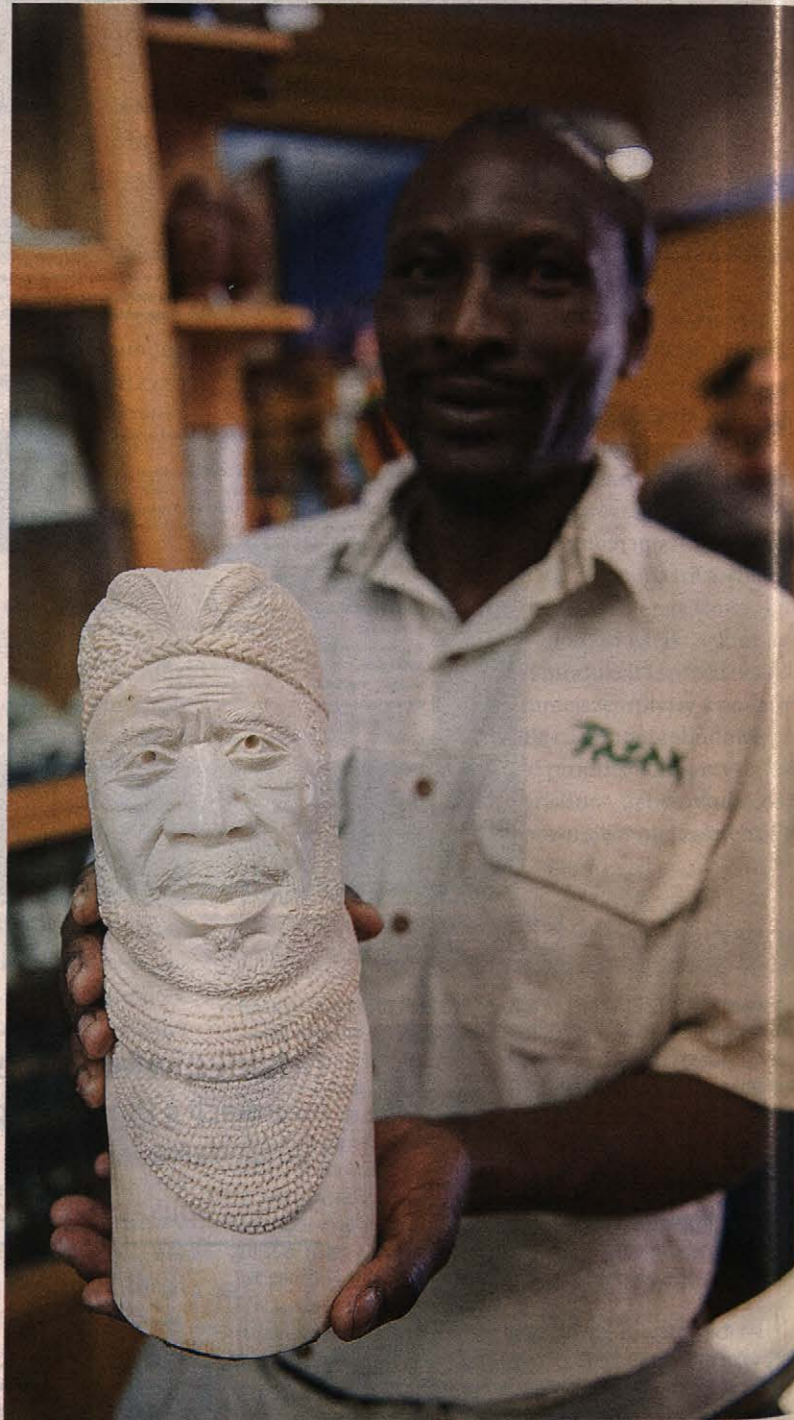
TEKST I ZDJĘCIA TOMEK MICHNIEWICZ

Pogodne piekło

Minister finansów **Zimbabwe** ogłasza, że w skarbcu zostało 217 dolarów. W tym samym czasie do sąsiedniego Mozambiku wyjeżdżają konwoje wojskowych ciężarówek pełnych diamentów, wywożonych z rządowych kopalni. Po przydomowych ogródkach biegają lwy, a najdroższym czarnorynkowym towarem są rogi nosorożców. **Oto kraina uśmiechu, która działa na własnych zasadach.**

Według statystyk w Zimbabwe panuje skrajna bieda, ale na ulicach tego nie widać. Tu większym problemem niż brak do pierwszego są słonie wchodzące do miasta nocą i hipopotamy tratujące rybaków nad jeziorem. Brakuje prądu. Czasem przez trzy godziny, a czasem przez dwa miesiące. Prezydent Mugabe, przyspawany do fotela, rządzi bardziej swoją skorumpowaną siłą niż krajem, choć boją się go wszyscy. Policja okrada mieszkańców i wymusza łapówki, bo państwo nie wypłaca żołdu. A mimo to Zimbabweńczycy to szczęśliwi i pogodni ludzie.

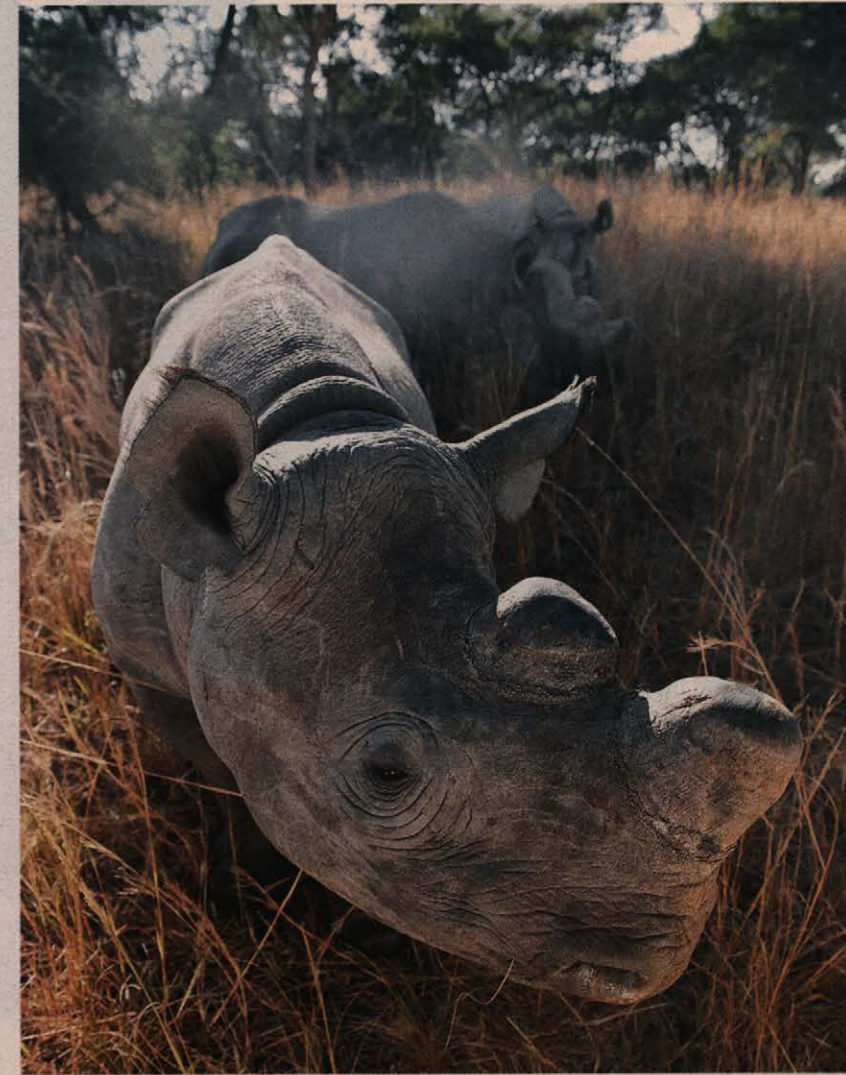
Obok platyny, złota czy diamentów najcenniejszym zasobem Zimbabwe są zwierzęta. Skóry, trofea, poroża, wypchane głowy, odcięte ciosy i sproszkowane rogi. Polowa jedzie do Europy, by bogacze mogli sobie powiesić pamiątki kolonialne nad kominkiem. Druga połowa trafia do Azji, przede wszystkim do Chin i Wietnamu. Chińczycy wierzą, że produkty z serca lwa czy rogu nosorożca odganiają złe duchy i stanowią panaceum na wszelkie dolegliwości. Kilogram złota na rynku surowców kosztuje ok. 50 tys. dol., a kilogram rogu nosorożca – 65 tys. Nieustający wyścig między kłusownikami i służbami ochrony przyrody nazywa się wojną o nosorożce i w tej kwestii „wojna” nie jest oznaką zbędnej emfazy.



NOSOROŻCE

Z jednej strony stoją rangerzy, funkcjonariusze Ministerstwa Środowiska z karabinami szturmowymi FN FAL czy .303. W starych mundurach, z racjonowaną amunicją i leciwymi samochodami. Z drugiej – ekskomandosi, wyszkoleni najemnicy ze śmigłowcami, noktowizją, karabinami snajperskimi, działający w kilkusobowych, zgranych oddziałach. Uśmiercają nosorożce na zlecenie chińskiej mafii, która „produkt” przerzuca potem przez Kapsztad lub Durban do Azji. Słoniami zajmują się częściej afrykańskie gangi, międzynarodowe szajki finansowane nie wiadomo skąd. Na lwy, zebry i żyrafy poluje się przy okazji. Mimoschodem.

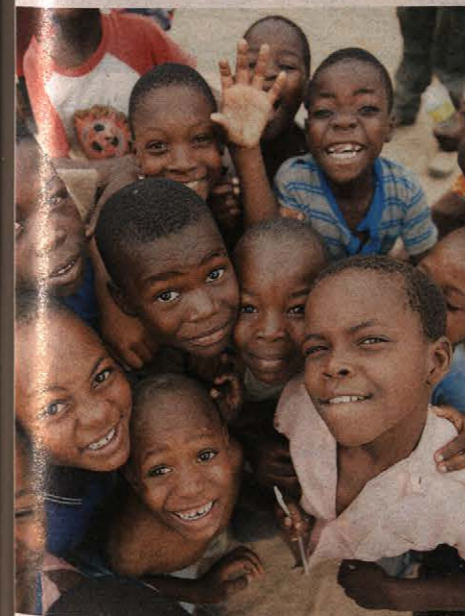
Kłusownicy w Zimbabwe to nie leśne dziadki rozkładające wnyki na polanach. To mordercy pozbawieni skrupułów. Zabijają zwierzęta – i ludzi, którzy staną im na drodze, choćby przypadkiem. W Imire, jednym z rezerwatów ochrony nosorożców, związali i pobili kilkanaście osób. Strażnikowi wypalili oczyma kwasem z akumulatora. Uważa, że miał szczęście.



POLITYKA

Polityka to starcie dwóch głównych partii: prezydenckiej Zanu-PF i opozycyjnej MDC. Wybory prezydenckie: przekładane na kolejne terminy przez cztery lata. Kampania wyborcza: propagandowe media, zastraszanie opozycji, pobicia, porwania i okaleczania. Wybory: 300 tys. wyborców niedopuszczonych do urn, 200 tys. dopuszczonych „w asyście”, jedna trzecia zarejestrowanych wyborców to martwe dusze lub osoby w wieku 120 lat. Wynik: prezydent Mugabe nadal rządzi, zdobywszy 61 proc. głosów. Nadal, od 1987 r.

Opozycja zbiera siły i szuka poparcia. Na ulicach stolicy, Harare, wystawiają stoiska z materiałami dokumentującymi zbrodnie reżimu i organizują happeningi. Dwa lata temu zatrzymałem się przy takim stoisku. Rozmawiałem z aktywistą może dwie minuty. Trzydzieści metrów dalej zatrzymał mnie agent służby bezpieczeństwa i dokładnie wypytał o wszystko, łącznie z miejscem urodzenia.



RODZINA

Srednia długość życia: 54 lata, 178. miejsce na świecie. Typowy dystans pokonywany pieszo przez dziecko do szkoły: 21 km. Na co uważać: na odurzonych kierowców, więc nocą lepiej nie jeździć w ogóle. Na co jeszcze: na lwy patrolujące okolice wiosek, więc wieczorami

dzieciaki zgania się z huśtawki do domu i zamyka drzwi. Przymak w weekend: hamburger z bananem w lokalnym fast foodzie w Harare. Rozmawiać z obcymi: można, śmiało. Z kim nie rozmawiać: z mundurowymi.

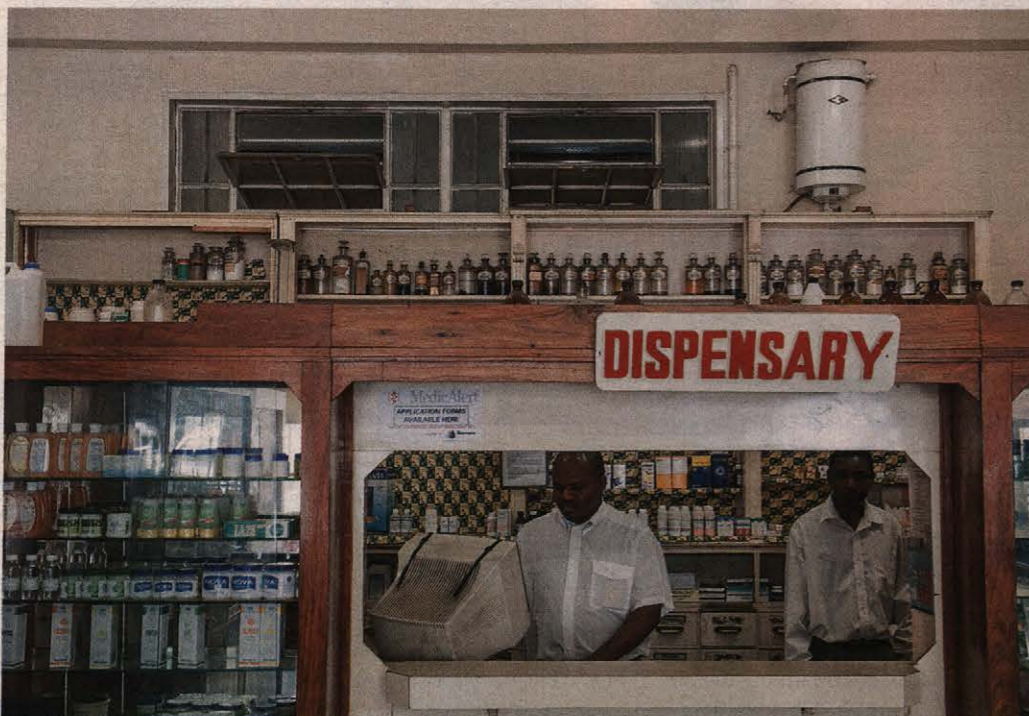
Czasem brakuje jedzenia, a mięso droższe z dnia na dzień. Najlepiej mają ci, którzy

mieszkają w pobliżu rezerwatów i parków narodowych. Wystarczy wypalić trawy na ich granicy. Gdy spadnie deszcz i ziemia się zazieleni, zwierzęta same wyjdą na strzał. Poza rezerwatami, jeśli chodzi o dzikie zwierzęta, Zimbabwe to głównie pustynia. Wszystko, co dało się zjeść, zjedzono.

PROBLEMY

W Zimbabwie było bezpiecznie, jeśli nie liczyć opresji wojska i administracji. Nie było włamań, zabójstw, rabunków. Teraz są. Gdy brakowało pracy i można było stracić rękę za niegłosowanie na Roberta Mugabe, wielu ludzi uciekło do RPA, do najbliższego Johannesburga, najgorszego siedliska przemocy, rasizmu i przestępczości w tej części świata. W slumsach młodzi Zimbabweńczycy uczyli się, jak okradać bankomaty (z użyciem dynamitu), mieszkania (włamanie, rabunek, zabójstwo) i przechodniów (na milion sposobów). Teraz, przy lekkiej odwilży, wrócili do kraju i przywieźli nowo nabytą wiedzę.

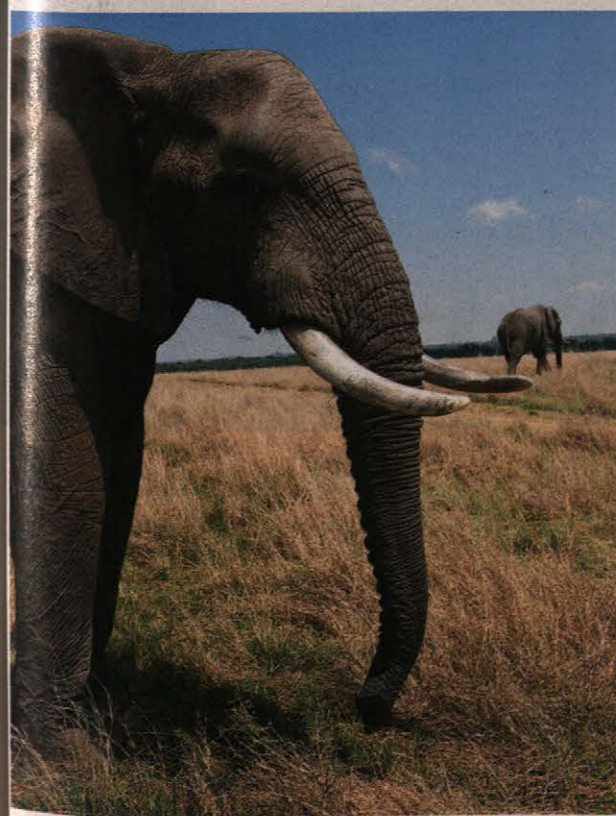
W Harare modnie jest ogrodzić dom murem z drutem żyłkowym pod napięciem, mieć broń pod łóżkiem. Wracając z lotniska z ochroną, bo na światłach rabują samochody. Harare to nie Johannesburg, ale wielu Zimbabweńczyków tak myśli. Jeszcze więcej w tych ogrodzeniach widzi symbol swojego statusu. Kiedy stawiają takie ogrodzenia, pokazują, że mają co chronić.



ŻYCIE

W Zimbabwie trzeba sobie radzić. Prezydencki plan walki z bezrobociem zakładał obniżenie stópki, więc administracja zaczęła rozbudowywać siły policji i wojska, zatrudniając na potęgę. W skarbcu nie było pieniędzy na żołd, więc koszty utrzymania posterunków przerzucono na same posterunki. Policja w całym kraju rozstawia więc check-pointy, często co 20 km. Oficjalnie wystawiają mandaty. W rzeczywistości wraz z prawem jazdy podaje się kilka banknotów i jedzie dalej. Takie winiety ordynowane lokalnie.

W aptekach leki na malarię. Zamiast 70 dol. za paczkę – dwa i pół. Nielegalnie kopie zachodnich lekarstw lub lokalne receptury. Koncerny farmaceutyczne biją na alarm, że to niebezpieczne, że brak kontroli, niewiadome pochodzenie. Farmaceuci mają odmienne zdanie.

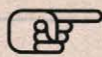


KOŚĆ SŁONIOWA

Słonie to kontrowersyjny temat. Piękne i majestatyczne, symbol walki z kłusownictwem i postępu w ochronie środowiska. To na plus. Ale słonie to skarcanie dla ekosystemu, zwłaszcza jeśli jest ich za dużo. Niszczą i wyjadają, zabijają inne zwierzęta, dominują. Ciosy słoni to nadal chodliwy towar, za jeden można dostać kilkaset dolarów. Większość towaru jedzie do sąsiedniej Zambii, do Lusaki, węzła przerzutowego wszelkiej kontrabandy. Znalazienie nielegalnych pamiątek z kości słoniowej zajmuje tam kilka godzin.

W Zimbabwie można znaleźć produkty „legalne”, z oficjalnymi certyfikatami uboju zgodnego z prawem i pozwoleniem na wywóz z kraju. Danych brak, ale szacuje się, że przynajmniej 30 proc. certyfikatów jest fałszowanych przez urzędników i sprzedawanych na czarnym rynku a drugie tyle wydaje się poprzez fałszowanie danych w statystykach populacji i dozwolonego uboju. Przyroda to towar, nie więcej.





ANNA SAŃCZUK

Uwolnić pomniki!

Pomniki i miejsca pamięci to w Polsce kwestia wagi ciężkiej. Są już jednak rodzimi ryzykanci artystyczni, którzy pracują nad tym, by uwolnić pomniki od balastu uwikłań politycznych i przyciężkiej estetyki, a nawet – o zgrozo! – tchnąć w nie odrobinę ciepła i poczucia humoru.

Wagi ciężkiej? Symbolicznie przypomnieli nam o tym niemiecki performer Christian Jankowski, który skrzyknął grupę sportowców ciężarowców, by wielkim wysiłkiem ruszyli z posad warszawskie

monumenty – dokumentację z jego akcji można było latem oglądać w stołecznym CSW. Muskularni mężczyźni poderwali z ziemi na kilka chwil pomnik Ludwika Waryńskiego, pomnik Syrenki na Starym Mieście oraz

figurę żołnierza z pomnika „czterech śpiących”. Jego projekt o wymownej nazwie „Historia wagi ciężkiej” to ciekawy komentarz do polskich zmagani z powojenną historią. Po 1989 r. spór PRL-owskich pomników zostało

usuniętych, zburzonych, niektóre nadal wywołują burzliwe dyskusje, jak wspomniany pomnik „śpiących”, czyli Polsko-Radzieckiego Braterstwa Broni na warszawskiej Pradze. Warszawa jest w ogóle szczególnym miejscem dla pomników. Z żywą pamięcią powstańców walk i wojennych pacyfikacji oraz burzliwymi sporami politycznymi wokół monumentów historycznych. Tutaj też pojawiły się w ostatnich latach

Pomniki mobilne Fundacji Form i Kształtów latem wyjechały na stołeczne ulice.

jaskółki nowego myślenia o miejskich pomnikach-objektach, w postaci choćby palmy Joanny Rajkowskiej na rondzie de Gaulle’a („Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich”) czy wzbudzającej zaskakująco gorące emocje i nieustannie podpalanej tęczy na placu Zbawiciela autorstwa Julity Wójcik.

Dość tych krwawych dziejów

W stolicy siedzibę ma Fundacja Form i Kształtów, która specjalizuje się w miejskich interwencjach artystycznych w różnych zakątkach ojczyzny naszej, ale ostatnio także wzięła na warsztat warszawskie pomniki: – Kiedy do Warszawy przyjechał mój brazylijski współpracownik, chodziliśmy po mieście i on mnie nieustannie pytał: a co to za obelisk, a co to za pomnik, a co to za krzyż? I niemal wszystkie te obiekty wiązały się oczywiście z jakimś dramatycznym wydarzeniem, walką, rozstrzelaniem – opowiada Iza Rutkowska, szefowa fundacji. – To było niesamowite, bo na co dzień przestajesz widzieć pewne rzeczy, a świeże spojrzenie cudzoziemca każe mi dostrzec Warszawę na nowo. I na początku moją reakcją był bunt – dość tych „krwawych dziejów”! Wyburzyć wszystko, co związane z okropną polską celebrą cierpienia! Kiedy już się trochę uspokoiłam, stwierdziłam, że OK, szanuję przeszłość i wszystkich tych dzielnych ludzi, ale żyję w zupełnie innej rzeczywistości i moje pomniki będą zupełnie inne. To kwestia przywrócenia zdrowych proporcji w urządzaniu przestrzeni miasta – za dużo mamy przytłaczających betonowych grzmotów, kamiennych obelisków, które mają stać „na zawsze i po wsze czasy”. Chciałabym, żeby ludzie mogli myśleć o pomniku jak o czymś, co wyzwala zwykle emocje. Nie takie jak pomnik smoleński, że się kłócimy, tylko pozytywne, fajne, ciepłe. Żeby przypominał im miłe momenty, był „kumplem”, częścią codziennego życia. Tak pojawił się pomysł mobilnych pomników. Poręczne modele warszawskich monumentów-

-symboli miasta, które można zabrać ze sobą wszędzie: kolumnę Zygmunta na wycieczkę rowerową, Syrenkę na kółkach – na kupowanie jabłek od chłopca pod Halą Mirowską albo spacer nad Wisłą, a Pałac Kultury na przejażdżkę samochodem z dziewczyną.

Do ślubu z kolumną Zygmunta

Przez cały sierpień można było wypożyczać mobilne pomniki z wystawy w galerii Kordegarda. Organizatorzy zachęcali: „Spacerowicze, rowerzyści i kierowcy, ruszcie się i ruszcie z podstaw pomniki! Chcecie sprawdzić, jak to działa? Wypożyczcie jeden z obiektów i zabierzcie ze sobą w podróż Warszawę!”. Warunkiem były pozostawienie dowodu osobistego w zastaw i fotodokumentacja wyprawy. Tak Iza tłumaczy ideę projektu: „Klasyczny pomnik jest statyczny, jest zaprzeczeniem działania się w mieście. Mobilne pomniki odwracają to myślenie do góry nogami, w dodatku są zrobione z nietrwałego kartonu, są antytezą betonowych obelisków. Zależało mi, żeby wyzwolić w ludziach miłe skojarzenia z obiektami, żeby taki pomnik był traktowany raczej jako towarzysz naszych zajęć codziennych, wręcz maskotka. Druga sprawa – miałam problem z tym, jak promowana jest Warszawa, w której superfajne działania są marginalizowane i niedostrzegane przez decydentów. Pomyślałam, że gdyby przerobić nasze pomniki na mobilne i ludzie jeździliby z nimi po świecie, mogłoby to pokazać Polaków za granicą w innym świetle oraz znakomicie promować miasto”. Pomysł z wypożyczalnią pomników zadziałał: Pałac Kultury m.in. pojechał z animatorami z Mazowieckiego Centrum Kultury do Szydłowca na warsztaty z młodzieżą. Pojawiła się grupa szkolna, która zabrała Syrenkę na spacer, była dziewczyna jadąca na ślub przyjaciółki jako fotograf – przysłała fotkę pana młodego, który do garnituru ślubnego założył odblaskową kolumnę Zygmunta.



W nocy z 28 na 29 września na Polu Mokotowskim będzie można przytulić się do 6-metrowego misia i razem z nim oglądać spadające gwiazdy.

Inna dziewczyna wzięła kolumnę i pałac na spływ kajakowy. Pomniki zabierano na wyjazdy zagraniczne: – Dostałam mejle typu: chciałbym wypożyczyć mobilny pomnik, ale taki, który zmieści się w limicie bagażu tanich linii lotniach bez dodatkowych opłat – śmieje się Iza.

Pomnik Supersamu

„Uwolnić pomniki!” – tak właśnie, niczym manifest rewolucyjny, nazywa się trwająca właśnie wystawa kolektynu Zmiennicy, który tworzą Justyna Wencel i Marcin Chomicki. W Kwaciarni Grafiki przy Tucholskiej 12 pokazują przegląd swoich projektów dla przestrzeni publicznej. Jak piszą we wstępie do wystawy: „Trzeba uwolnić współczesne pomniki od ciężaru zużytych estetyk i nieadekwatnych rozwiązań artystycznych, rozszerzyć definicję pomnika, pytać, co dziś warto upamiętniać. Nasz postulat: pomniki do przeżywania, pomniki do zapominania, pomniki do bycia razem”. Marcin uważa, że w Polsce w architekturze pomnikowej nastąpił regres: „Jeśli pominiemy ich silnie propagandowy przekaz, to w latach 60. i 70. było bardzo dużo ciekawych realizacji pomnikowych – zauważa. – Łączono architekturę, rzeźbę i myślenie przestrzenne. Gdzieś po 1989 r. nastąpił upadek – nie wiem nawet, czy to jest powrót do XIX-wiecznej estetyki, czy po prostu brak myślenia! A przecież rzeczywistość się zmieniła i forma tych pomników powinna być adekwatna do czasów, w których żyjemy. I więcej oferować odbiorcom, zapraszać ich do interakcji. Justyna dodaje: – Niekoniecznie musimy upamiętniać to, co oczywiste, co przerabialiśmy już w szkole na lekcjach i dobrze znamy z ulic, np. wielkich ludzi i wielkie wydarzenia, jak powstanie warszawskie. Nas interesują obszary bardziej przemilczane czy nietypowe.

Na przykład? Pomnik funkcjonalny „Przystanek Supersam” to przystanek autobusowy powtarzający w małej skali unikatową konstrukcję zburzonego kilka lat temu wybitnego modernistycznego budynku. Hołd dla nie-

istniejącej już architektury lat 60. i jej genialnych twórców.

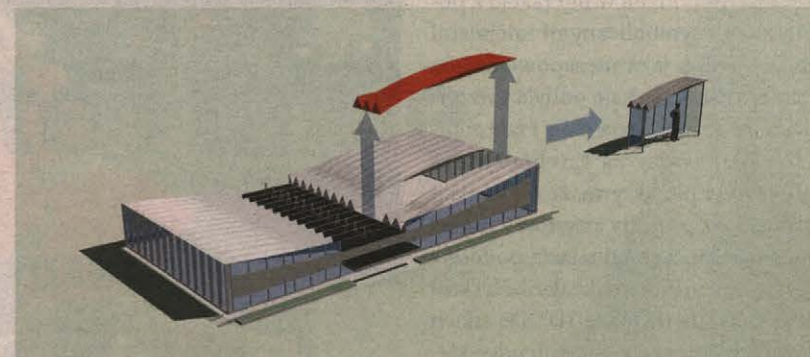
Miejsca dla ludzi

Kolejnym nietypowym projektem jest „Dancefloor”, obiekt upamiętniający nie konkretną postać czy wydarzenie, ale ideę wolności. Dla pokolenia urodzonego w latach 70., do którego należą też Justyna i Marcin, takim okresem wolności był przełom lat 80. i 90. Czas, kiedy stare „kajdany” opadły, a nowe jeszcze nie spętały społeczeństwa. Czas, kiedy wszystko było możliwe, kiedy nie dokoła się jeszcze absurdalny skok z krainy braku w krainę nadmiaru, odbywało się mnóstwo nieformalnych działań artystycznych. Uosobieniem ducha tych czasów jest dla Zmienników m.in. polska muzyka reggae. „Dancefloor” to parkiet do tańczenia zbudowany z kwadratów w kolorach rasta. Dzisiejsza technologia pozwalałaby tworzyć z nich animacje rozbrzmiewające muzyką, zakładając też udział polskiego środowiska reggae w komponowaniu audio-wizualnej strony „pomnika”. Projekty miejskich obiektów autorstwa Zmienników mają zawsze te same założenia – nie są „spadochroniarskie”, co znaczy, że ściśle wiążą się z kontekstem miejsca, są wsluchane w potrzeby okolicznych mieszkańców i mają wiele warstw znaczeniowych, które każdy może odkrywać na miarę swoich możliwości i wiedzy. Jak w pracy „Pomnik pomników”, która w 2008 r. powstała na warszawskiej Pradze: – Wzięliśmy syntetyczną, uproszczoną formę obelisku, powtarzającą się w niezliczonych PRL-owskich pomnikach, i zmieniliśmy jej orientację – z wertykalnej na horyzontalną – opowiada Marcin. – Tym samym zmieniliśmy funkcję pomnika z obiektu dominującego na otwarty wobec odbiorców. Tak samo było w przypadku „Lapidarium” ustawionego na Powiślu – obiekt został szybko zaanektowany przez mieszkańców, zaczęły się tam odbywać spotkania, sesje ślubne. Ludzie siadali, pili piwo i czytali gazety.

W ramach cyklu „Architektura przemiany” Zmiennicy kontynuują podobne działania, przekształcając elementy



Projekty grupy Zmiennicy. Powyżej „Lapidarium”, obok „Przystanek Supersam”.



małej architektury miejskiej w nowe obiekty rzeźbiarskie. Najnowsze takie dzieło można oglądać w tymczasowej siedzibie fundacji Bęc Zmiana w warszawskim Jazdowie.

Smoleńsk w trzech częściach

Zmiennicy nie unikają tematów cięższego kalibru, wzięli nawet udział w konkursie na pomnik smoleński. – To było tak trudne, że tym bardziej nas kusiło – mówi Justyna. – Staraliśmy się unikać wyrazistej symboliki, jak np. krzyż, i rozegrać pomnik na płaszczyźnie plastycznej. Projekt składał się z trzech części: drogi, właściwego pomnika i znajdującego się za nim lasu. Wydaje, że na końcu drogi jest masywna, zamknięta struktura, w miarę zbliżania się można dostrzec

prześwity. Rozsypane płyty, jak po katastrofie, wirują i tworzą specyficzną dynamikę. Całe założenie jest pozbawione wyraźnego centrum, staje się przestrzenią kontemplacji i umożliwia odbiorcy przeżywanie tragedii w indywidualny sposób. Marcin dodaje: – Od początku myśleliśmy o tym pomniku jako o przestrzeni demokratycznej, otwartej na wszystkich. Takiej, która pozwoli tę traumę przepracować i pójść dalej. W tym znaczeniu jest to pomnik o charakterze terapeutycznym, pomnik do zapominania. Werdykt jury konkursu pokazał jednak, jak bardzo to nasze myślenie różni się od potrzeb współczesnych Polaków. Na świecie podobne podejście zaowocowało choćby berlińskim pomnikiem Holokaustu Petera Eisenmana, w któ-

rym odbiorca gubi się w labiryncie kamiennych obelisków.

Zmiennicy, pomimo że ich pomnikowe propozycje często pozostają na papierze albo nie wychodzą poza fazę prototypów w małej skali, dają sobie czas. Być może ich cierpliwość zostanie nagrodzona – są duże szanse, że ich „Przystanek Supersam” po sześciu latach od powstania projektu stanie w końcu na placu Unii Lubelskiej.

Hand made 3D

Tymczasem znacznie wcześniej, bo już pod koniec września, Fundacja Form i Kształtów planuje kolejną szaloną akcję miejską zainspirowaną pomnikami, zatytułowaną „Przytulanka”. Będzie to ogromna, 6-metrowa przytulanka miś, która pojawi się nieoczekiwanie w różnych punktach miasta i będzie wchodziła w interakcje z pomnikami i symbolicznymi miejscami stolicy. Jedną taką niezapowiedzianą „przechadzka” już się odbyła i wzbudziła entuzjazm świadków i falę gorących komentarzy na Facebooku. Iza Rutkowska nie ukrywa, że do tej akcji ośmieliły ją projekty artystów z całego świata, w których odnalazła podobne myślenie o miejskich działaniach i które nazywa „hand made 3D”. Do takich twórców zalicza choćby holenderskiego performerę Florentijn Hofmana, którego potężna, przeskalowana kaczuszka do kąpieli pływała swego czasu po Tamizie, a gigantyczny drewniany królik, wyglądający, jakby spadł z nieba, przysłonił na trzy miesiące nudny pomnik w jednym z miast Szwajcarii. W Brazylii Hofman położył w jednym z parków Sao Paulo Wielką Małpę wykonaną z tysięcy kultowych brazylijskich kłapek Havaianas.

Inni inspirujący twórcy tego nurtu to nowojorczyk Kurt Perschke, który w symbolicznych punktach wielu miast świata umieszcza gigantyczną czerwoną piłkę, czy amerykańsko-kubański kolektyw „Friends with You” zarażający pozytywną energią za pomocą dmuchanych rzeźb-pomników w kształcie grzybów i psychodelicznych zabawek. Rozmowy z tymi artystami ukażą się

w grudniu w książce Izy Rutkowskiej „Puszczam oko w przestrzeń”. To hołd dla twórców, którzy zainspirowali Izę do realizowania najdziwniejszych pomysłów, takich, jak „Przytulanka” właśnie. – „Przytulanka” mi się po prostu kiedyś przyśniła – opowiada Iza. – Stało się to w okresie, kiedy dużo myślałam o pomnikach i o tym, że chcę, by były naszymi „przyjaciółkami”, czymś bliskim, a nie przytłaczającym. Zastanawiałam się, jak zrobić coś, do czego nie będzie można przyczepić ani haseł politycznych, ani treści społecznie kontrowersyjnych. Coś, co będzie te rzeczy odbijało w spo-



Z takim pomnikiem da się nawet biegać. „Pałac Kultury” Fundacji Form i Kształtów.

sób trochę prześmiewczy. Coś, co odwoływałoby się do doświadczenia, które łączy wszystkich. I wtedy pomyślałam, że każdy w dzieciństwie miał swojego ukochanego misia, którego przytulał.

Miś na miarę naszych możliwości

Przytulankę zaprojektowała Iza, a zaprzyjaźnione krawcowe uszyły go z wytrzymałego brezentu żaglowego, po czym rodzina Rutkowskich wypchała go styropianowym granulem. Obecnie miś czeka na wymarsz w miasto w magazynach Nowego Teatru. Oficjalny inauguracyjny event, podczas którego mieszkańcy stolicy będą się

mogli zapoznać z „Przytulanką”, odbędzie się w nocy z 28 na 29 września na Polu Mokotowskim. Fundacja Form i Kształtów zaprasza do zabrania koców, by wspólnie z misiem oglądać spadające gwiazdy. – Choć „Przytulanka” to projekt nie dla dzieci, jak sądzą niektórzy, choć oczywiście one też mogą przyjść – zaznacza autorka. – Bardziej zależało mi, żeby dorośli mogli wejść na takiego misia, położyć się na nim i pomyśleć o różnych rzeczach. „Przytulanka” jest dla mnie sposobem, żeby ściągnąć ludzi, żeby zrobili coś wspólnie. Miś, podobnie jak tęcza Julity Wój-

cik, to jedynie pretekst, zapalnik. Każdy będzie widział w nim to, co będzie chciał. Moja wiadomość do odbiorców jest taka: Pamiętajcie, że miś jest nastawiony przyjaźnie do wszystkich, a co wy z tym zrobicie, to już wasza broszka. Moja jedyna prośba – nie urywajcie mu łapek!

Aż chciałoby się rzec za klasykiem: „To jest miś na miarę naszych możliwości. My tym misiem otwieramy oczy niedowiarkom! Mówimy: to jest nasz miś przez nas zrobiony i to jest nasze ostatnie słowo!”.

www.csw.art.pl, www.formyikszalty.pl, www.wencel.art.pl, www.chomicki.art.pl

ekiosk.PL™

ponad **380** tytułów prasowych w e-wydaniach!

zobacz jakie to proste i tanie

PRZETESTUJ DARMOWE WYDANIE

**PRZE
KROJ**

www.ekiosk.pl/przekroj_test



MIKE URBANIAK

Tak, lubię patrzeć

Taniec wynika z ciała, fizyczności, cielesności, ale ma przekazywać przede wszystkim idee. Za tańcem stoi zawsze jakaś myśl – tak o genezie festiwalu **Ciało/Umysł** opowiada jego założycielka **Edyta Kozak**.

Spektakl „Twerk” duetu François Chaignaud /Cecilia Bengolea to sentymentalna podróż artystów do czasów, gdy jako nastolatki zdobywali taneczną wiedzę w dyskotekach.



Nikt nawet nie przypuszczał, że jednorazowe wydarzenie taneczne przekształci się w prestiżowy festiwal z mnóstwem międzynarodowych gości.

A tak właśnie się stało. W 1995 r. Edyta Kozak usłyszała w stołecznym ratuszu: – Mamy trochę pieniędzy, zrób coś. I zrobiła, więcej, niż można było przypuszczać.

Czas temu sprzyjał, bo w Polsce na początku lat 90. zaczęło powstawać sporo niezależnych grup tańca: w Gdańsku, Kaliszu, Krakowie. Sama Kozak, była solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, zerwała wówczas radykalnie z baletem, zwróciła się w stronę tańca współczesnego i zaczęła prowadzić w Warszawie własną grupę NEI. Grupa pokazywała spektakle w Teatrze Wielkim, Centrum Sztuki Współczesnej czy Kinoteatrze Tęcza, na stały adres nikt nawet nie liczył. To właśnie w Tęczy zorganizowano pierwszy przegląd tańca współczesnego, którego ideą przewodnią było nowe, inne, niestandardowe myślenie o tej dziedzinie sztuki.

– To był niesamowity czas. Ludzie zjechali z całej Polski. Uczestniczyliśmy w warsztatach, robiliśmy pokazy, grillo-waliśmy i integrowaliśmy się – opowiada dzisiaj Edyta Kozak. Wówczas wydarzenie nazywało się Małe Formy Teatru Tańca, nazwę zmieniło w roku 2001, ale o tym za chwile.

Tańcz i myśl

Początek nie był łatwy: nie było dziennikarzy piszących o tańcu współczesnym, publiczności, a miasto, które jeszcze niedawno samo proponowało festiwal, zakomunikowało, że jednak nie ma pieniędzy na jego kontynuację. Organizację zawieszono na trzy lata. Potem był powrót i znów kłopoty. W końcu, w 2005 r., festiwal wrócił na dobre. W dodatku w nowej formule. Kozak: – W kraju powstawało coraz więcej festiwalu tańca. Zaczęłam więc dużo jeździć i oglądać. Szybko zdałam sobie sprawę, że one są do siebie bardzo podobne. A w międzyczasie nastąpił jakiś niesamowity wybuch w świecie sztuk

wizualnych. Pomyślałam, że warszawska widownia potrzebuje czegoś nowego, świeżego. Wtedy nastąpiła zmiana.

Festiwal otwiera się szeroko na sztuki wizualne, interdyscyplinarność, eksperyment. – Sam taniec wydawał mi się formą archaiczną, uważałam, że trzeba szeroko czerpać z innych dziedzin. W pewnym momencie okazało się nawet, że współpracuje z nami więcej reżyserów i filozofów niż choreografów – śmieje się Edyta Kozak.

Oprócz formuły zmieniła się także nazwa. Dlaczego Ciało/Umysł? – Bo taniec wynika z ciała, fizyczności, cielesności, ale ma przekazywać przede wszystkim idee. Za tańcem stoi zawsze jakaś myśl. Nieporozumieniem jest oddzielanie ciała od ducha, co już dawno zrozumieli najwięksi twórcy.

Trudne tematy

Jest wśród nich z pewnością gwiazda tegorocznej edycji festiwalu, wybitny francuski tancerz i choreograf Jérôme Bel. Bywalcy Ciało/Umysłu widzieli w poprzednich latach jego trzy prace: „Jérôme Bel” (2001), „Shortologie” i „The Last Performance” (2005) oraz „The Show Must Go On” (2011) – dużą koprodukcję muzyczną z Teatrem Dramatycznym. Tym razem Bel przyjedzie do Warszawy ze spektaklem „Disabled Theater”, który przygotował we współpracy z najsłynniejszym szwajcarskim teatrem stworzonym przez osoby niepełnosprawne intelektualnie – Teatrem HORA.

– Kiedy Bel dostał propozycję z Teatru HORA, nie zgodził się – mówi Edyta Kozak. – Dopiero po jakimś czasie postanowił jednak spróbować i to była bardzo dobra decyzja. Pracując z aktorami, właściwie usunął się w cień, jakby mówił: macie scenę i pokażcie, co potraficie. Oglądając ten spektakl, szybko można zdać sobie sprawę, że to ci profesjonalni aktorzy bawią się nami, a nie my nimi, myśląc, że jesteśmy tacy super, tacy zdrowi. Widz odczuwa jednocześnie jakąś niewygodę, z którą musi się nieustannie konfrontować, musi spojrzeć na osoby niepełnosprawne zupełnie inaczej.

Spektakl *Bela*, który miał premiery w zeszłym roku, wzbudził ogromne zainteresowanie, zdobył sporo nagród i objechał już kawałek świata. W końcu zawita do Polski.

Nie można też przegapić „*The Modesty of Icebergs*” Kanadyjczyka Daniela Léveillé’a. Edyta Kozak: – Na scenie zobaczymy kilku nagich mężczyzn, którzy tańczą do muzyki Fryderyka Chopina, ale robią to w sposób nieopatujący nagością. Coś zupełnie niezwykłego.

Cielesność i nagość są, o czym warto wiedzieć, jednymi z trzech tabu, które szczególnie interesują organizatorów festiwalu *Ciało/Umysł*. Kolejne to niepełnosprawność, spotkanie z Innym oraz artystyczność, a dokładnie rzecz biorąc, odpowiedź na pytania: co nią jest, a co nie jest? Co sztuką nazywamy, a czego nie? I dlaczego? Być może odpowiedź przyniesie spektakl „*altered natives’ Say Yes To Another Excess*” – *TWERK* autorstwa François Chaignaud i Cecillii Bengolea, który zabiera widzów do klubu nocnego albo raczej klub nocny wprowadza na scenę. Czy wykonywany tam taniec jest sztuką? Czy tancerz trzęsący rytmicznie tyłkiem (bo to jest właśnie twerking) to artysta? Tak? Nie? Nie wiem?

Teraz Polska

Realizacja wielu projektów *Ciała/Umysłu*, także polskich, jest możliwa głównie dzięki temu, że festiwal należy do dwóch międzynarodowych sieci tanecznych, które dofinansowywane są z Unii Europejskiej. Jedną z nich jest APAP, czyli *Advancing Performing Arts Project*, który skupia ośrodki z Austrii, Belgii, Norwegii, Włoch, Francji, Zagrzebia, Berlina i właśnie Warszawy. Edyta Kozak: – W Polsce niemal w ogóle nie ma pieniędzy na taniec. A jeśli już, to jakieś naprawdę śmieszne kwoty. Dlatego większość rzeczy, które produkujemy, powstaje za europejskie pieniądze. To dzięki nim stołeczna publiczność będzie mogła obejrzeć wiele interesujących spektakli. Także polskich.

Bo oprócz wielu znakomitych propozycji zagranicznych tegoroczna edycja *Ciała/Umysłu* ma bardzo silną polską reprezentację. Premierowy spektakl „*Agency*” pokaże Wojtek Ziemilski, jeden z najciekawszych młodych twórców, działający na pograniczu teatru, performance’u i sztuk wizualnych. Wystąpi w nim znakomita tancerka i choreografka Maria Stokłosa, która przygotowuje także na festiwal własne przedstawienie solowe pod tytułem „*Intercontinental*”.

„*Spieg. Albo Człowiek, który słucał*” to kolejna premierowa propozycja. Przygotowuje ją duet – Grzegorz Laszuk i Michał Libera. Widzowie zobaczą multimedialny spektakl muzyczno-taneczny oparty na motywach z życia legendarnego twórcy pierwszego instrumentu elektronicznego – Lwa Teremina. Inną legendą, Wacławem Niżyńskim, zajął się z kolei dramaturg i reżyser teatralny Sławomir Krawczyński, który pracuje nad nową inscenizacją „*Święta wiosny*” Igora Strawińskiego. Na scenie zobaczymy Tomasz Wygodę – tancerza i autora choreografii do spektakli operowych Mariusza Trelińskiego.

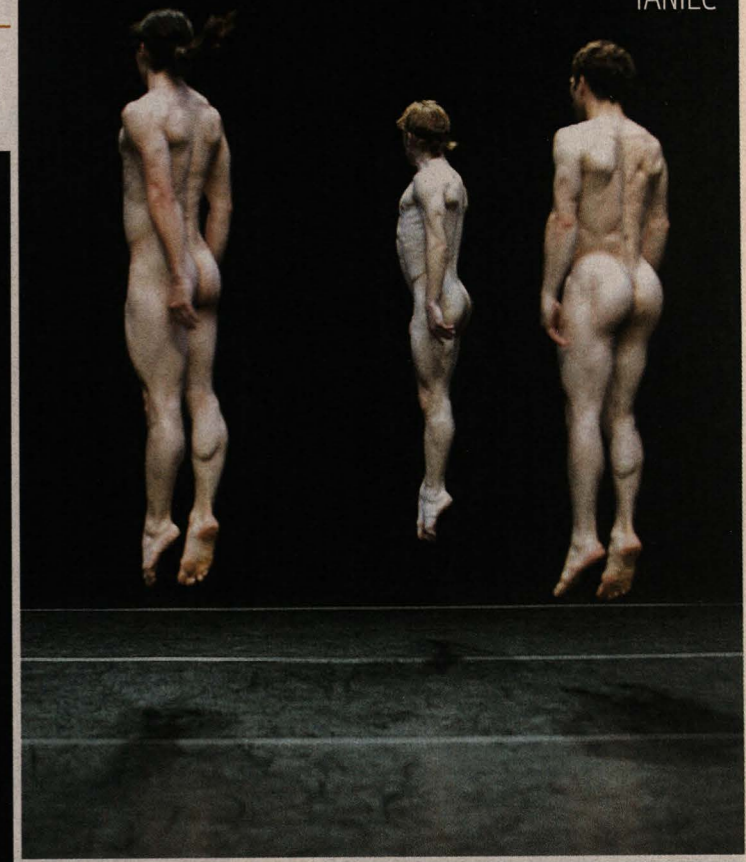
Edyta Kozak: – Bardzo mi zależało, żeby w tym roku pokazać wiele polskich spektakli, i chyba się udało. Artyści, których zaprosiłam, zawsze czymś zaskakują, są nieoczywiści, chodzą własnymi drogami. Sama jestem ciekawa, co nam pokażą.

Każda edycja festiwalu ma tematy przewodnie. Raz była nim cielesność w tańcu czy projekty *site specific*, innym razem spektakle polskich artystów, którzy tworzą na stałe za granicą. W tym roku hasło *Ciała/Umysłu* brzmi: „*Tak, lubię patrzeć*”. – Dla mnie to po prostu zaproszenie dla widzów, bo my, twórcy, często o nich zapominamy. A ja bym chciała wiedzieć, jakie emocje towarzyszą naszej publiczności. Czy to, co ludzie oglądają na scenie, śmieje ich, przeraża, denerwuje? Lubią to czy tego nie lubią? Czy zasiejemy w nich jakieś ziarno, które potem zakiełkuje? Przekonamy się już niebawem. 📞 www.cialoumysl.pl

„*Disabled Theatre*” – spektakl, który Jérôme Bel przygotował z Teatrem HORA – to jedna z najbardziej wyczekiwanych festiwalowych premier.

W „*The Modesty of Icebergs*” Daniela Léveillé’a kilku nagich mężczyzn tańczy do muzyki Szopena. Spektakl po prawie dziesięciu latach od światowej premiery przyjechał w końcu do Polski.

12. Międzynarodowy Festiwal Tańca Współczesnego Ciało/Umysł, 20–27.09. Teatr Studio w Warszawie, www.cialoumysl.pl

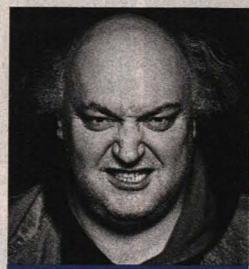


JACQUES GRENIER

MICHAEL BAISSE

Maciej Nowak

Felierton przedostatni



ARTUR KOT

Z samochodu wynurzyła się wyniosła sylwetka w kremowym garniturze i ciemnym golfie intelektualisty. Podpierał się stylową laseczką, gęste, ciemne włosy miał gładko zaczesane do tyłu, a okularów nie musiałby się wstydzić na placu Hipstera. Wyrazistym, surowym spojrzeniem omiął oczekującego go tłum: – Oto jestem!

Tak właśnie pojawił się w poprzedni poniedziałek na swym jubileuszu 80-lecia w Instytucie Teatralnym im. Zbigniewa Raszewskiego słynny Theatralski, redaktor nieregularnego periodyku „Świstek Teatralny”. Pod nazwiskiem Jerzy Timoszewicz był edytorem pism Leona Schillera i Jerzego Stempowskiego, przez długie lata jednym z najbliższych współpracowników prof. Zbigniewa Raszewskiego i redaktorem kwartalnika „Pamiętnik Teatralny”. Postać legendarna na miarę Franca Fiszera. Ponad prace naukowe zawsze przedkładał uszczypliwy żart, błyskotliwy cwiszenruf. W prezencie jubileuszowym otrzymał tom zbierający legendarne edycje „Świstka Teatralnego”, wzbogacony o dodatki przygotowane już wspólnie przez wyznawców Theatralskiego, niegdysiejszych współpracowników i uczniów.

„Świstek Teatralny” należy do popularnego niegdyś gatunku silva rerum, zbioru fragmentów i myśli pociesznych. Przez kilkadziesiąt lat podobne silva rerum pod redakcją Ludwika Jerzego Kerna ukazywało się w „Przekroju” jako „Ostatnia strona”. To była jedna z najbardziej lubianych rubryk naszego tygodnika. Kilka lat temu padła łupem zachłanności i ukazywały się na niej wyłącznie zdjęcia samochodów i innych tego typu głupstw. Dziś w przeddzień pogrzebu „Przekroju” układam naprawdę ostatnią „Ostatnią stronę” z materiałów wygrzebanych u Theatralskiego. Za tydzień funeraliów ciąg dalszy. A potem nie będzie już niczego.

Całowanie na scenie

„Par. 64. Całowanie na scenie, gdy sztuka tego wyraźnie nie wymaga, jest wzbronione. Nigdy mężczyzna damy w usta całować nie powinien, a gdyby autor w swej informacji to umieścił, w takim razie całuje w bok twarzy lub w czoło. Umyślne przestąpienie tego paragrafu karze się

Marzenie przedsiębiorcy zorganizować taki teatr, jak np. rzeźnię amerykańską! Z jednej strony stoi żywy wieprz, a po godzinie wychodzi z drugiej żywa kielbasa.

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

strąceniem gaży półmiesięcznej” („Powszechne prawidła dla teatru. Zebrał i wydał Teofil Borkowski, Dyrektor Teatrów Kijowskich i Teatru Żytomirskiego”, Kijów 1861).

Rzeźnia amerykańska

„Bo w teatrze u nas istnieje jedyny ideał, ideał przedsiębiorstwa. A marzenie przedsiębiorcy zorganizować taki teatr, jak np. rzeźnię amerykańską! Z jednej strony stoi żywy wieprz, a po godzinie wychodzi z drugiej żywa kielbasa. Nic to, że wszyscy, którzy byli w Ameryce, twierdzą, że kielbasa amerykańska jest straszna w smaku. Ale ta szybkość, prawda?! Ta organizacja!” (Z referatu Stefana Jaracza na Zjeździe Związku Artystów Scen Polskich w 1936 r.).

Numerek

„Art. 9. W wypadku śmierci członka Związku śmierć jego w celu ułatwienia kontroli ściągania składek otrzymuje kolejny numer. Kasa Zarządu Głównego oraz skarbnik Filii, pobierając składkę pogrzebową, notuje na ostatniej stronie legitymacji otrzymaną składkę, notując jednocześnie Nr kolejny śmierci” („Regulamin Kasy Pogrzebowej Związku Artystów Scen Polskich”, 1921 r.).

Osobom teatralnym – pieniędzy nie pożyczać

„Z Warszawy, d. 30 Januarii 1788, Jurysdykcja Marszałkowska widząc, iż przez zadłużanie się częste osób teatralnych wiele zawodów publiczność doznaje (...) wydała w tych dniach przy odgłosie trąb obwieszczenie, aby w dalszy czas nikt osobom teatralnym ani pieniędzy, ani fantów (...) pod przepadkiem pożyczyc nie ważył się” („Teatr Narodowy 1765-1794”, Warszawa 1967).

Kretynizm i idiotyzm

„Kretynizm i idiotyzm z powodu, że powierzchowność ich jest sprzeczna z wymaganiami estetycznymi, nie zastosowują się” („Podręcznik sztuki dramatycznej dla artystów i amatorów. Ułożył Anastazy Trapszo”, Kraków 1899).

Do szabel, Mościpanowie!

„Stary i bardzo lichy aktor, którego znałem, nudny i rojalistyczny Naudet, był tak urażony nowatorskim geniuszem Talmy, że go wyzwiał kilkakrotnie na pojedynek” (Stendhal, „Pamiętnik egotysty”).



Na początku września Jerzy Timoszewicz, redaktor Theatralski ze „Świstka Teatralnego”, obchodził jubileusz 80-lecia.



ANGELIKA KUCIŃSKA

Zmieniamy się my, zmienia się muzyka

Eksperyment na eksport. Mieszając elektronikę z folkem i tradycyjne instrumentarium z tym mniej konwencjonalnym, stali się najbardziej rozpoznawalnym zespołem z Islandii. O nowej płycie **Múm**, duecie z Kylie Minogue i muzyce do polskiego spektaklu opowiada lider zespołu **Gunnar Örn Tynes**.

Od powstania w 1997 r. skład zespołu delikatnie się zmieniał. Roszady personalne mają wpływ na waszą muzykę czy może Múm to dwuwładza liderów piszących piosenki, gdzie reszta składu nie ma większego znaczenia?

Reszta zdecydowanie się liczy, chociaż faktycznie piosenki piszemy we dwóch. Zmiany składu zawsze odbywały się u nas bardzo naturalnie, nie były wynikiem odgórnych decyzji – ktoś potrzebował przerwy, żeby zająć się własną

Múm w Polsce:
1.10,
CK Zamek, Poznań
2.10,
Basen, Warszawa
3.10,
Alibi, Wrocław

muzyką, komuś rodziło się dziecko... Postanowiliśmy, że takie momenty nie będą nas blokować – wręcz przeciwnie, zmiany składu traktujemy jako katalizator większych ewolucji, obracamy je w coś pozytywnego, stymulującego.

Zmieniamy się skład, zmienia się muzyka. Nowa płyta – wydane właśnie „Smilewound” – wydaje się prostsza i bardziej przystępna niż poprzednie...

Okej...

„Okej, zgadzam się” czy „Okej, nie masz racji”?

Osobiście nie zastanawiam się nad tym, ale rzeczywiście nowa płyta może być tak odbierana.

To skąd ten nowy kierunek?

Nie wiem, nasze podejście do muzyki się nie zmieniło, ale przez te 15 lat zmieniliśmy się my sami – jako ludzie – i to pewnie decyduje o tym, jak dzisiaj brzmi nasza muzyka. Nie myśleliśmy

ALTERNATYWA

Múm, „Smilewound”
Fat Cat/NoPaper Records
👉👉👉

za dużo o tym, w jakim kierunku chcemy pójść, nie analizujemy, od początku tworzyliśmy muzykę w sposób organiczny.

Co, osiem osób w zespole zawsze się ze sobą zgadza czy jako lider musisz rządzić twardą ręką?

Musiałem się nauczyć rządzenia. W studiu niektórych można po prostu wyciszyć, na scenie nie jest już tak łatwe. Ale to też był zawsze nasz atut – jesteśmy zupełnie innymi zwierzętami na płytach i na żywo.

Nagraliście piosenkę z Kylie Minogue – powstała z myślą o soundtracku, ale zdecydowaliście się umieścić ją również na nowej płycie.

Ta piosenka tu pasuje, powstawała w tym samym czasie co utwory na płytę. A poza tym śpiewa w niej Kylie, głupio byłoby tego nie wykorzystać.

Kto doprowadził do współpracy?

Bradley Rust Grey, nasz przyjaciel i reżyser filmu, w którym Kylie grała i do którego pisaliśmy muzykę. To był jego pomysł, żeby zapytać Kylie, czy nie chciałaby zaśpiewać.

Kylie wiedziała cokolwiek o Múm?

Zanim spotkaliśmy się w studiu, Bradley dał jej nasze płyty, ale nie jestem pewien, czy słyszała o nas wcześniej.

A ty byłeś fanem Kylie?

Częściowo – niektóre piosenki Kylie są naprawdę świetne, niektóre niekoniecznie. Kylie była bardzo podekscytowana, że możemy nagrywać razem. Okazała się przemiłą osobą.

Jest jeszcze jakaś gwiazda popu, z którą chciałbyś współpracować?
Beyoncé. Niezwykła wokalistka.

Wiemy już, czym fanem jesteś. Porozmawiamy teraz o waszych fanach. Chyba ich lubicie – swego czasu pisaliście spersonalizowane piosenki na ich zamówienie, przy okazji nowej płyty pozwoliliście fanom wybrać tytuł. Relacja z fanami jest dla was ważna?
Sami jesteśmy miłośnikami muzyki robionej przez innych, więc wiemy, jak to jest kogoś lubić. Miło jest mieć świadomość, że ktoś nas lubi i słucha. Jesteśmy im za to wdzięczni i podtrzymywanie takich bliskich relacji z fanami jest rodzajem podziękowania.

Od premiery poprzedniego albumu minęły cztery lata. Spora przerwa. Nie nudziliście się?

Nie, cieszyliśmy się życiem. Poza tym być może nie koncertowaliśmy regularnie, nie byliśmy w trasie, ale zdarzały się pojedyncze występy. Ja dodatkowo zająłem się produkcją płyt innych muzyków. Okazało się, że nagrywanie cudzej muzyki jest znacznie mniejszym wyzwaniem niż nagrywanie własnej – dużo łatwiej podejmuje się wtedy decyzje, do własnej muzyki nie mam takiego dystansu.

Chętnie też angażujecie się w dodatkowe projekty – napisaliście soundtrack, zrobiliście spektakl muzyczny dla radia. Będzie coś podobnego w niedalekiej przyszłości?

Piszemy muzykę do polskiego spektaklu dla dzieci. To islandzka sztuka „Błękitna planeta” (premiera na początku 2013 r. w Miejskim Teatrze Miniatura w Gdańsku – przyp. red.) – robiliśmy do niej muzykę, gdy była wystawiana w Islandii, ale nie chcemy się powtarzać, więc na potrzeby polskiej premiery przygotowujemy coś zupełnie nowego.



Emiliana Torrini,
„Tookah”
Rough Trade
👉👉👉

INDIE POP

Magiczna przystań Emiliany

U Emiliany Torrini bez zmian. Islandka o anielskim głosie znów ma dla fanów piękne piosenki z tajemnicą w tle. Niewiele było trzeba, żeby awansowała do nowofolkowej ekstraklasy. Po tym jak zaśpiewała „Pieśń Golluma” we „Władcy Pierścieni”, najbardziej znanej obok Björk islandzkiej wokalistce wystarczyłyby mały przebój, jeden drobny krok w stronę mainstreamu. Emilianie Torrini jednak dobrze tam, gdzie osiadła już na początku kariery, i wciąż ani myśli opuszczać swojej przytulnej i bezpiecznej alternatywnej przystani. Już od blisko 20 lat przechadza się po piosenkowej



krainie łagodności, w której delikatna elektronika bezkolizyjnie przecina się z akustycznym graniem na folkowych tropach – i nie inaczej jest tutaj. Kolejny raz Emiliana spotkała się w studiu z Danem Careyem, znanym producentem płyt m.in. Franza Ferdinanda i Bat For Lashes, i znów z ich współpracy wyszła rzecz świeża, intrygująca i jak zwykle wielkiej urody. Mniej tu przebojowych momentów niż ostatnio, znów więcej za to odwołań do elektronicznego popu z lat 90. → Bartek Winczewski



Babyshambles,
„Sequel
to the Prequel”
Parlophone
Music Poland
👍👍👍

INDIE ROCK

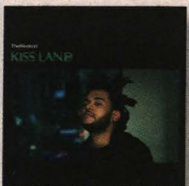
Charyzma antybohatera

Zdolny, ale pogubiony. Pete Doherty, największy przegrany nowego rock and rolla, przerywa milczenie płytą Babyshambles.

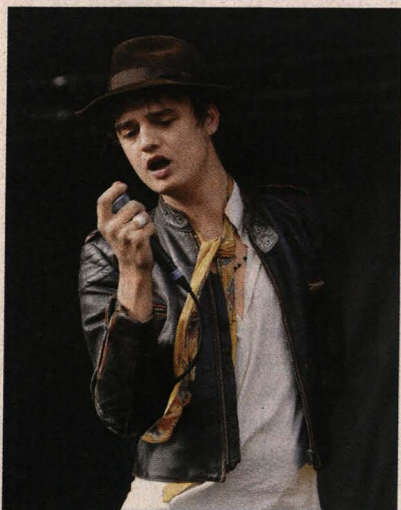
Ostatnio nie interesowały się nim nawet brytyjskie brukowce, swego czasu tak bardzo zakochane w młodzieżowym idolu, który pomiędzy kolejnymi odwykami i więzieniem znalazł czas na randki z Kate Moss. Muzyka Doherty'ego, ta nagrana po rozpadzie macierzystych The Libertines, jest taka jak jego biografia – chaotyczna. I trzecia płyta Babyshambles nie zmieni ogólnego odbioru, bo podobnie jak poprzednie płyty zespołu (ostatnia ukazała się sześć lat temu) i solowe nagrania muzyka jest świadectwem niewykorzystanego potencjału. Doherty pisze charakterystycznie – wszystko jest u niego podbite sentymentem za lepszymi czasami w brytyjskim rock and rollu – ale nierówno. Znowu naprawdę dobre piosenki – wkrzeszający Sex Pistols „Fireman”, przebojowe „Seven Shades of Nothing” czy ruszające „Penguins” – są mniejszością, błyszczącą na tle niedokończonych szkiców. Charyzma antybohatera działa, ale przydałyby się jeszcze refreny. → Angelika Kucińska



Hot Natures,
„Different Sides of
the Sun”
Warner
👍👍👍



The Weeknd,
„Kiss Land”
Warner
👍👍



MATERIAŁ ORASOWE/NEIL KRUG



ELEKTRONIKA

Zaledwie letni

Taneczne objawienie roku? W tej konkurencji już zwyciężyli Disclosure. Międzynarodowa ekipa Hot Natures walczy co najwyżej o nominację.

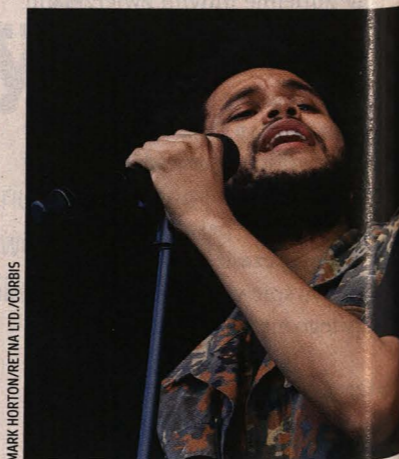
Zaczynali od produkcji skrojonych stricte na potrzeby klubowych parkietów. Dopiero ubiegłoroczny singiel „Benediction” zdradził, że chcą też podbić anteny radiowe. Oto zatem kolejny obok Disclosure projekt, który pragnie przywrócić taneczną elektronikę na salony. Równocześnie kolejny, który tak jak bracia Lawrence w swojej twórczości gra na sentymentach. Tworzący Hot Natures Brytyjczycy Jamie Jones i Ali Love,

Amerikanin Lee Foss i Włoch Luca C przywołują brzmienia, jakie w muzyce house królowały jeszcze w ostatnich latach XX wieku. Dodajmy do tego popowe spojrzenie na klubowe granie, słabość do wokali i chwytliwych refrenów, a dostaniemy rzecz przyjemną, świetnie wyprodukowaną i rzeczywiście skazaną na sukces, zarazem jednak przesadnie zachowawczą, zbyt jednolitą stylistycznie i tylko miejscami naprawdę „hot”. Osobną sprawą jest zagadka, jak można mieć do dyspozycji Roisin Murphy i skorzystać z tego w tak mało wyszukany, banalny sposób. → Bartek Winiewicz

R'N'B.

Płyta grozy

To podobno miał być album inspirowany klasyką horroru, ale straszne jest przede wszystkim to, co stało się z potencjalnie najważniejszym graczem w nowym R'n'B. Portishead nie zgodzili się, by Abel Tesfaye a.k.a. The Weeknd – kanadyjski kompozytor i producent – wykorzystał sampel z ich „Machine Gun”, więc na potrzeby jednego z utworów nagrał łudząco podobny (żeby nie powiedzieć identyczny) motyw przewodni. Już plagiat czy jeszcze hołd? Z rozstrzygnięciem dylematu będą tu mieli też fani Michaela Jacksona (odsylam do „Wanderlust”). Tesfaye miał być wulgarny jak R. Kelly, a jest tylko wulgarny. I nie, nie mówię o tekstach, bo te mu akurat wychodzą, ale o tym smutnym przeglądzie znanych patentów – cudzych



MARK HORTON/REXNA LTD./CORBIS

i własnych. Miał być świeżym, osobnym głosem w muzyce soul i R'n'B, ale okazało się, że wszystkie pomysły wykorzystał już na debiutanckiej trylogii. Nawet jeśli jeszcze nie słuchaliśmy „Kiss Land”, na pewno już ją słyszeliście. → Angelika Kucińska

👍👍👍 mistrzostwo 👍👍👍 na piątkę 👍👍👍 warto 👍👍👍 może być 👍👍👍 słabo 👍👍👍 dno

Dorota Chrobak o filmach



reż. Ulrich Seidl,
Austria, Francja,
Niemcy 2013,
Against Gravity,
91 min
👍👍👍

DRAMAT

Raj: nadzieja

Trzynastoletnia Melanie spędza wakacje na obozie dla otyłej młodzieży, gdzie bezskutecznie walczy ze zbędnymi kilogramami i rodzącą się pierwszą miłością do znacznie starszego (i szczuplejszego) od niej dietetyka. Ostatnia część Seidlowskiego tryptyku o cnotach – zaskakująco łagodna, by nie powiedzieć ciepła. Reżyser, zamiast dokonywać kolejnej wiwisekcji na swoich bohaterach, tym razem patrzy na nich okiem czułym i pełnym zrozumienia. A puste miejsce postępczej makabrze wypełnia jeszcze większą dawką absurdu i humoru (m.in. rozbijającą śmieszne sekwencje ćwiczeń gimnastycznych). Bardzo udany finał arcytrudnego projektu, a przy tym po prostu fajny film. →

Katarzyna Nowakowska o serialach

Jesienna radocha

Jesień serialożery to okres żniw – nie tylko na anteny wracają seriale, które już kochamy, ale też pojawiają się nowości, na które ostrzyjemy sobie zęby od miesięcy. Na co więc czekam? Zauważyłam zabawną prawidłowość: z seriali powracających – głównie na dziewczyny: Claire Danes w „Homeland” (premiera 29.09), Zooey Deschanel w „Jess i chłopakach” (17.09), Kat Dennings w „Dwóch spłukanych dziewczynach” (23.09). Najbardziej chcę wrócić do tych dziewczynskich seriali i fajnych, wyrazistych bohaterek.

Natomiast gdy patrzę na listę nowości, wyraźnie ciągnie mnie do ukochanych mężczyzn. I tu los jest dla mnie w tym roku naprawdę łaskawym. Po pierwsze, do telewizji powraca Joss Whedon, twórca „Firefly” i „Buffy”, człowiek, z którego mózgiem mogłabym wziąć ślub i urodzić mu dzieci. Premiera (24.09) „Marvel's Agents of S.H.I.E.L.D.” zapowiada się ekscytująco – zwłaszcza jeśli ktoś jest fanem Avengersów i agenta Coulsona (Clark Gregg). Z równie mocnymi wypiekami czekam na sty-



„Marvel's Agents of S.H.I.E.L.D.”, premiera 24.09



reż. Małgośka
Szumowska,
Polska 2013,
Kino Świat,
96 min
👍👍👍

DRAMAT OBYCZAJOWY

W imię...

Lubiany przez parafian ksiądz skrywa dwie tajemnice: jest homoseksualistą i alkoholikiem. Film, który nieźle oddaje stan polskiego kina obyczajowego. Podczas gdy na Zachodzie kwestia orientacji seksualnej jest już sprawą drugorzędą, bo na plan pierwszy wysuwają się inne, ważniejsze tematy (np. anatomia pierwszej miłości w filmie „Życie Adeli: Rozdział 1 i 2”), u nas ciągle stanowi problem centralny, przesłaniający wszystko inne – z realizmem świata przedstawionego włącznie (jeśli wiesz, to niepiśmienna i jedząca z jednej miski, jeśli wódka, to litr z gwinta). Sytuację ratuje niezawodny Andrzej Chyra – tylko ból w jego oczach wydaje się w tym umownym świecie prawdziwy i przejmujący. →

lową brytyjską produkcję „Peaky Blinders” (22.09) – opowieść o gangsterskiej organizacji z lat 20. działającej w Birmingham. W obsadzie Cillian Murphy i Sam Neill. Sama nie wiem, na którego z nich bardziej. Z miłości do Michaela Sheena obejrzę zapewne także „Masters of Sex” (29.09), serial traktujący o pionierach badania ludzkiej seksualności Virginii Johnson i Williamie Mastersie, choć przyznam szczerze, że temat specjalnie mnie nie kręci.

Dobrze zapowiadają się też premiery komediowe. Andy Samberg, którego

wielbię od dobrych kilku lat, oglądając „Saturday Night Live”, wcielił się w głupkowatego policjanta w „Brooklyn Nine-Nine” (17.09). Z kolei nowa komedia Setha MacFarlane'a („Family Guy”) zatytułowana „Dads” (17.09) kusi mnie duetem Seth Green – Giovanni Ribisi. Wisienką na torcie jest zaś utalentowany współpracownik Ricky'ego Gervaisa Stephen Merchant, którego zobaczymy w „Hello Ladies” (29.09). Ja w każdym razie na pewno. →



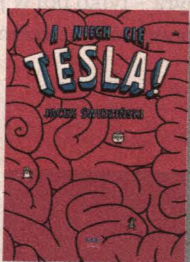
Robert Zieliński, „Lew” Korporacja Ha!art, Kraków 2013, 24 zł

Lózkowe safari

Kim jest tytułowy ssak z grzywą? To zamożny polski emigrant z Kalifornii, wzięty stomatolog, który wzbogacił się na handlu nieruchomościami. Ludzie mu zazdroszczą. Ma dwóch synów, jeździ porsche, a wakacje spędza w Boliwii lub Afryce. Wciąż mu jednak mało, więc na każdym kroku szuka potwierdzenia, że to on jest królem zwierząt. Jak to robi? Można wskazać dwie maksymy, które mu przyświecają. Pierwsza: „Syty (także seksualnie) lew jest życzliwszy światu niż ten wygnany ze stada”. Druga: zawsze staraj się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Przykład? „Lew” jedzie pielgrzymować na pogrzeb Jana Pawła II do Rzymu, ale wyjazd będzie klęską, jeśli nie zdoła uwieść pobożnej studentki z Polski. „Duch ułana z dzidą” nie odstępuje go na krok.

Klarowny styl i humor sprawiają, że „Lwa” czyta się świetnie. Życiorys Roberta Zielińskiego wykazuje częściowe zbieżności z powieściowym stomatologiem. Nie ma jednak sensu traktować tej debiutanckiej powieści dosłownie i obrażać się za seksizm. Już samo użycie figury „króla zwierząt” wskazuje na dystans i ironię zawartą w tym portrecie.

Powieść podzielona jest na trzy części, w których bohater jest coraz starszy. Ma w nosie zarówno feminizm, jak i małżeństwo. W ostatniej części prezentuje się jako wyliniąły lew dancingów, na których szuka kolejnych zdobyczy. Z tym jednak bywa coraz gorzej, gdyż na horyzoncie zaczyna majaczyć widmo niebieskiej pigułki. Wszystkie problemy ma rozwiązać wyprawa na sześciotyśięcznik w Andach, by znów udowodnić, kto rządzi w królestwie zwierząt. → Marcin Kube



Jacek Świdziński, „A niech cię, Tesla!” Kultura Gniewu 2013, 39,90 zł

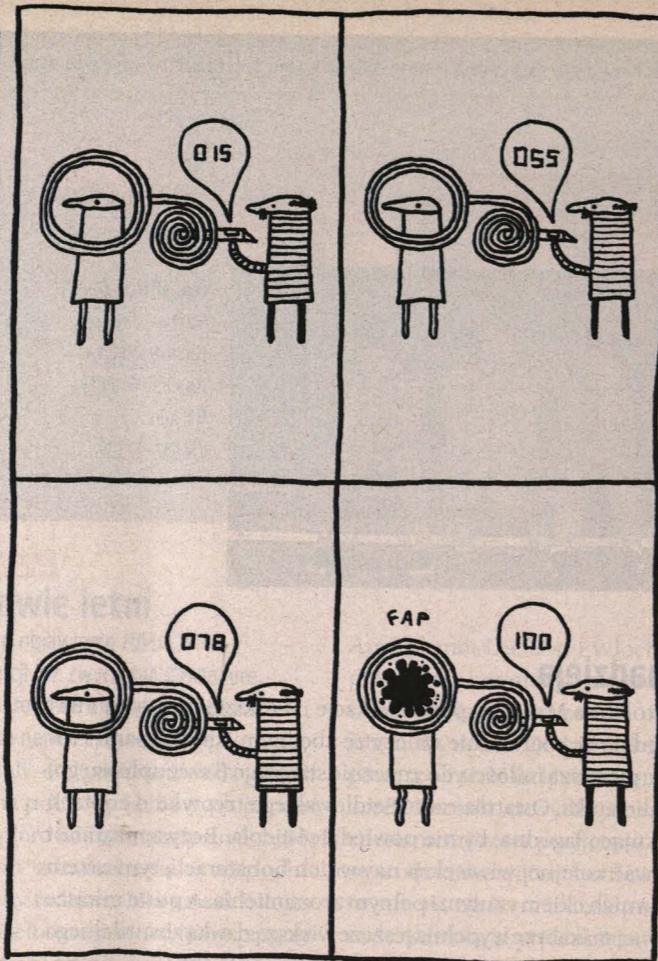
A niech cię, Świdziński! Co za komiks!

Spisek, pościgi, sekretne eksperymenty, wreszcie szalony wynalazca, przebiegły szpiedzy i szarzy obywatele, których życie pozornie toczy się poza tym układem. Jacek Świdziński stworzył komiks łączący to wszystko w jedną uroczą przewrotną całość.

Nikola Tesla od lat rozpala wyobraźnię twórców popkultury – poświęcali mu piosenki, a nawet całe płyty, kręcili o nim filmy. Jest również jednym z ulubieńców pisarzy specjalizujących się w steampunku. Nic dziwnego, pomysły miał genialne, biografię pełną zwrotów akcji, a wiele wydarzeń związanych z jego życiem, twórczością i okolicznościami śmierci wciąż pozostaje owiana tajemnicą.

Tesla jest też postacią tragiczną, człowiekiem z reputacją dość skutecznie podkopaną przez Edisona, a w wyścigu o patenty wyprzedzonym przez Marconiego. Nawet używanego do dziś eterefonu mu nie zapamiętano. Ten stan rzeczy swoim komiksem może zmienić Jacek Świdziński. W dość sur-

realistyczny sposób opowiada o eksperymentach, który miał zbadać prawdziwe właściwości tego instrumentu muzycznego – eterefonu, wynalazku „podwędzonego” Tesli przez Theresina. Równocześnie rysownik i scenarzysta związany z komiksowym zinem „Maszin”, a także autor znany już z wydanego w 2008 r. albumu „Paproszki” prowadzi kilka różnych wątków. Całość zaś kreśli w nietypowy jak na takie treści sposób, sięgając przede wszystkim po formę umownych i skrajnie prostych obrazków. Przypomina to trochę rysunkowe żarty prasowe, a z drugiej strony z wielką wyobraźnią nawiązuje do prac polskich ilustratorów. Jest tu więc i trochę z Ha Gi, i z Franciszki Themerson, i ostatecznie Świdziński jako taki. „A niech cię, Tesla” dowodzi, że Jacek jest twórcą umiejętnie łączącym wszystkie tropy, przy tym błyskotliwym i zabawnym. W dodatku potrafi opowiedzieć historię tak, by trzymać w napięciu aż do ostatniej strony. Chwała mu za to. → Dominika Węctawek



Michela Marzano, „Oblicza lęku” tłum. Zofia Chojnacka, Oficyna Naukowa 2013, 40 zł

Oswoić strach

Zyjemy wygodnie i bezpiecznie. A mimo wszystko ogarnia nas coraz większy lęk. Boimy się śmierci, cierpienia, przemijania, bezrobocia, porażki, utraty statusu społecznego, zmian klimatycznych, kontaktu z obcymi, bezproduktywnej nudy, imigrantów, wrogów i wilków. Włoska filozofka Michela Marzano w przetłumaczonym na język polski błyskotliwym eseju „Oblicza lęku” stawia tezę, że plagą zachodnich społeczeństw jest wszechobecny strach. Autorka próbuje zrozumieć różnorodność negatywnych emocji przejawiających się w przerażeniu, trwodze i niepokoju. Próbuje rozróżnić kategorie lęku i strachu.

Strach ma swój przedmiot – boimy się konkretnej sytuacji, osoby, zjawiska. Lęk nie ma przedmiotu. Każde nam



się bać, ale trudno określić, czego rzeczywiście się boimy. Włoska badaczka pokazuje, jak zaraźliwy jest lęk, jak szybko ogrania całe społeczeństwa. Złęknieni, dajemy się łatwiej manipulować. „Strach sprzyja władzy” – pisał już Machiavelli. To zdanie stanowi motto dla całości rozważań włoskiej pisarki. Po zamachach terrorystycznych na World Trade Center w 2001 r., których celem było zastraszenie świata Zachodu, badania nad lękiem stały się szeroką dyscypliną naukową łączącą rozważania psychologiczne, filozoficzne, socjologiczne i antropologiczne. „Oblicza lęku” Micheli Marzano należą do jednej z najciekawszych pozycji tego nurtu. Receptą na przewycięcie lęku, według włoskiej filozofki, ma być zaufanie. → Jerzy Ziemacki

O ideach, codzienności i popkulturze

Dusza światowa” byłaby lekturą ciekawszą, gdyby Dorota Masłowska nie wyprzedzała wszystkich złotych myśli przy okazji gigantycznej promocji swojej ostatniej powieści w zeszłym roku.

Zapowiadało się lepiej niż w przypadku większości wywiadów rzek, gdzie dziennikarz prosi artystę na kolanach, żeby wytłumaczył, dlaczego jest tak wyjątkowy. Agnieszka Drotkiewicz,

która przeprowadziła wywiad z autorką „Pawia Królowej”, jest zaledwie dwa lata od niej starsza. W dodatku sama ma doświadczenie literackie – jest autorką trzech powieści. I jeszcze na dodatek obie dobrze się znają. Wydawałoby się, że to świetny punkt wyjścia do mocnej wymiany poglądów, bez kokieterii i uników. Tak jednak się nie dzieje.

Ponownie można przeczytać o potrzebie decydowania o samej sobie, ucieczce

przed kategoryzowaniem, wciąganiem na sztandary i barykady. Pisarka chce każdorazowo określać swoje poglądy i stanowisko, nie kupując żadnych ideologicznych pakietów. Zastanówmy się jednak, czy ktokolwiek chciałby postrzegać siebie jako osobę bezmyślną i patrzącą na świat kliszami? Nawet najbardziej zideologizowane jednostki będą się uważały za indywidualistów i otwarte umysły. Postawa Masłowskiej jest godna pochwały, ale jednocześnie niezbyt oryginalna.

Nie powalają także inne przemyślenia – o szalonym tempie współczesnego życia, o nadmiarze informacji wokół nas czy nawet o dresiarzach z irokezami. Masłowska na przykład nie znosi słowa hipster. Serio? A kto je dzisiaj lubi?

Lepiej wypada „Dusza światowa”, gdy autorki rozmawiają o codzienności i popkulturze, jak chociażby o upodobaniu Masłowskiej do „Klancyka” czy „Dwóch i pół”. Jednak takie rzeczy najlepiej czyta się w bieżących wywiadach, a w książce wydanej rok po rozmowach tracą na świeżości. → Marcin Kube



Dorota Masłowska, „Dusza światowa” rozmawia Agnieszka Drotkiewicz; Wydawnictwo Literackie 2013, 27,97 zł





JERZY LAPACZ

Kod Leonarda

Miłośnicy Cohena, proszę sobie zapisać tę datę w terminarzach: **25 września**. Wtedy właśnie do księgarń trafi rewelacyjna biografia śpiewającego poety z Kanady.

Kto przegapił lipcowy koncert Cohena w Łódzkiej Atlas Arenie, może jeszcze nadrobić zaległości. W środę 18 września wystąpi w Rotterdamie. Dwa dni później da koncert w Amsterdamie. Bliżej nas w nadchodzących miesiącach już nie będzie, bo pod koniec roku wyrusza w trasę po Australii. Tak więc jeśli chcecie zobaczyć na własne oczy, w jakiej formie jest mistrz, który 21 września będzie ob-

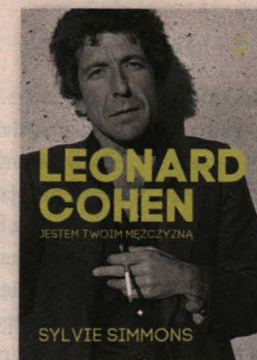
chodził 79. urodziny, ruszajcie do Niderlandów. Komu nie w smak podróże, może się zamknąć w czterech ścianach, by poprzemywać sam na sam z genialnym bardem. Bogato ilustrowana biografia „Leonard Cohen. Jestem twoim mężczyzną” Sylvie Simmons, która trafi do księgarń 25 września, to pozycja obowiązkowa dla szanujących się fanów kanadyjskiego pieśniarza.

Proszę zarezerwować sobie ładnych parę godzin, bo do smakowania mamy aż 600 stron. Po zapale, z jakim autorka przystąpiła do pracy, możemy wnioskować, że opowieściami o Cohenie bez problemu wypełniłaby objętość Encyklopedii Britanniki, która dziś liczy ok. 44 mln słów. Simmons rzetelnie opi-

suje historię życia i drogę artystyczną barda, czerpiąc nie tylko z przebogatej bibliografii, ale też korzystając ze wspomnień przyjaciół, współpracowników i rodziny Cohena. To właśnie dzięki godzinom rozmów z nimi, a także wielu spotkaniom z samym mistrzem tworzy wielowymiarowy portret balladzisty i poety, który w latach 80. cieszył się u nas większą popularnością niż w rodzimej Kanadzie.

Nawet jeśli wydaje nam się, że wiemy o Leonardzie Cohenie wszystko, warto sięgnąć po książkę Simmons. I przekonać się, jak bardzo się myliliśmy.

Fragmenty książki Sylvie Simmons „Leonard Cohen. Jestem twoim mężczyzną”, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2013.



Leonard Cohen. Jestem twoim mężczyzną

Sylvie Simmons

Fragmenty

Jako nastolatek Leonard zainteresował się hipnozą. Zdołał być ciekawym, mieszczącym się w kieszeni, anonimową publikację o długim tytule 25 lekcji hipnozy. Jak zostać ekspertem, z ekstrawaganckim stwierdzeniem na okładce, że jest to „najlepszy, najbardziej kompletny, najłatwiejszy na świecie kurs obejmujący naukę leczenia polem magnetycznym, telepatię, czytanie w myślach, jasnowidztwo, hipnozę, magnetyzm zwierzęcy i nauki pokrewne”. Na okładce, pod prostym rysunkiem przedstawiającym wiktoriańską damę zahipnotyzowaną przez wąsatą mężczyznę o rozwichrzonych włosach, Leonard napisał atramentem swoje imię, jak najstaranniej potrafił, i rozpoczął studiowanie książeczki.

Okazało się, że ma naturalny talent do hipnotyzowania. Odniósłszy natychmiastowe sukcesy z domowymi zwierzętami, rozpoczął eksperymenty na domowej służbie, namawiając gosposię, by została jego pierwszym ludzkim obiektem hipnozy. Poprosił ją, aby usiadła na sofie chesterfield. Leonard postawił obok krzesło i, tak jak nakazywała książka, powiedział jej powoli, łagodnym tonem, żeby rozluźniła mięśnie i patrzyła mu w oczy. Podniósł ołówek i ruszał nim powoli przed jej oczami, w przód i w tył, w przód i w tył, aż udało mu się wprowadzić ją w trans. Lekceważąc (albo, w zależności od interpretacji, postępując zgodnie z nim) nakaz autora książki, że jego nauki mają być wykorzystywane jedynie do celów edukacyjnych, Leonard kazał gosposi zdjąć ubranie.

Dla młodego Leonarda musiała to być niesamowita chwila. Zakończona sukcesem fuzja tajemnej wiedzy i seksualnej tęsknoty. Siedział obok nagiej kobiety, we własnym domu, przekonany, że wszystko zdarzyło się dzięki niemu, jego talentowi, nauce, mistrzowskiemu opanowaniu siły woli. Kiedy miał kłó-

pot z obudzeniem gosposi, wpadł w panikę. Przeraził się, że matka może wrócić do domu i ich przyłapać – chociaż można pomyśleć, że wzmocniłoby to tylko przecucie zbliżającej się katastrofy, uczucie rozpacz i straty, które sprawiłyby, że wydarzenie to stałoby się jeszcze bardziej wyjątkowo Cohenowskie.

Drugi rozdział podręcznika hipnozy został napisany niemal jak poradnik dla wokalisty i artysty, którym miał się stać Leonard. Ostrzegł przed beztroskim postępowaniem i instruiował: „Twój wyraz twarzy powinien być niezmienny, pewny i poważny. Działaj po cichu. Niech twój głos staje się coraz cichszy i cichszy, aż będzie prawie szeptem. Rób pauzy. Jeśli będziesz się śpieszyć, poniesiesz porażkę”.

(...)

Odłąd skończył trzynaście lat, Leonard zasmakował w nocnych spacerach. Dwa lub trzy razy w tygodniu samotnie włóczył się podejrzanymi ulicami Montrealu. Zanim wybudowano Drogę Wodną Świętego Wawrzyńca, miasto było ważnym portem, miejscem, gdzie cargo przeznaczone do Ameryki Północnej rozładowywano z oceanicznych frachtowców i rozsyłano barkami rzecznyymi do Wielkich Jezior albo koleją na zachód. Nocą w mieście roilo się od marynarzy, dokerów i pasażerów z promów wycieczkowych cumujących w porcie, których kusiły niezliczone bary jawnie nieprzestrzegające prawa nakazującego zamknięcie przed godziną trzecią w nocy. Codzienne gazety pełne były reklam występów przy Saint Catherine Street, które zaczynały się o czwartej rano i kończyły tuż przed świtem. Były tam kluby jazzowe, bluesowe, kina, bary, w których grano jedynie quebecką muzykę country, i kawiarnie z szafami grającymi, których repertuar Leonard znał na pamięć.

Leonard opisał swoje nocne eskapady w nieopublikowanym i nieopatrzonej datą utworze z końca lat pięćdziesiątych „The Juke-Box Heart. Excerpt From a Journal” (Serce z szafy grającej. Fragment dziennika). „Kiedy miałem jakieś trzynaście lat, robiłem te same rzeczy, które moi kumple robili, zanim szli spać, a potem przemierzałem kilometry wzdłuż Saint Catherine. Byłem kochankiem nocy zaglądającym do kafeterii z marmurowymi blatami, gdzie mężczyźni nosili kombinezony ochronne nawet latem”. W opisach jego młodzieńczych wędrówek czuło się chłopcę niewinność: zakradanie się do sklepów z różnościami, żeby „katalogować magię i triki, gumowe karaluchy i śmieszne gadżety”. Kiedy tak spacerował, wyobrażał sobie, że jest mężczyzną po dwudziestce, „w prochowcu, zniszczonym kapeluszu nasuniętym nisko na pełne emocje oczy, z historią niesprawiedliwości w sercu, twarzą zbyt szlachetną, żeby szukać zemsty, kroczył jakimś mokrym bulwarem, budząc współczucie niezliczonej widowni (...) kochany przez dwie albo trzy piękne kobiety, które nigdy go nie zdobędą”. Może opisywał postać z jednego z komiksów, które czytał, albo filmów kryminalnych, które oglądał; Leonard już wtedy był kinomanem.

Jednak po zacytowaniu w swoim tekście Baudelaire'a miał w sobie wystarczająco dużo samokrytycyzmu, żeby dodać: „To pisarstwo mnie zawstydzia. Jestem wystarczającym humorystą, żeby zobaczyć młodego mężczyznę wychodzącego ze Stendhala, dramatyzującego własne losy, starającego się rozchodzić niewygodną erekcję. Być może masturbacja okazałaby się bardziej skuteczna i mniej męcząca”. Leonard powoli mijał dziewczyny pracujące na ulicach, ale mimo jego potrzeb i tęsknoty w oczach dziwki patrzyły nad jego głową i wołały do przechodzących obok mężczyzn, oferując im to, czego Leonard pragnął bardziej niż czegokolwiek innego.

Świat wyobraźni Leonarda musiał w tamtym czasie niezwykle się rozwinąć, pojawiła się ekscytująca świadomość możliwości, ale także poczucie izolacji i smutku. Mort Rosengarten, który po pewnym czasie dołączył do przyjaciela podczas jego nocnych przygód, opowiada: „Leonard wyglądał młodo. Ja też. Ale i tak w wieku trzynastu lat byliśmy obsługiwani w barach. W tamtych czasach szerzyła się ogromna korupcja. Wiele z tych barów kontrolowała mafia, trzeba było kogoś opłacić, żeby dostać licencję, i podobnie było w przypadku tawern, które sprzedawały tylko piwo i tylko mężczyznom, kobiety nie miały wstępu. Było tych tawern mnóstwo, ponieważ alkohol był w nich najtańszy. O szóstej rano można było wejść do jednej z nich i zawsze siedziało tam mnóstwo ludzi. Leonard nie musiał się wymykać z domu; obaj pochodziliśmy z rodzin, w których nikt nie martwił się tym, dokąd chodzimy. Natomiast żydowska społeczność Westmount była dość mała i zamknięta, cechowało ją silne poczucie przynależności; młodzi ludzie bardzo dobrze się znali. Chodził więc na Saint Catherine Street, żeby doświadczyć tego, czego nigdy nie dzielił się albo nie mogliśmy robić”.

(...)

Leonard nie jadł mięsa, ale był mniej zdyscyplinowany, gdy chodziło o apetyt na „towarzystwo kobiet i seksualne wyrażanie przyjaźni”. Gdyby posiedzieć w tawernie przy porcie [na Hydrze] wystarczająco długo, można by stworzyć imponujący katalog tego, kto z kim spał, i dziwić się temu, jak wszystko się pokomplikowało, a jednocześnie jak mało krwi zostało z tego powodu przelane. Można by usłyszeć historię o kobiecie, przyjeźdźcy, która była tak zrozpaczona, gdy Leonard wsiadł na prom, że rzuciła się za nim do wody, mimo że nie umiała pływać; mówią, że mężczyzna, który ją uratował, został jej nowym partnerem. „Wszyscy ze wszystkimi sypiali”, mówi Richard Vick. Także Leonard, chociaż, jak mówi Vick, w porównaniu z innymi wyspiarzami był „bardzo dyskretny”. Vick wspominał o wieczorze, kiedy pił w barze w Kamini razem ze swoją ówczesną dziewczyną i jej przyjaciółką. Pojawili się Leonard i Marianne. W miarę upływu wieczoru okazało się, że obie towarzyszyki Vicka miały wcześniej do czynienia z Leonardem. Kobiety, jak opowiadał Vick, powiedziały wesoło: „Wiesz, Leonardzie, że nigdy nie byliśmy w tobie zakochane”. A on równie wesoło odpowiedział: „Ja też nie”. „To były niewinne czasy”, mówi Vick, ale dla Marianne mogły być trudne. „Tak, był kobieciarzem”, mówi Marianne. „Czułam, jak narasta we mnie zazdrość. Każdy pragnął mojego mężczyzny. Ale on chciał być ze mną. Nie miałam się czym martwić”. Nie przestała się jednak martwić, choć nie skarżyła się i go kochała.

(...)

Leonard wedle standardów z lat sześćdziesiątych nie był już młodzikim; jego trzydzieste urodziny zbliżały się wielkimi krokami. Bezustannie składał podania o granty i podejmował się dorywczych prac. Chciał sprzedać prawa do filmowej adaptacji „Ulubionej gry”, ale nie było chętnych aż do 2003 roku, kiedy kanadyjski filmowiec Bernar Hébert zrealizował na jej podstawie film. Co ciekawe, na ekranie historia stała się bardziej konwencjonalną narracją niż w powieści. Leonard zgłosił się również do montrealskiego sprzedawcy książek ze swoim archiwum rękopisów, tym razem z większym powodzeniem. W 1964 roku Marian Brown, dyrektor Thomas Fisher Rare Book Library na Uniwersytecie w Toronto, zakupił pierwsze eksponaty do kolekcji prac Cohena. Błędem jednak byłoby myśleć, że Leonard wędrował po swoim mieście z czarnymi chmurami nad głową i blaszanym kubeczkiem na monety w dłoni. Chociaż czasem czuł, że musi uciec z Montrealu, kochał to miasto. Montreal dla Leonarda w dużym stopniu był tym, czym Dublin dla Joyce'a. Zanurzył się w mieście i cieszył luksusem obecności przyjaciół. A także kochanek. Leonard był oddany kobietom, a one odwdzięczały się tym samym, rosnąc w liczbę wraz z jego rosnącą sławą. Leonard uważał, że całe życie tyrał, chcąc „napisać idealny sonet, aby zwrócić uwagę dziewczyny”, a potem spojrzął znad swoich „zaczernionych stron” i okazało się, że kobiety są dostępne. Działo się tak na Hydrze i teraz w Montrealu. „To było wspaniałe”,

powiedział. „To był czas, gdy każdy dawał drugiej osobie to, co chciał. Kobiety wiedziały, że tego pragną mężczyźni”. Zapytany, czy to, że dostawał tak wiele tego, czego chciał, nie obniżyło wartości daru, powiedział: „Nikt nie dostaje tak wiele, na jak wiele, jego zdaniem, zasługuje. I na jak wiele ma apetyt. Obdarowywanie się trwa jednak tylko kilka chwil, a potem horror się powtarza... Ja dam ci to, jak ty mi dasz tamto. No wiesz, podpisywanie kontraktu: co ja dostanę, co ty z tego będziesz mieć. To kontrakt”. Leonard nie lubił kontraktów. Nie zawarł żadnego z McClellandem; wystarczył mu uścisk dłoni, umowa dżentelmeńska. Leonardowi nie chodziło o lojalność, ale o wolność, pełną kontrolę i drogę ucieczki. Leonard wynajął umeblowane dwupoziomowe mieszkanie w zachodniej części Montrealu, w starej zajezdni. Marianne znów do niego przyleciała. Z domu można było dojść piechotą na Uniwersytet McGill i w ciepłe dni Leonard chodził tam i siedział przed budynkiem wydziałów humanistycznych na trawie, gdzie spotykali się studenci, żeby grać na gitarze i śpiewać. To tutaj pierwszy raz zobaczyła go Erica Pomerance. Podobnie jak większość studentów McGill wiedziała, kim jest Leonard, i zaliczała się do „kręgu wielbicieli”, który otaczał go na trawniku albo w „modnym na europejski sposób Le Bistro. Jeśli ktoś szukał Leonarda”, opowiada Pomerance, „Le Bistro było pierwszym miejscem, gdzie należało sprawdzić”.

Le Bistro wyglądało, jakby ktoś przesznułował je tu z Paryża wraz z cynkowym blatem baru w kształcie podkowy, menu zapisywanym na czarnej tablicy i długim lustrem ciągnącym się wzdłuż ściany. Na innej ścianie Leonard nabazgrał wiersz:

Marita
Please find me
I am almost 30

Marito
Proszę znaleźć mnie
Mam prawie 30 lat

„Marita”, „Wiersze wybrane 1956–1968”, przeł. Maciej Zembaty

Wiersz ten napisał dla Marity La Fleche, która odrzuciła jego zaloty. Marita, właścicielka montrealskiego butiku, powiedziała mu, żeby wrócił, jak dorośnie.

(...)

W Montrealu śnieg padał mocniej niż zwykle. Chłód montrealskiej zimy był brutalny. Przytłaczający. Leonard ruszył do swojego ulubionego sanktuarium – Le Bistro. To właśnie tam w mroźną noc Leonard spotkał Suzanne.

Suzanne Verdal ma długie czarne włosy i nosi zwiewne spódnice do ziemi i balerinki. Przez lata mieszkała jak Cyganka w drewnianej przyczepie ze swoimi kotami i sadzonkami geranium. Ta przyczepa została zbudowana dla niej w latach dziewięćdziesiątych, ciągnie ją stara furgonetka; wygląda, jakby wyjęto ją z bajki. Stoi zaparkowana w Santa Monica, w stanie Kalifornia, gdzie Suzanne pracuje jako masażystka i pisze swoją autobiografię, ręcznie.

Na początku lat sześćdziesiątych, kiedy poznała Leonarda, była skromną siedemnastolatką, „prosto ze szkoły z internatem w Ontario i z głową pełną marzeń o niebie bohemy”. Chodziła do galerii sztuki i modnych kawiarni, robiła notatki i obserwowała ludzi; „zawsze trafiał się jakiś młody artysta chętny do dyskusji o sztuce albo polityce”. Suzanne pisała poezję, ale prawdziwy talent miała do tańca. Pracowała na dwa etaty, żeby opłacić lekcje tańca, a późnym wieczorem chodziła do Le Vieux Moulin, jednego z klubów nocnych, w którym często bywali Leonard i jego przyjaciele i gdzie jazz słychać było do wczesnych godzin, a montrealczycy pili i tańczyli, aby zapomnieć o mroźnej zimie.

(...)

Suzanne poznała Leonarda w Le Bistro. Wiele razy go tam widziała, czasem siedział z Marianne przy małym stoliku pod wiszącym na ścianie długim lustrem. Suzanne nie pamięta, o czym rozmawiali, ale „ważniejszy od konwersacji był nasz kontakt wzrokowy – najbardziej intymny z dotyków, jakby pochodzący z naszych wnętrzości. Jednocześnie byliśmy świadkami magicznych scen, które się wtedy rozgrywały, i naprawdę czuliśmy, że nadajemy na tych samych falach”.

Suzanne podpisała swój pierwszy profesjonalny kontrakt taneczny w wieku osiemnastu lat i tuż po tym, jak spędziła lato, ucząc się u Marthy Graham w Nowym Jorku, założyła swój własny zespół tańca nowoczesnego w Montrealu, „eksperymentujący z muzyką między innymi Johna Cage'a i Edgara Varese'a”. Występowali w Beaux-Arts, w L'Association Espagnole, gdzie do późnej nocy grano flamenco, a także w telewizji. Suzanne zaczęła wyrabiać sobie nazwisko jako awangardowa tancerka i choreografka. Erica Pomerance mówi: „Suzanne była fajna, kreatywna i należała do grona naprawdę pięknych ludzi; była ikoną tańca tak jak Leonard poezji. Łączyła klasyczny, nowoczesny i etniczny taniec, jej styl był uosobieniem bohemy, bardzo New Age. Sama projektowała sobie cygańskie stroje, które potem nosiła”; zsywała je z kawałków jedwabiu, brokatu i starych tkanin, które znajdowała w sklepie Armii Zbawienia przy Notre-Dame Street.

„Nie spaliśmy ze sobą, chociaż Leonard był bardzo uwodzicielskim mężczyzną. Nie chciałam zniszczyć ani zbrukać tej niewinności naszego związku, dla niego i dla mnie”. W sierpniu 1967 roku Suzanne wyjechała z Montrealu do San Francisco. Mówi, że wtedy dowiedziała się od wspólnego znajomego, że Leonard napisał dla niej wiersz zatytułowany „Suzanne”. Niedługo później ktoś puścił jej płytę Judy Collins i usłyszała te słowa – w ten sposób dowiedziała się, że stał się również piosenką. Mówi, że kiedy pierwszy raz ją usłyszała, poczuła się „dotknięta do szpiku kości”, jakby ktoś trzymał nad jej życiem szkło powiększające. Suzanne wróciła do Montrealu w glorii sławy, ale nie jako tancerka, choreografka albo projektantka, tylko jako bohaterka piosenki Leonarda Cohena, o której wszyscy zdawali się mówić. Suzanne była też muzą innych mężczyzn, ale nie powstało nic równie kultowego i wszechobecnego jak „Suzanne”.

Dlaczego ty, przedsiębiorca i specjalista od innowacji, nie wydajesz się przejęty kryzysem ekonomicznym?

Z moich obserwacji wynika, że to właśnie w okresach spowolnień gospodarczych pojawia się najwięcej nowych możliwości. Jeśli przeanalizujemy wcześniejsze recesje pod tym kątem, znajdziemy daty założenia takich firm jak Google, Apple, HP, „Fortune Magazine”, Microsoft, Electronic Arts. Dzieje się tak, ponieważ załamania gospodarcze powodują zmiany w wartościach i potrzebach społeczeństwa. Zdolność do wyjścia tym nowym potrzebom naprzeciw prowadzi do powstania nowych potęg biznesowych. Rządy i wielkie korporacje w okresach recesji reagują postawą konserwatywną. Zaczynają działać o wiele ostrożniej i powściągliwiej, co otwiera pole dla nowych graczy.

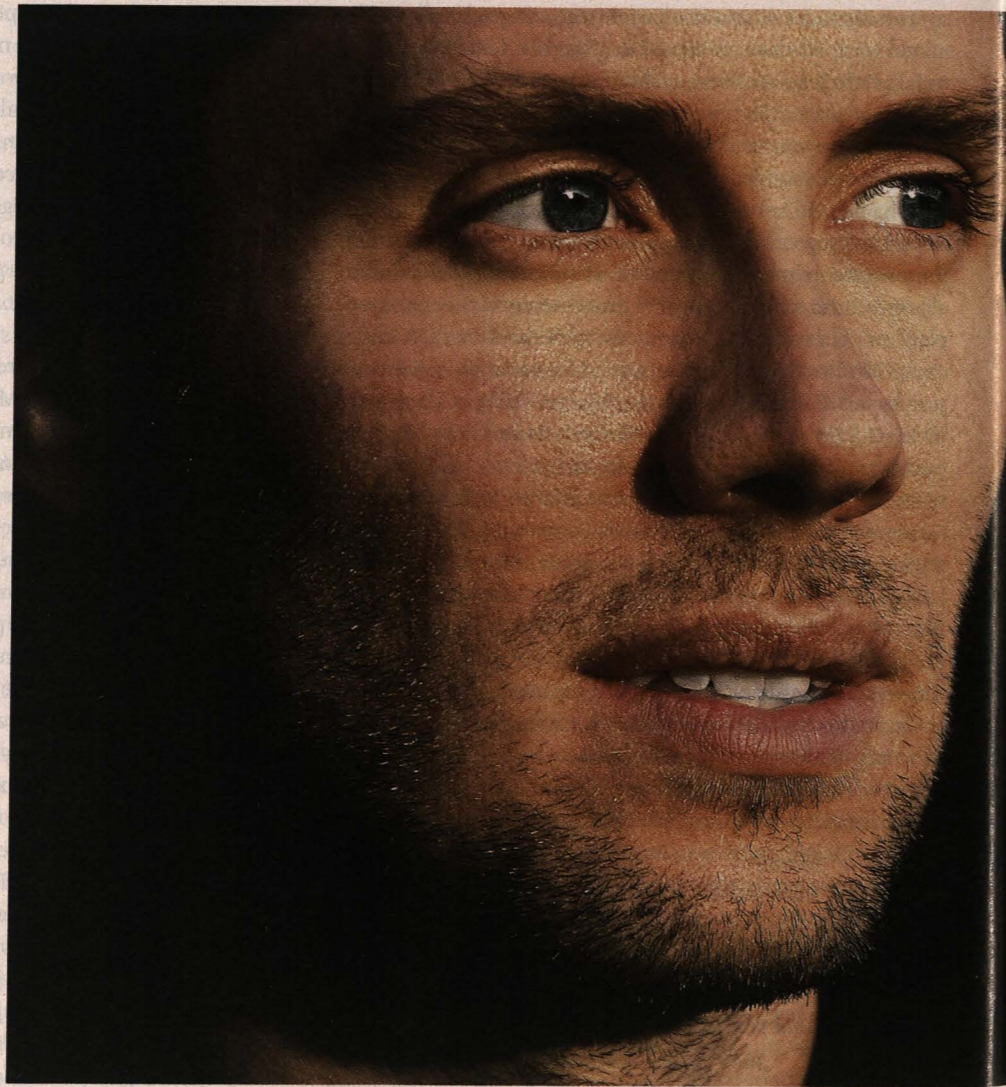
Na jaką potrzebę rynku po wielkim krachu odpowiedziało pismo „Fortune Magazine”?

Ten magazyn został założony zaledwie trzy miesiące po załamaniu się giełdy nowojorskiej w 1929 r. Egzemplarz kosztował jednego dolara, czyli równowartość ceny wełnianego swetra w tamtych czasach. Dla porównania, „New York Times” kosztował 5 centów.

Mimo tej ceny „Fortune” zbudował bazę 500 tys. prenumeratorów, generując zysk równy siedmiu milionom dziesiętych dolarów.

Intuicja nie podpowiedziała takiego scenariusza. Dlaczego ludzie rzucili się na drogi magazyn kolorowy o biznesie w czasie największego kryzysu ekonomicznego w historii USA?

Założyciel Henry Luce zrozumiał palącą potrzebę, która wynikała z kryzysu. Ludzie, którzy stracili wszystko lub stali na krawędzi, lub nawet ci, którzy ocaleli, chcieli zrozumieć, co się wydarzyło na Wall Street. Co się dzieje za zamkniętymi drzwiami gabinetów zarządów na Manhattanie? Skąd się wziął kryzys i kiedy się skończy? Na te pytania od-



powiadał „Fortune”. Nie było ważne, że należał do kategorii pism luksusowych, lecz to, że odpowiadał na nową potrzebę konsumencką. Teraz jest tak samo. Choć mamy trudne czasy, powstają właśnie ogniska nowych możliwości.

Te ogniska mają nazwy?

Media społecznościowe, nowe technologie, połączony świat, rozwój Azji. Jest tyle okoliczności karmiących przedsiębiorczość, że niebawem będziemy żyli w zupełnie innym świecie. Musimy się z tym pogodzić i reagować na fakt, że doświadczamy okresu największych zmian w historii naszego gatunku.

Innowacja to domena Ameryki. Jak sądzisz, dlaczego Europie przychodzi to trudniej?

Jest wiele przykładów amerykańskich firm, które kompletnie nie potrafiły być innowacyjne! Kodak przecież wymyślił aparat cyfrowy w 1975 r. – czy widać ich dziś na tym rynku? Nie. Blackberry spopularyzowało smartfony, ale nie potrafiło rozwinąć tego pomysłu i obecnie jest marginalnym graczem. Blockbuster (sieć wypożyczalni kaset VHS) dostał trzy szanse, by kupić firmę Netflix za 50 milionów dolarów. Nie zrobił tego i jest dziś bankrutem. Mam też przykład, o którym opowiem wkrótce podczas wizyty w Pol-

sce: Smith Korona. Ta firma wymyśliła edytory tekstów i laptopy. W tych wszystkich przypadkach problemem nie był brak kreatywnych pracowników czy zdolności do rozpoznania ważnych nowych trendów. Problem był o wiele poważniejszy: te firmy nie potrafiły zarobić na trendach, które same stworzyły!

No dobra, porażki były spektakularne. Ale jednak gros innowacji nie powstaje na Starym Kontynencie. Dlaczego?

To wynika z historii i natury człowieka. Zwykle, gdy osiągamy sukces, mamy tendencję do spoczywania na laurach.

Przez ostatnie 10 tys. lat jesteśmy systematycznie wynagradzani za powtarzanie tego, co działa. Sadzimy w tej samej ziemi te same ziarna i podlewamy w taki sam sposób, by powtórzyć sukces poprzednich plonów. Na poziomie korporacyjnym taki schemat jest powszechny. W Europie to zjawisko jest bardziej zakorzenione. Państwa są starsze, bardziej ustabilizowane, tradycje głębsze i silniejsze, pewne modele myślenia i zachowania, a nawet biznesy przekazywane są od pokoleń. Ameryka jest młodsza, głodniejsza, zafascynowana pogonią za amerykańskim snem. Mamy tradycję bankructwa i ponownych prób. Zamiast

rodziny dynastii i marek z tradycjami wytworzyliśmy kulturę psa pożerającego psa.

Czyli jesteśmy za starzy na ten świat.

Nic się nie da zrobić?

Teraz, gdy tempo innowacji wzrasta, należy włączyć instynkt myśliwego. Trzeba być cały czas głodnym. To dotyczy ludzi, nie tylko firm. Gdy już spłacamy kredyt i utrzymujemy rodzinę z naszych zarobków menedżerskich, zwykle gnuśniejemy. Przestajemy czuć potrzebę budowania swojej pozycji, uczenia się i korzystania z nowości. Płacimy komuś, by to robił za nas. To błąd. Już nie można być ustatkowanym autorem wczorajszego sukcesu. Tak się już nie da.

Czy innowacyjność to postawa czy proces?

Jedno i drugie. Tym, jak wypracować postawę innowacyjną, zajmuję się między innymi w nowej książce „Trendhunter – how to find new ideas faster” (Łowca trendów – jak szybciej znajdować lepsze pomysły). Opisuję w niej trzy podstawowe kroki. Pierwszym jest obudzenie w sobie łowcy, drugim zidentyfikowanie kluczowej dziedziny wymagającej zmiany, a ostatnim wyszukanie powtarzających się motywów, które sygnalizują nowy, błyskotliwy schemat działania.

Twój serwis trendhunter.com zawiera setki artykułów o nowych produktach, czyli o ostatnim etapie procesu innowacji. Czy klienci serwisu nie są więc skazani na podążanie za wskazówkami zamiast prowadzenie w wyścigu innowacji?

Staramy się publikować teksty o każdym nowym pomysle, gdy tylko zamajaczy na horyzoncie. Dlatego poza nowościami rynkowymi prezentujemy wiele renderów, koncepcji i wizji artystów z całego świata. A przy tym traktujemy odwiedzających naszą witrynę jak testerów. Odwiedziło nas do tej pory 100 milionów użytkowników – to ogromna grupa fokusowa, z której opinii czerpią nasi klienci.

ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA

Łowca nie śpi

Kto przyklaskuje kryzysom ekonomicznym, gani dyrektorów wielkich firm za lenistwo i uważa, że jedyna sensowna odpowiedź na szaleńcze tempo zmian współczesnego świata to wciśnięcie gazu do dechy? Łowca trendów **Jeremy Gutsche**.

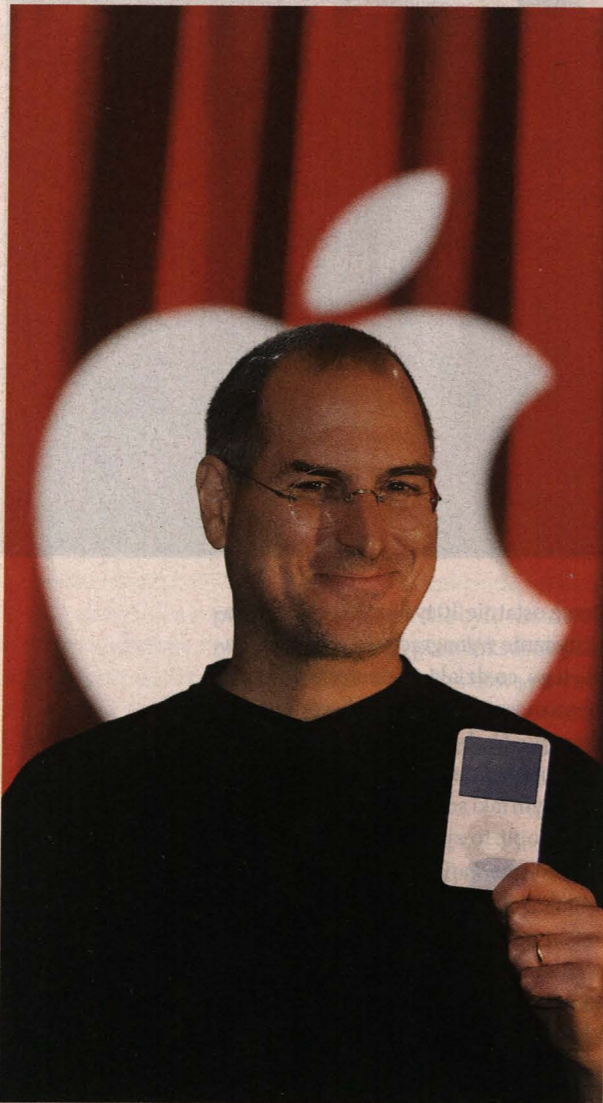
Kiedyś nowe trendy rodziły się na ulicach wielkich miast. Na podstawie tej obserwacji w 1980 r. Terry Jones założył magazyn „i-D”. Jak wygląda łowienie trendów teraz, w dobie Internetu?

Globalizacja sprawia, że nowe pomysły powstające w Tokio, Moskwie czy Los Angeles trafiają do nas tego samego dnia. Ostatnio na pierwszej stronie serwisu znalazł się np. tekst o polskim sklepie, w którym wszystko jest do góry nogami. Więc obecnie nowy pomysł może nadejść z każdej części świata i m.in. dzięki nam szybciej zarazić opinię publiczną. Pamiętasz piosenkę „Macarena” z 1994 r.? W „Google Zeitgeist” z tego roku można prześledzić, jak narodziła się i zwiększała popularność tej piosenki. Rozpoczęło się w Ameryce Południowej, kilka miesięcy później ludzie w Azji zaczęli wyszukiwać piosenkę, potem fala popularności rozlała się po Europie i Ameryce. Wybuch globalnej popularności tej piosenki i tańca trwał rok. Porównaj to z „Gangnam Style”. W zaledwie kilka dni klip obejrzało miliard ludzi. To pokazuje skalę zmian. Trendhunterzy muszą za nimi nadążyć.

Czyli najważniejsza cecha innowatora i trendhuntera to szybki czas reakcji. Czy to znaczy, że małe firmy mają większe szanse na sukces od wielkich korporacji?

Tak, dlatego często mówię: jeśli masz dużą firmę, zachowuj się jak mała, a jeśli mała, zachowuj się, jakbyś miał wielką. Przedsiębiorczość w stylu „instant”, którą umożliwiają dzisiejsze narzędzia i media, nawet małym graczom pozwala zrobić wielkie wrażenie. Wielkie firmy mają trudniej, bo żeby zachowywać się jak małe, muszą przyspieszyć. Dekadę temu wypuszczenie kilku nowości w roku było dobrym tempem. Obecnie można dokonać szybszej personalizacji, wypuszczać i testować pomysły w trybie ekspresowym. Konieczna jest więc restrukturyzacja produkcji, by móc wypróbować więcej pomysłów w krótszym czasie. Cały proces wymaga elastyczności i natychmiastowego adaptowania się do reakcji rynku.

Ten wniosek Jeremy'ego akurat nikogo nie zdziwi: największym trendsetterem naszych czasów jest Steve Jobs.



Czy ktoś w Europie tak potrafi?

Moim ulubionym przykładem jest Zara. Ludzie nie rozpoznają na ulicy jej właściciela, Amancio Ortegi, choć jego majątek jest wyceniony na 70 miliardów dolarów. Hiszpan jest dziś trzecim najbogatszym człowiekiem na świecie. Dlaczego? Bo jest najszybszy. Podczas gdy typowa firma modowa szykuje nową kolekcję przez rok, Zara na okrągło wymyśla i realizuje około pięciu projektów w dwa tygodnie. Klientki już wiedzą, że jeśli podoba im się ubranie w Zarze, muszą je kupić dzisiaj, bo za moment go nie będzie. Do tego informacja zwrotna zbierana przez sprzedawców w salonach trafia do centrali, która używa jej, by poprawiać nie-

trafione projekty i ponownie wrzuca je na wieszaki.

Kto teraz wyznacza trendy? Która grupa wiekowa, społeczna, subkultura prowadzi opinię publiczną?

Największy wpływ i środowisko rozprzeczające trendy to użytkownicy mediów społecznościowych, czyli w dużym stopniu to milleniarsi tworzą trendy. Kiedyś wpływowy magazyn mody kreował gust i opinie w swoim kraju albo i na całym świecie. Teraz zamiast schematu „jedno wpływa na wielu” mamy „wielu wpływa na wielu”. Pamiętajmy, że milleniarsi również są grupą docelową. Rozprzeczają trendy w serwisach społecznościowych, a potem ruszają na rynek i sami je konsumują.

Mówimy o tym pokoleniu wykluczonym z rynku i mieszkającym z rodzicami długo po studiach?

No tak! Nawet jak opisuję naszego „wpływaacza”, mam przed oczami 25-latkę w piżamie tweetującego przy kawce w rodzinnej jadalni. To ciekawe pokolenie. Pracuję z wieloma firmami, które starają się ich rozgryźć. Milleniarsi uważają, że dobra, spełniająca praca im się należy, więc jeśli robota nie spełnia ich oczekiwań, odchodzą. Najlepszy sposób, by ich zrozumieć, to porównać ich z poprzednim pokoleniem. Pokolenie wojny mówiło dzieciom: pracujcie, pracujcie i zarabiacie na swoje rodziny. Więc zarabiali. Budowali kariery zazwyczaj w jednej firmie lub branży, trzymali się tego, co pewne i stali się najbogatszą generacją Amerykanów. Jednocześnie dla tego bogactwa i bezpieczeństwa często zrezygnowali z marzeń i aspiracji pozazawodowych. Dlatego mówią swoim dzieciom: znajdźcie pracę, która was uszczęśliwi. Dzieciaki nastawione na szukanie spełnienia mają zabezpieczenie w postaci majątku, na który całe życie harowali ich rodzice. I dlatego to grupa o wiele mniej aktywna na rynku, wciąż poszukująca, a jednocześnie o wiele bardziej przedsiębiorcza niż jakiegokolwiek pokolenie w dziejach. Oni sądzą, że mogą wymyślić świat od nowa, więc nie anga-



Błyskawiczna popularność „Gangnam Style” pokazuje obecne tempo rozprzeczania się trendów. W latach 90. przebój „Macarena” potrzebował roku, by zdobyć podobny zasięg.

ują się w pracę zarobkową, tylko starają się zbudować coś nowego, własnego.

Jak w twój obrazek pokoleniowy wpasowują się emeryci?

W Ameryce to jest najszybciej rozwijająca się grupa w mediach społecznościowych. Z niektórych badań wynika wręcz, że są bardziej biegli w nowych mediach niż boomersi (urodzeni między 1946 a 1964 r.). Trzeba też wziąć pod uwagę, że mieć 70 lat dzisiaj oznacza coś zupełnie innego niż pokolenie temu. Emeryci są żywsi, nadal chcą pracować, mają środki i ciekawość. Choć dziś nie jest to znaczący segment rynkowy, to się bardzo zmienia, gdy boomersi osiągną wiek emerytalny.

Czy potrafisz powiedzieć, które z obecnych trendów są czymś więcej niż tylko sezonową modą?

Owszem, ale to, co nazywamy megatrendami, to rzeczy najbardziej oczywiste. Chiny, media społecznościowe, wzrost wydatków kontrolowanych przez kobiety. O tym wiedzą wszyscy,

włącznie z twoją konkurencją. Na drugim końcu mamy mikromody, czyli to, czym wczoraj interesował się „cały Internet” i o czym dziś nie pamiętamy. To są zwykle błahostki. Najciekawsze są skupiska nowych zjawisk, powtarzające się schematy udanych projektów tego samego rodzaju. W takich obserwacjach jest duży potencjał, bo można uchwycić coś, czego inni jeszcze nie widzą.

Czy jest skupisko innowacji, które śledzisz ze szczególną uwagą?

Social business to moja ulubiona kategoria. Właściwie zaczyna funkcjonować jako osobny serwis, obok trendhunter.com. To sposób na to, by marki wmontowały dobrą karmę w swoje strategie biznesowe. Nie rezygnując z rozwojowego modelu biznesowego, szukają pomysłów na rozwiązanie problemu społecznego. Fajnym przykładem jest firma Tom's Shoes, która za każdą kupioną u nich parę butów dostarcza parę butów dziecku w Afryce. Choć to teren marketingowo i biznesowo mało zbadany, gdy się o tym wspomina, ludzie zaczynają

się ożywiać. Miejmy nadzieję, że ten trend osiągnie skalę mega, bo przecież trzeba tę naszą planetę jakoś ratować.

Kto jest największym trendsetterem naszych czasów?

Choć nie jestem fanem marki Apple, muszę przyznać, że dzięki iPodowi i iPhone'owi Steve Jobs najbardziej wpłynął na tendencje w projektowaniu i myśleniu o technologiach mobilnych. Takiej miłości do produktu i szalu rynku dawno nie widział.

Czy istnieje trend lub tendencja, która nigdy nie minie?

Jedynym pewniakiem jest bunt nastolatków. Weźmy taki Facebook na przykład. Czy jest prawdopodobne, że dorastające dziś dzieciaki, gdy staną się nastolatkami, będą chciały dołączyć do społeczności, do której należą ich rodzice? Raczej nie. Skłonność młodzieży do szukania i budowania sobie alternatywy wobec świat dorosłych jest jedynym przewidywalnym i stałym trendem na świecie. ☞

Jeremy Gutsche będzie gościem Netii na kongresie „Biznes to rozmowy”. 3 października 2013 r., Warszawa, Multikino Złote Tarasy.

FRANCISZEK BARWIŃSKI

Pożądaný brak czasu

Ledwo rozpostarliśmy skrzydła, a powoli musimy **kończyć naszą przygodę z rubryką „Od rzeczy”**. Dlatego korci nas, by opisać jak najwięcej przedmiotów. Dziś więc o tych, które pozwalają nam zaoszczędzić cenne minuty

Szanowni Państwo, oto pan Stanisław. Bardzo nam przykro, ale nie pan Stanisław z Łodzi. Jak okazało się dwa tygodnie temu, pan Stanisław z Łodzi jest już właściwie martwy. Trzymamy więc kciuki za odrodzenie się w lepszym świecie, a tymczasem przedstawiamy państwu pana Stanisława z Warszawy. Na potrzeby rubryki „Od rzeczy” obsadzamy go w roli przeciętnego Kowalskiego. Jak powszechnie wiadomo, przeciętny Kowalski jest tak przeciętny, że aż nieistniejący. Większość z nas jako żywo go przypomina (spłacamy kredyt, lubimy „Rejs” i „Misja”, sport, muzykę oraz gry, podróże i kuchnię włoską, a zwłaszcza turecką). Ale przeciętny Kowalski, którego tak uwielbiają spece od badań fokusowych, nie ma prawa istnieć. Za to pan Stanisław z Warszawy jak najbardziej. Jest bowiem, że się tak wyrazimy, boleśnie namacalny. Pan Stanisław mieszka w odległej od centrum Białogórze. Dekadę temu skończył filozofię, bo lubił się zastanawiać nad sensem istnienia. Ale że nie pochodzi z zamożnego domu, zamiast sensem zajmuje się istnieniem, zaprzędając duszę międzynarodowej firmie badawczej. Tu kolejne nieszczęście: firma pana Stanisława, podobnie jak on sam, postanowiła przyszczędzić i wynajęła biura na odległym od centrum Służewcu Przemysłowym. Jeśli nie znają państwo stolicy, służymy obrazującą nieszczęście pana Stanisława analogią: Służewiec Przemysłowy ma się do Białogóry tak jak Wrocław do Augustowa.

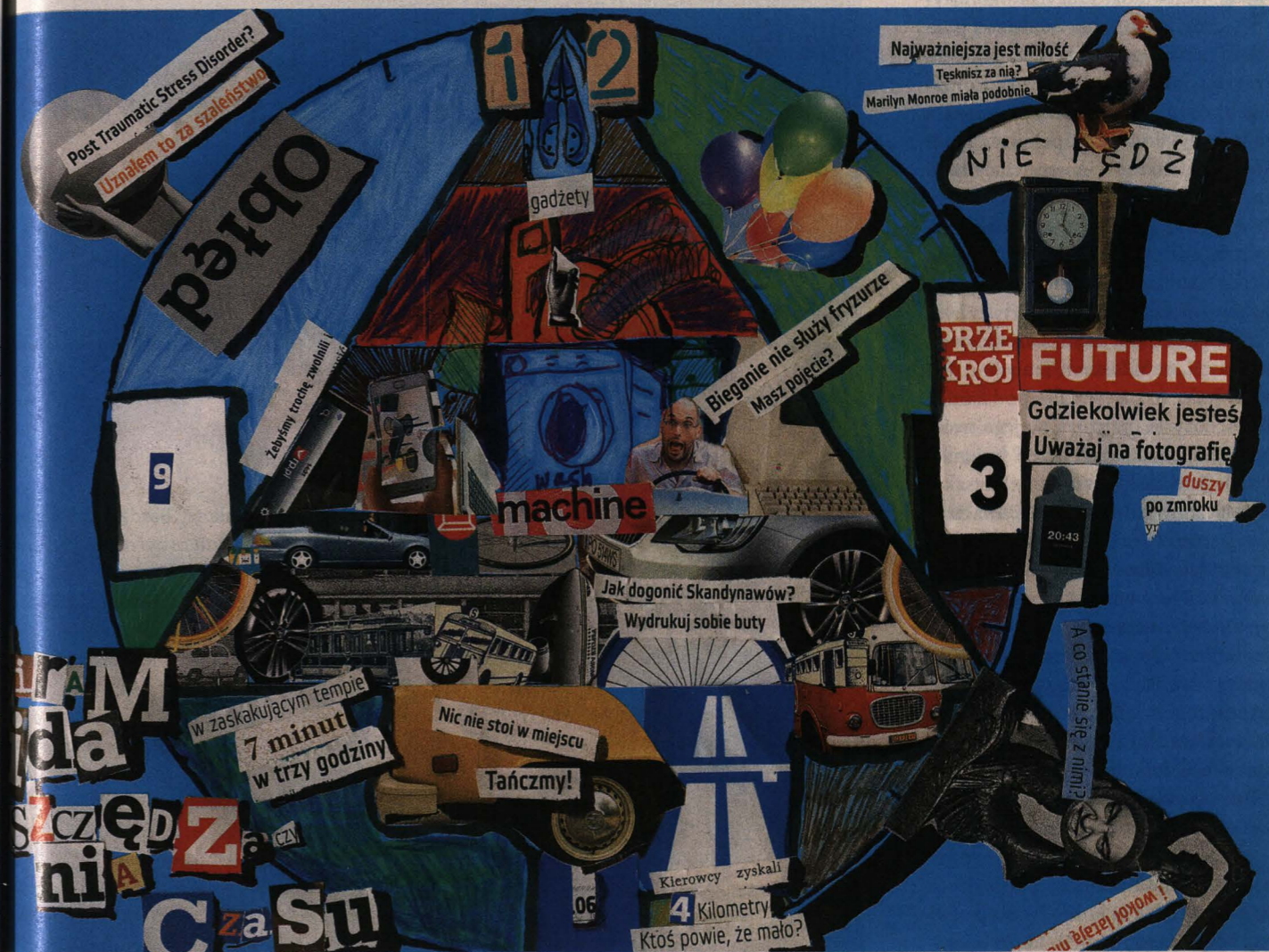
Żeby dotrzeć do pracy na 9, pan Stanisław wstaje o 6.30. Najpierw jeden autobus, potem drugi, potem metro, autobus i już: może usiąść za biur-

kiem i rozpocząć badania nastrojów konsumenckich. O 17 kończy. Tzn. tak ma napisane w umowie, bo – w przeciwieństwie do wielu jeszcze większych nieszczęśliwców – pan Stanisław nie pracuje na śmieciówce. Ale najczęściej kończy o 19. I tak, w kupionym na kredyt mieszkaniu, którego pełnoprawnym właścicielem zostanie już za niespełna 27 lat, jest z powrotem około 21. Przed snem sprawdzi jeszcze pocztę służbową, odwiedzi cztery portale, w tym jeden randkowy i jeden dla dorosłych, po czym obejrzy odcinek „Breaking Bad” i zaśnie zasłużonym snem upodlonego.

Nie obudzi się następnego dnia jak Kafkowski Gregor Samsa przemieniony w robaka, nie zostanie też Robakiem jak Mickiewiczowski Soplica. W końcu nasz pan Stanisław gra przeciętnego Kowalskiego. By jednak miał coś z życia, zafundujmy mu podróż. W czasie. Oto rok 2038. Po serii kataklizmów ludzkość ledwo zipie. Nie ma ropy, gazu, prądu, nikt nie ogłasza premiery nowego iPhone'a, nie można zmienić statusu na Fejsie ani zatweetować. Normalnie nic. Tylko pan Stanisław, któremu został rok do spłacenia kredytu, wciąż zasuwa codziennie z Białogóry na Służewiec (kto zaciągnął kredyt, wie, że bank z byle powodu nie odpuszcza). Te 30 km w jedną stronę przemierza piechotą, czasem tramwajem konnym lub rikszą. Na rower mogą sobie pozwolić jedynie prezesi firm i bogacze, obok których biegają uzbrojeni po zęby ochroniarze.

Żeby się napić w pracy kawy, pan Stanisław musi rozpać w piecu, zagotować wodę i utłuc ziarna w młynku. Żeby wysłać raport do centrali w Londynie, czeka niecierpliwie w każdym poniedziałek na przyjazd dylżansu kurlerskiego. Wszystko ciągnie się w nieskończoność: prasowanie, gotowanie, mycie garów i mycie głący pod prysznicem (wielkie słowo, pan Stanisław od lat polewa się z konewki podgrzaną wodą). Jego życie kończy się happy endem: kredyt zostaje spłacony, a pan Stanisław odzyskuje upragnioną wolność i w poczuciu dobrze odwalonej roboty odważa kitę.

Dziś, gdy od zelektryfikowania ostatniej polskiej wsi minęło ze 20, a może 30 lat i gdy noworodki przychodzą na świat ze smartfonami w dłoniach, taka wizja budzi bojaźń i drżenie. Gdyby nie przycisk w windzie z wygrawerowanym symbolem ><, który przyspiesza zamknięcie drzwi, życie pracowników korporacji z miejsca ległoby w gruzach. Jak pokazują badania, niespecjalnie lubimy oszczędzać pieniądze, ale uwielbiamy oszczędzać czas. Szalejemy na drogach, próbujemy je sobie na wszelkie sposoby skrócić, rezygnujemy z rytuałów, ceremonii, celebrowania. Wystarczy się przyrzec naszemu językowi. Mamy już nie tylko pociągi i drogi ekspresowe, ale też kawę z ekspresu, którą zresztą i tak już często porzucamy na rzecz kawopodobnych rozpuszczalników. Mamy herbatę ekspresową, zamek błyskawiczny, fast foody, błyskawiczne płatki owsiane i kremy liftingujące z efektem natychmiastowym. Mamy pralki z praniem błyskawicznym, mamy roboty kuchenne, coraz szybsze procesory wielordzeniowe, auta i przeloty samolotami za grosze. Od wynalezienia ma-



zynny parowej producenci nieustannie nas przekonują, że dzięki ich wyrobom oszczędzimy czas.

Wróćmy na chwilę do kawy: zmienienie ziaren w młynku i zaparzenie jej w kafeterce zajmuje jakieś 8 minut. Jeśli ktoś lubi latte, musi jeszcze podgrzać mleko i potraktować je spieniaczem. Rozwiązanie? Ekspres kapsułkowy. Pstryk i gotowe. Oszczędzamy 7 i pół minuty (w przypadku espresso) lub nawet 10 (w przypadku latte). Każdego dnia, dzięki wielu przedmiotom, których nie zdążymy już opisać w rubryce „Od rzeczy”, oszczędzamy setki minut. Tyle że to oszczędzanie w systemie arcygenetyńskim: inwestujemy przez lata, a ostatecznie cały nasz wkład przepada. Jak to jest, że mimo obietnic mamy

czasu coraz mniej? I dlaczego z czasem czas pędzi coraz szybciej?

Odpowiedź znamy wszyscy: mieć czas jest niebezpiecznie. Spędzenie kwadransu na prawdziwym nicnierobieniu może nas zaprowadzić na skraj załamania nerwowego. Proszę spróbować, to banalne: wystarczy włączyć stoper, usiąść z zamkniętymi oczami i obserwować oddech albo myśli. Zapewniamy, że kwadrans wyda się wiecznością.

Na tym mniej więcej polega trening uważności, który zyskuje coraz większą popularność nie tylko wśród fanów japońskiej ceremonii parzenia herbaty, lecz również w korporacjach. Dzięki znanym od kilku tysięcy lat prostym technikom, tyle że podanym na nowo,

dorobili się współcześni przewodnicy duchowi, zwłaszcza amerykańscy. Taki na przykład Eckhart Tolle, ekstumacz i native speaker, pewnego dnia pojął, jak odzyskać spokój ducha. Napisał parę książek, pojeździł po świecie, aż pewnego dnia trafił do programu Oprah Winfrey i stał się megasławny.

Zasady są proste. Mniej pośpiechu – więcej czasu. Mniej przedmiotów – więcej radości. Mniej starań – lepsze efekty. Lepszy kontakt ze sobą – mniej lęku. Jak tego dokonać? To banalnie proste i dlatego tak cholernie trudne. Można zacząć od wyrzucenia przez okno ekspresu na kapsułki. Tylko proszę się upewnić, czy gdzieś tam na dole nie przechodzi pan Stanisław. Ma jeszcze do spłacenia ponad 320 rat.

Śmierć długo krążyła wokół artysty. Zofia, żona Zdzisława Beksińskiego, zmarła z powodu ciężkiej choroby w 1998 r., a rok później jego syn Tomasz, znany dziennikarz muzyczny i tłumacz, popełnił samobójstwo. Beksiński ból i śmierć przedstawiał na swoich fotografiach oraz obrazach. Powtarzały się w nich mroczne motywy: czaszki, szkielety, rozkładające się ciała. Być może dlatego jego obrazy tak przyciągały publiczność. Dzieła artysty były ozdobą galerii na całym świecie, m.in. w Japonii, we Włoszech, Francji.

W jednym z wywiadów pod koniec lat 90. artysta przyznał, że jego twórczość napędza strach przed śmiercią. Po odejściu bliskich samotnie mieszkał w połączonych dwóch lokalach na trzecim piętrze bloku przy ul. Sonaty w Warszawie. Jego mieszkanie przypominało twierdzę. Nad zabudowanym matowym pleksi balkonem umieszczono ostre szpikulce, aby nie wtargnął tamteży włamywacz. Pancerne drzwi wejściowe wyposażono w kilka zamków, zainstalowano też wideofon, przez który malarz sprawdzał, kto chce wejść do środka. – Był bardzo ostrożny i cichy. Skromny samotnik – wspominał jego sąsiad.

Ciało na balkonie

W poniedziałek 21 lutego 2005 r. pierwszy niepokojący sygnał od 76-letniego malarza odebrał o godzinie 21.30 Krzysztof K. Mężczyzna wraz z rodziną mieszkał w podwarszawskim Wołominie. Od 10 lat wykonywał dla Zdzisława Beksińskiego prace remontowe oraz sporadycznie robił zakupy, był tzw. złotą rączką. W sierpniu 2004 r. Beksiński pożyczył Krzysztofowi K. pieniądze na kupno renault. Umówili się, że w ramach spłaty pożyczki jego żona wraz z dziećmi, córką lub synem, będą mu pomagać w domu. Kobieta miała Beksińskiemu sprzątać mieszkanie do końca 2005 r. Beksiński hojnie wynagradzał za to rodzinę K.

Tego wieczoru Krzysztof K. nie zdążył jednak odebrać telefonu od artysty. Potem kilka razy próbował oddzwonić, ale Beksiński nie odbierał. Zaniepokojony Krzysztof K. zawiadomił jego ro-

JANINA BLIKOWSKA, MAREK KOZUBAL

Ofiara dzwoni tylko raz

Zdzisław Beksiński został zamordowany przez nastolatka, którego doskonale znał i któremu pomagał.

dzinę. Około godz. 23 Krzysztof K. razem z kuzynem Beksińskiego zjawili się pod mieszkaniem malarza. Drzwi były zamknięte i nikt nie odpowiadał, a Krzysztofowi K. zginął klucz. Za pomocą narzędzi, które na wszelki wypadek zabrał ze sobą, wykuł dziurę w ścianie obok drzwi wejściowych do mieszkania. Poszło mu łatwo, bo ściana była gipsowo-kartonowa.

Przez otwór dwaj mężczyźni weszli do apartamentu. W przedpokoju zauważyli mokrą podłogę. Nie mogli jednak znaleźć artysty. Jego ciało Krzysztof K. znalazł dopiero po kilku minutach na zabudowanym balkonie. Zwłoki zostały zmasakrowane, wszędzie było mnóstwo krwi. Pomimo zimowego mrozu kapłała ona z balkonu na niższą kondygnację.

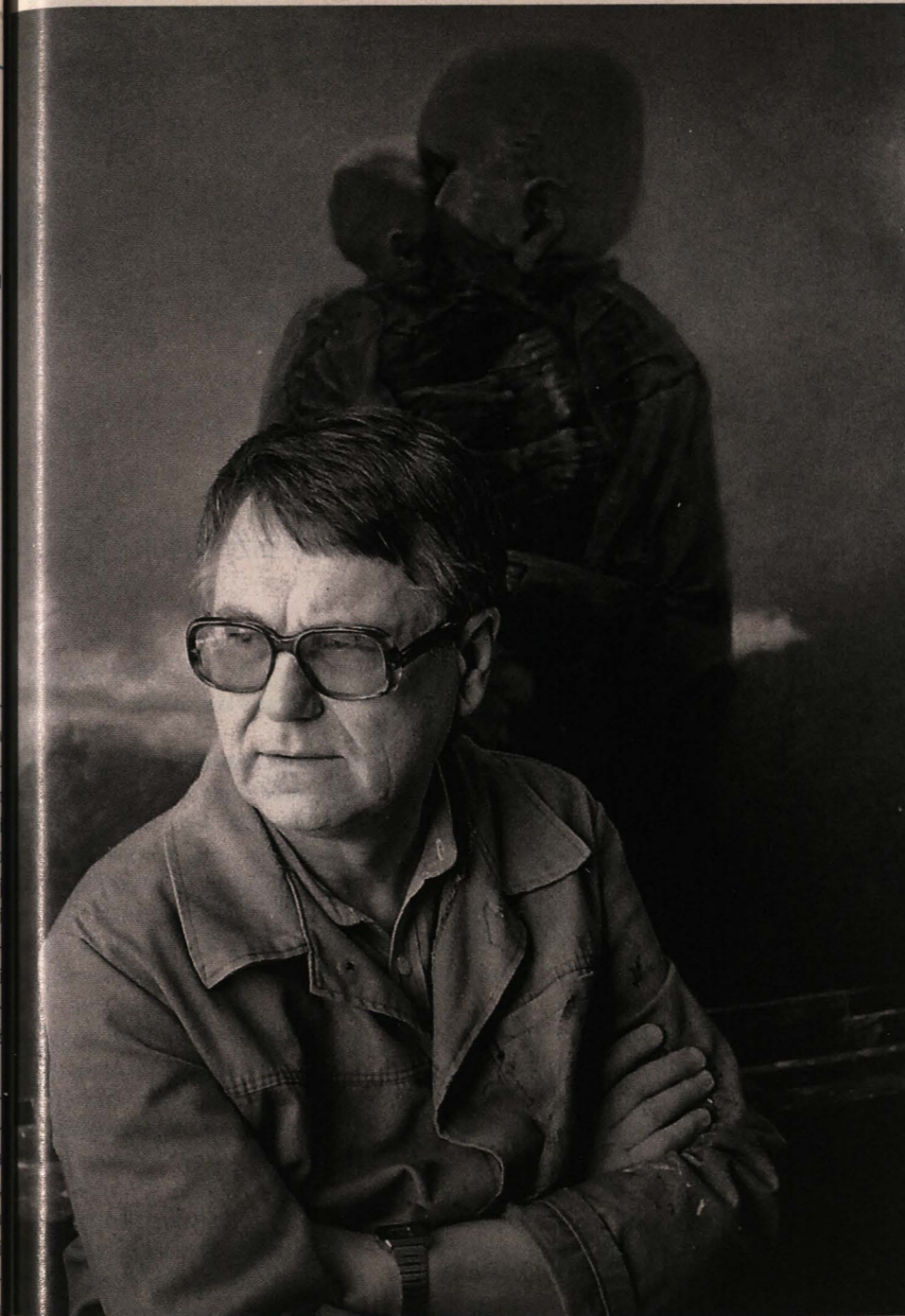
Na miejsce przyjechała policja oraz bliscy artysty. Przez wiele godzin trwały oględziny miejsca zbrodni. Pod blok, w którym zginął Zdzisław Beksiński, przyjeżdżali jego znajomi i wielbiciele. Palili znicze obok wejścia na klatkę schodową. Ktoś położył w tym miejscu tabliczkę: „Zabrano mi i wielu innym przyjaciela, idola, zabito bestialsko dobrego człowieka”.

Zabójcę znał od dziecka

Policja nie stwierdziła włamania do apartamentu Beksińskiego. Początkowo kryminalni orzekli, że z mieszkania nie zginęło nic cennego. Wykluczyli

motyw rabunkowy. Bardziej prawdopodobny ich zdaniem był osobisty motyw zbrodni. Dlaczego? Wszystko wskazywało na to, że artysta znał zabójcę i sam wpuścił go do mieszkania. Policjanci zaczęli więc prześwietlać środowisko osób, z którymi Beksiński najczęściej miał kontakt. Do wyjaśnienia śmierci Zdzisława Beksińskiego została powołana specjalna grupa z wydziału do walki z terrorem kryminalnym Komendy Stołecznej Policji. W jej skład wchodziło aż 20 funkcjonariuszy.

Sledczy analizowali ostatnie dni artysty, badali billingi telefoniczne, wysłane mejle. W kręgu zainteresowania policji znalazło się kilkadziesiąt osób, ale na pierwszy ogień poszła rodzina K. z Wołomina. Policjanci przeszukali mieszkania członków tej rodziny, rozmawiali też z Robertem K., synem pana Krzysztofa. U jego sąsiada znaleźli ubranie poplamione krwią. Na komendę trafili 19-letni Robert K. i jego 16-letni kuzyn Łukasz K. Chłopcy pękli. Przyznali, że feralnej nocy byli u artysty. Policjanci znaleźli rzeczy zabrane przez nich z mieszkania Beksińskiego: dwa aparaty fotograficzne oraz płyty kompaktowe. Okazało się, że pomysłodawcą zbrodni był Robert K., który od dziecka znał malarza. Gdy artysta jeździł do Wołomina, zawsze przywoził chłopcu cukierki. Robert K. wyjaśniał, że przyszedł do mieszkania artysty, bo chciał od niego pożyczyć



pieniądze, zabrał ze sobą nóż. Beksiński wpuścił Roberta K. do środka...

17 ciosów nożem

Kilkanaście miesięcy później sąd dokładnie odtworzył, co stało się w „twierdzy” Beksińskiego przy ul. Sonaty. – Po co przyjechałeś? – zapytał Beksiński. – Chce pożyczyć pieniądze – odpowiedział Robert K. – Nie mam, nie pożyczę – usłyszał nastolatek. Spytał, czy może się napić coli. Beksiński pozwolił. Zgodził się także, aby chłopak skorzystał z łazienki.

Beksiński w tym czasie siedział w przedpokoju na krześle. Robert K. ponownie zapytał o pożyczkę. Artysta się zdenerwował. Powiedział, że zadzwoni do ojca chłopaka. Ten oponował: – Niech pan mu nie mówi.

Gdy Beksiński wybrał numer w swoim telefonie, Robert K. wyjął nóż i zaczął zadawać ciosy. Uderzał w różne miejsca ciała: przeciął aortę, przebił płuca, serce. W sumie ugodził ofiarę 17 razy.

Gdy Beksiński upadł, Robert K. puścił sygnał z telefonu do Łukasza K., któ-

ry w tym czasie stał przed blokiem. Obydwaj zaciągnęli zwłoki malarza na balkon. Mopem zmyli z podłogi krew. Robert K. płądrował mieszkanie w poszukiwaniu cennych rzeczy. Zabrał aparaty fotograficzne, 100 płyt CD.

W tym momencie w mieszkaniu zadzwonił telefon. Aparat był podłączony do systemu nagłaśniającego. Robert K. usłyszał głos ojca: – Panie Zdzisławie, pan coś ode mnie chciał, pan się do mnie odezwie. Po paru minutach ojciec zadzwonił na komórkę syna i kazał mu szybko wracać do Wołomina. – Z panem Zdzisławem coś się stało, muszę do niego jechać, potrzebny mi jest samochód – mówił.

Miał dług

W czerwcu 2006 r. przed Sądem Okręgowym w Warszawie rozpoczął się proces Roberta K. i Łukasza K. Prokurator oskarżył Roberta K. o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem, a Łukasza K. o pomoc w zbrodni. Oskarżeni przyznali się do winy, ale obaj starali się pomniejszyć swoją rolę w zbrodni.

Łukasz K. twierdził, że wsiadł do samochodu Roberta K. „dla towarzystwa”. – Robert powiedział, że jedzie do dziewczyny i mogę z nim pojechać. Już w samochodzie powiedział, że chce kropnąć Beksińskiego, ale myślałem, że to żart – tłumaczył. Później Łukasz K. miał pomóc zacierać ślady zbrodni ze strachu – kuzyn miał bowiem grozić, że jeśli wszystko się wyda, razem trafią do więzienia.

Z kolei adwokat Roberta K. utrzymywał, że jego klient działał w sytuacji stresowej. Chciał pożyczyć od Beksińskiego pieniądze na spłatę długu. Miał pożyczyć na dyskotecę 200 zł, a bandyci zażądali od niego 10 tys. zł. – Szantażowali go. Pobili, grozili, że zrobią krzywdę jego siostrze. Chłopak bał się ojca, dlatego bez jego wiedzy chciał pożyczyć pieniądze od Zdzisława Beksińskiego – twierdził adwokat Roberta K.

Robert K. został skazany na 25 lat więzienia, a jego kuzyn na pięć lat pozbawienia wolności. W 2010 r. sąd uchylił wyrok wobec Łukasza K. i nakazał ponowne przeprowadzenie procesu.

ROZMAWIA PATRYK CHILEWICZ

Trzeba wiedzieć, czego się chce

Ta zasada sprawdza się nie tylko przy kupowaniu butów czy obiadu, ale przede wszystkim przy wyborze pracy – twierdzi **Marta Stachniuk**, training consultant w McDonald's.

Kiedy zaczęła pani swoją pracę w McDonald's?

Trochę już minęło, w tym roku będzie dziewięć lat.

Na jakim stanowisku pani zaczynała?

Jako menedżer praktykant. To funkcja, w której pracowałam normalnie razem z innymi pracownikami, obsługiwałam gości i przyjmowałam zamówienia. Byłam pod presją, bo miałam pewien określony czas na awans, więc szczerze mówiąc, nie było łatwo. Musiałam nauczyć się wszystkiego od podstaw: funkcjonowania i specyfiki kuchni, prowadzenia zmiany i przede wszystkim umiejętności obsługi klienta. Byłam na początku po prostu jedną z tych dziewczyn, które można codziennie spotkać w McDonald's.

Kiedy nastąpił pierwszy awans?

Po niecałym roku. Zostałam wtedy kierownikiem restauracji. Po kolejnym roku nastąpił kolejny awans i tak dalej. Przez trzy lata byłam cały czas na stanowisku szefa.

Kiedy przeniosła się pani z lokalu do głównego biura firmy?

Po czterech latach. Zaproponowano mi wtedy stanowisko szkoleniowe w centrali. Cieszyłam się, bo to od początku było moim celem.

Nie miała pani kiedyś poczucia, że McDonald's jest firmą nieciekawą, wielką korporacją i trochę wstyd w niej pracować? Wielu młodych ludzi boryka się z takimi wątpliwościami.

Ja nigdy nie miałam tego rodzaju wątpliwości. Zresztą zaczynałam pracę, mając 28 lat, więc cechowało mnie trochę inne podejście. Duża część moich kolegów i koleżanek była studentami albo tuż po uczelni wyższej. Dla mnie natomiast to nie była już pierwsza praca i idąc do niej, miałam jasno wytyczoną drogę przed sobą. Wchodziłam do gry ze świadomością, że jest to duża korporacja, i odpowiadało mi to. Dzięki temu łatwiej mi było dostać się na stanowisko, na którym teraz pracuję, gdyż korporacje wyróżniają to, że mają jasno wytyczone drogi kariery. Nie ma żadnych wą-

pliwości, jakie trzeba mieć osiągnięć i rezultaty, by awansować.

Czyli od początku dobrze zdawała sobie pani sprawę z tego, na co się pisze.

Dokładnie tak. Praca w korporacji jest na tyle wygodna, że pozwala szybko zweryfikować, czy ktoś się nada na określone stanowisko czy nie. To oczywiście nie jest łatwe zajęcie, wymaga pełnego zaangażowania i skupienia. Ja od samego początku, jeszcze podając klientom frytki i colę, powtarzałam wszystkim, a przede wszystkim sobie, że chcę pracować w dziale szkoleniowym. To właśnie postawiłam sobie za cel.

Nie miała pani momentów, w których miała dość tej pracy? Poważne stanowisko to przecież ogromna odpowiedzialność.

Oczywiście, że miałam wątpliwości w każdej firmie i na każdym stanowisku zdarzają się takie chwile. Jednak wiedziałam, czego chcę, do czego dążyć i co muszę ku temu zrobić. I po prostu robiłam. Spełniam się w swojej pracy

mogę w niej wykorzystywać umiejętności, które rozwijałam w szkole średniej, czyli m.in. rysowanie i inne zajęcia manualne. Duch szkoleniowca zawsze był we mnie, w McDonald's został on tylko wykorzystany.

Czy ta praca nie jest nużąca? Tyle lat na jednym stanowisku...

Absolutnie! Bardzo często wdrażamy nowe rzeczy, a praca na co dzień ludźmi nie może być nudna. Każdy z nas jest inny, dzięki czemu co dzień właściwie musimy zaczynać od nowa. Właśnie temu zawdzięczam, że jeszcze

nie osiadłam na laurach, i pewnie dzięki temu tak szybko minął mi ten czas.

Nie dusiła się pani przez tę prawie dekadę? Dziś większość pracowników często zmienia pracę lub jest zmuszana do zmiany pracy, a nawet zawodu.

Nie dusiłam się, wręcz przeciwnie. Te lata upłynęły mi bardzo szybko i mogę śmiało powiedzieć, że to jest cały czas mój początek.

Naprawdę?

Oczywiście. Proszę nie patrzeć na mnie z takim zdumieniem, ja się naprawdę

fantastycznie bawię w pracy. Chciałabym tu pracować jak najdłużej. Spełniam się w swojej roli i wciąż mogę się rozwijać. To daje niezwykłą energię.

Czy tak smakuje sukces?

Nie potrafię wypowiedzieć się w imieniu wszystkich pracowników, ale odniosłam na pewno mały sukces prywatny – zarabiam, robiąc rzeczy, które sprawiają mi radość. Zamiast z grymasem zmęczenia, budzę się z uśmiechem na twarzy. Czy uzna pan to za sukces, tego nie wiem, ale dla mnie tak smakuje szczęście.



Rzetelny pracodawca

16 000 pracowników w Polsce



ALEKSANDRA CZAPLA-OSLISLO

Nie tylko kluska z dziurką

Modra kapusta, kluski śląskie, rolada, wodzionka – to **najbardziej znane śląskie potrawy**. Dziś Ślązacy zaczynają twórczo przetwarzać swoje kulinarne tradycje.

Jakkolwiek dzisiaj barszcz czerwony gości już na śląskich stołach, to nadal niezbyt chętnie przyrządzane są pierogi czy ćwikła – do takich wniosków doszedł zespół badaczy pod koniec lat 80. XX wieku, który wydał dla Instytutu Śląskiego opasły tom „Nowa Kuchnia Śląska” wraz z 1528 aktualnymi przepisami. W przekazywanych z pokolenia na pokolenie recepturach jakakolwiek nowość i eksperymenty nie były mile widziane przez lata. Jed-

nak najmłodsze pokolenie śląskich kucharzy i blogerów rozpoczęło nieśmiało rewolucję. Owo „nowe” przyszło po kolejnych 20 latach.

Mit kluski śląskiej

Dużym uproszczeniem jest sprowadzanie kuchni śląskiej wyłącznie do rolady wołowej, klusek i modrej (czerwonej) kapusty. Z drugiej strony nie sposób zapomnieć o niedzielnych kluskach, które są tu wręcz ikoną kulinarną.

Porcelanowy palec do robienia w kluskach wgłębień tej samej wielkości zaprojektowała Marta Szafraniec, właścicielka pracowni artystycznej Saffa.



puścili jednak tradycyjne kuchnie trafiły m.in. na warsztat projektowy młodych designerów: jakiś czas temu Matylda Sałajewska z Kolektywu Haja proponowała siedzisko w kształcie kluski z obowiązkową dziurką w środku, a Marta Szafraniec, właścicielka pracowni artystycznej Saffa, wymyśliła dogodnienie obiadowe – zaprojektowała porcelanowy palec do robienia kluskach dziurek zawsze tej samej wielkości. Zawieszony na łańcuszku wykończonym srebrem porcelanowy palec może także pełnić funkcję wisiorka i wpisywać się w modny obecnie trend śląskiej biżuterii inspirowanej dziedzictwem regionu. Kluska śląska wyołowała także do rangi nietypowej rytki – grubo ścinana i obsmażana, serwowana w papierowym rożku stanowi dodatek do nietypowego burgera, zrobionego z mięsa króliczego. Królik to jeden ze śląskich rarytasów, który także powoli wraca do łask (tradycyjnie duszony w winie ze śliwkami, zmielony na karminadło lub jako baza do zapiekanego pasztetu).

W poszukiwaniu hodowli raków

Kolejnym stereotypem jest prostota kulinarna. Na Śląsku nie brakowało i nie brakuje dań zarezerwowanych na specjalne okazje. Zachowało się wiele przepisów na rosoly z gołębi, zapiekaną baraninę, pstrągi na maśle czy nadziewane gęsie szyje. Niestety, absolutnie zapomnianym smakiem są dziś np. delikatesy z mięsa raków. Skorupiaki przez lata królowały w śląskim menu – kilka wykwintnych przepisów można znaleźć np. w zapiskach Zofii Wilhelminy z Koblanków Szeyblerowej jeszcze z 1837 r. Oprócz zupy autorka radzi przygotować np. kluski z raków na utartym maśle lub przyrządzić skorupy raków nadziewane frykasowym sosem na bazie szparagów i smardzów. Przepis kwituje bez wahania: „Jest to potrawa bardzo piękna”. Problem w tym, że lokalne hodowle raków na Śląsku nie istnieją, dlatego

Skorupiaki latami królowały na śląskich stołach. Prawdziwym rarytatem była zupa z raków.



go takie receptury odchodzą do lamusa. Jedną z młodych menedżerek katowickich restauracji chciałyby przywrócić raki do śląskiego menu, dlatego też robi rozeznanie i marzy jej się uruchomienie własnej hodowli w duchu slow food.

Moda na jarmuż

Choć w wielu rodzinach do dziś menu jarmuż jest zarezerwowane na piątki, to kilka warzyw i owoców absolutnie na stałe miało status najsmaczniejszych. Jarmuż, który dziś na ekologicznych targowiskach rochodzi się błyskawicznie, trafiał na stół często nie tylko świeży w sałatach, ale też jako składnik zupy z miazdżonym czosnkiem lub po przetarciu w postaci kremu zaciągniętego najlepiej żółtkiem. W przepisach odnalazłam też ślady skorzonery, zapomnianego podobnie jak jarmuż czarno-brunatnego korzenia, który kryje w sobie cudowny, delikatny, szparagowy smak. Warto wracać

też do marynat, kiszienia rydźw, kandyzowania arcydzięgla czy robienia lemoniady z kwiatów lipy (mrożona herbata z lipy trafiła niespodziewanie do menu jednej z katowickich restauracji).

Metka i hekele

Szczęśliwie idzie nowe! Jeszcze nieśmiało, bo zaledwie w kilku miejscach w kartach, pojawiają się eksperymenty kulinarne z kuchnią śląską. Co ciekawe, to niezupełne odwrócenie od tradycji, ale celowe jej przetwarzanie i stosowanie pewnych smaków jak ulubionych cytatów kulinarnych. Tradycyjny krupniok można zjeść w burgerze (ukłon w stronę nieustającej mody na domowej roboty burgery) z dodatkiem kiszzonej kapusty lub znaleźć go w formie nadzienia do prażonych pierogów. Modrą kapustę (duszona niebieska) można degustować jako aromatyczne nadzienie francuskiej tarty, z goździkami i zapieczonymi plastrami koziego sera. W kilku miejscach obok śródziemnomorskich tapas można trafić na śląskie przekąski z metki i lubczyku, śledziową sałatkę z jajkiem (tzw. hekele) czy galaretki z gęsiną. Do słynnych klusek trafia parmezan, czerwoną kapustę gotuje się wręcz egzotycznie w soku ananasowym, a czekoladowe desery o ziemistej konsystencji dzięki akcesoriom z kuchni molekularnej wyglądają jak hałdy górnicze. Kulinarne transformacje na Śląsku dopiero się zaczęły.

Przepis na masło rakowe wg receptury z XIX w.

→ **Utluczone w móżdżerze skorupy i nóżki raków** przesmażyć na maśle. Żeby się nie przypaliły, co jakiś czas dolewać wrzątek. Następnie przecedzić całość przez sito do miski, optukując ze skorup resztki tłuszczu. Po wystudzeniu zebrane z wody masło jest gotowe do użycia.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Zdrowe czy niezdrowe?

Zdania są podzielone.

Co roku robię sobie przerwę od wina. Tydzień, dwa lub trzy – ile pozwalają mi obowiązki degustacyjne. Efekty widać po kilku dniach. Śpię krócej, ale lepiej – śnią mi się niesamowite historie. Jem mniej i zdrowiej. No i chudnę – bo niestety dla nas, winomanów, wino to również kalorie, a normalna konsumpcja – 2–4 kieliszki dziennie – to 200–400 kcal więcej w bilansie.

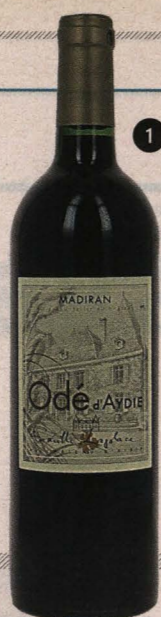
No właśnie, 2 czy 4? Różnica jest istotna, bo gdzieś pomiędzy tymi wartościami według lekarzy przebiega granica bezpiecznego picia. Dla mężczyzn to 3 kieliszki dziennie, a dla kobiet 2. Problem w tym, że kieliszki są różne – w krajach anglosaskich mają 175 ml, w innych – 125 ml albo nawet 250 ml, a jeśli nalewasz sobie mało („degustacyjnie”), często wychodzi 100 ml albo mniej. Wprowadza się więc pojęcie „jednostki alkoholu” („units” – ten termin widnieje na niektórych butelkach): butelka wina ma ok. 7,5–8 jednostek, pół litra piwa – 2,5, 50 ml whisky – 2. Ale każdy kraj ma inne wytyczne co do liczby jednostek, które można bezpiecznie wypić: w Anglii – 3–4 dziennie, w Hiszpanii 3, w USA i Australii – 1–2; tygodniowo regulatorzy zalecają od 14 do 21 jednostek dla panów i 7–14 dla pań. To już się robi zbyt skomplikowane i nie znam nikogo, kto by te jednostki liczył – zwłaszcza w Polsce, gdzie świadomość tematu jest zerowa.

Napisałem o corocznym detoksie w moim blogu. Reakcje kolegów po fachu, kilkudziesięciu degustatorów wina, mnie zdumiały: „Ja piję bardzo mało”, „na pewno nie przekraczam zalecanych limitów”. Opisywali szczegółowo, że na lunch często w ogóle nie piją, a wieczorem najwyżej dwa kieliszki. Pisali to ludzie, z którymi regularnie

jadam lunche i kolacje, i rachunek ni jak mi się nie zgadzał. X wypija dwa kieliszki, jeszcze zanim lunch pojawi się na stole; Y do każdego dania zmienia wino, więc do kolacji wypija minimum 3. Z, który w Internecie najmocniej przestrzega limitów, niegdyś po degustacji zamówił „utrwalacz”, czyli duże piwo, a potem wsiadł do samochodu. Nie chcę powiedzieć, że mają problem z pić – praktycznie wszyscy piją kulturalnie i znają umiar – ale podświadome zaniżanie konsumpcji leży w naszej naturze.

A po co w ogóle pić? Bo to zdrowe. Jest to dowiedzione naukowo. Wino przede wszystkim chroni przed chorobami serca; już w 1992 r. prof. Serge Renaud stwierdził związek pomiędzy konsumpcją czerwonego wina a zmniejszonym ryzykiem zawału serca. Chronią przed nim polifenole, czyli związki obecne w wielu owocach, m.in. w winogronach, a szczególnie resweratrol, zdrowotna rewelacja ostatnich dekad. Wino ponadto wzmacnia kości, zapobiega demencji, wspomaga trawienie i łagodzi objawy stresu. Chroni też przed pewnymi rodzajami raka – m.in. jelita grubego i przełyku, być może także płuc, jajników i prostaty (badania trwają). Prozdrowotne właściwości wykazują nie tylko polifenole, lecz także... sam alkohol! Obniża ciśnienie i poziom insuliny we krwi, działa przeciwzkrzepowo i podnosi HDL. W 2006 r. American Heart Association wydało rewolucyjną rekomendację: 1–2 jednostki alkoholu dziennie (nie tylko wina) obniża ryzyko zawału o 30–50 proc.

Wino ma też negatywny wpływ na zdrowie – dowiedziono, że podnosi ryzyko raka piersi. Lecz przede wszystkim alkohol uzależnia. I ta kwestia stała się



1 Madiran Odé 2009, Pireneje, najwięcej polifenoli wśród win czerwonych, ok. 55 zł



2 Gunderloch Fritz's Riesling 2012, Niemcy, mało kalorii, dużo smaku, ok. 45 zł



3 Vinoterra 2011, Gruzja, polifenolyczna bomba, ulubione wino stulatków, ok. 80 zł

kością niezgody wśród naukowców. Nie brakuje takich, którzy postulują całkowitą abstynencję. Zalecane dzienne dawki spożycia w latach 90. podnoszono, dzisiaj się je obniża; lekarze coraz częściej mówią, by na jeden lub dwa dni w tygodniu odstawiać wino i inne trunki. Zaden przełom w badaniach naukowych nie nastąpił, ale zmieniło się nastawienie – z liberalnego na ostrożne.

Dlaczego? To wiatr dziejów. Alkohol jest na cenzurowanym. Konsumpcja nie rośnie, ale mnożą się incydenty. Młodzi ludzie piją na umór, giną w wypadkach. Pijani kierowcy nadal straszą. Światowa Organizacja Zdrowia po skutecznym zwalczeniu papierosów wzięła na warsztat alkohol – w 2011 r. opublikowała alarmujący raport o zgubnych skutkach picia.

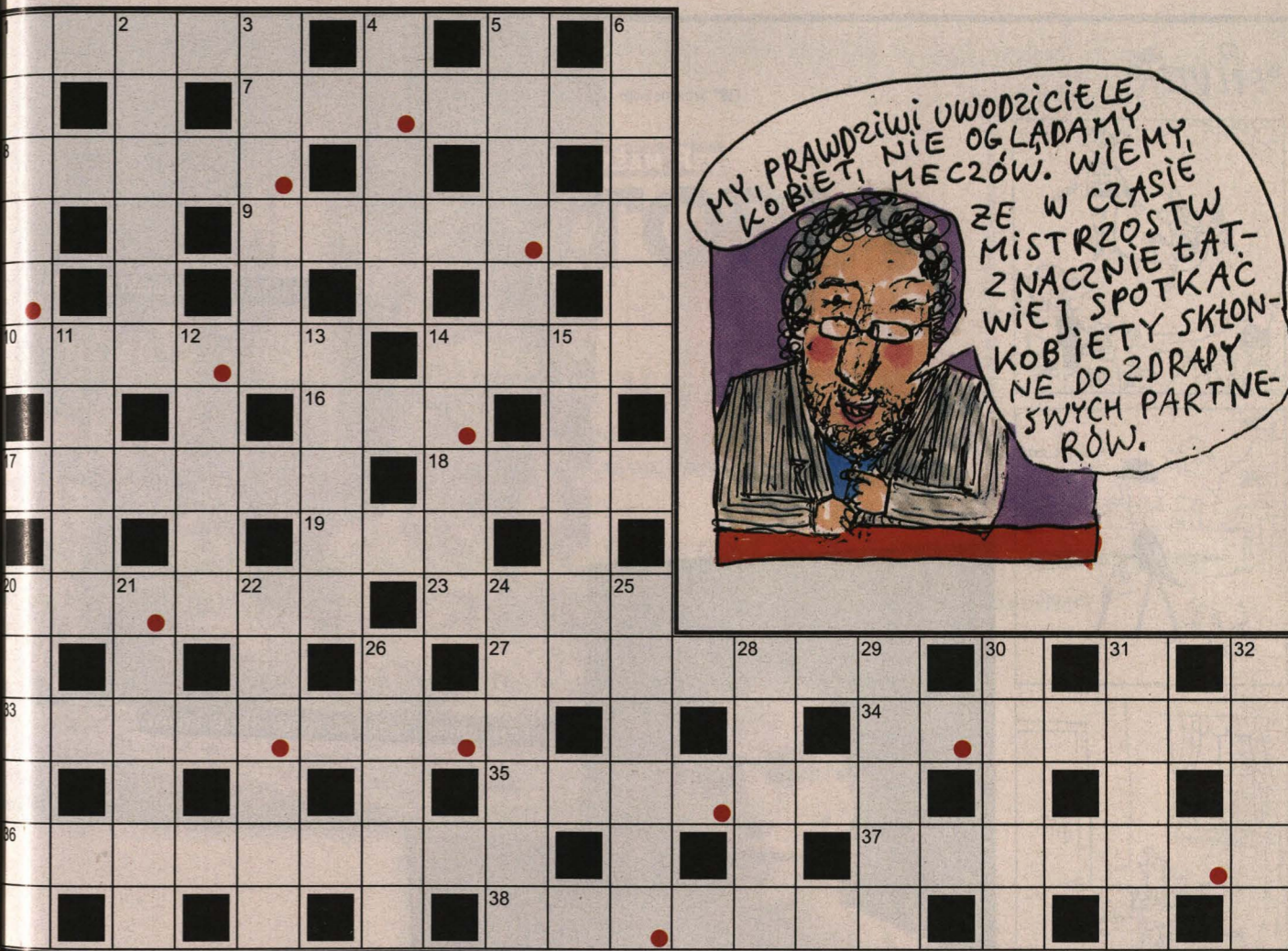
W wielu krajach prohibicjonizm zaczął przeważać nad zdroworozsądkowym naukowo popartym podejściem: skracają się godziny sprzedaży alkoholu, ustalają ceny minimalne. Utrudniony dostęp ma uchronić młodzież przed zgubnymi skutkami alkoholu. Jak to działa, widzimy na własnym podwórku. Trudno zresztą nie zauważyć, że im więcej wina w stosunku do piwa, wódki i tzw. alkopopów tym mniej problemów, a więcej kultury. A więc – zdrowo czy niezdrowo? Zdrowo – w rozsądnych granicach. Dwa, trzy kieliszki dziennie. Jeśli zastanawiacie się czy sobie pozwolić na kolejny – zrzędnijcie. W niedzielę zamiast wina joging, w sierpniu detoks. Wtedy polifenole zjemy w postaci niesfermentowanego I żyjemy 100 lat jako świadomi i rozsądni konsumenci.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winiatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

tery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

- 1. STAWIA KLINA ZA KLINEM
- 7. Z DZIEWCZYNKAMI
- 8. ŚWIĘTO STRAŻAKA
- 9. CO POETA MIAŁ NA MYŚLI
- 10. NIEZŁY KOZAK
- 14. TYTUŁ Z SERII „GWIEZDNE WOJNY”
- 16. INO OD TYŁU
- 17. MATERIAŁ DO WYKUCIA NA PAMIĘĆ
- 18. PŁYN DO BRUDZENIA NACZYŃ
- 19. KANGUR DAŁ MU W DZIÓB
- 20. KANAŁ LEWY, KANAŁ PRAWY
- 23. NIERÓWNO POD SUFITEM
- 27. RESZTEK
- 33. ŚWIĘTE SŁOWA
- 34. CZTERECH PANCERNYCH I KOT
- 35. LEŻY POD PIONKAMI
- 36. LISTA OCZYWISTA
- 37. LEŻĄ NA MAZURACH
- 38. PO HULANCE

PIONOWO:

- 1. DRUGIE DRUGIE
- 2. DO CZYTANIA PO CIEMKU
- 3. CHUDE LATA
- 4. NA KRZYWY RYJ
- 5. BYWA NERWOWE
- 6. SERCE NIE SŁUGA
- 11. DO CHRZANU
- 12. JEDZENIE ZAPISANE W TESTAMENCIE
- 13. ZAPISAŁ SIĘ W PAMIĘCI
- 14. PRACOWNIK DO D...
- 15. SMUTNY RAP
- 20. ZBITY PIES
- 21. LATA PO WSI
- 22. ZAPROSZENIE DO ŁÓŻKA
- 24. IGŁA W STOGU ŚWIATA
- 25. UCZYNI CIĘ NIEWINNYM
- 26. ŚRODEK DOPOCHWOWY
- 28. TANIEC O KULI
- 29. SŁUCHA PANI
- 30. CHYŻY CZYN
- 31. ŻYJE W KRAJU RAD
- 32. DZIAŁA NA HASŁO

Nagrodą w tym tygodniu jest płyta **Box 4 cd „The Best Tango... Ever!”** EMI Music Polska

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesać **NA KARTCE POCZTOWEJ** na adres: GREMI MEDIA Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 37”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 22 września 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 34

Katarzyna Tez, Warszawa; Izabela Kowalska-Wieczorek, Toruń; Barbara Gawlak, Władysławowo; Stanisława Skibińska, Ostrów Wlkp.; Maria Łapott, Wrocław; J.B. Stasiewicz, Gdynia; Krystyna Pawluk, Wejherowo; Irena Twaróg, Tambrzeg; Krzysztof Szeruga, Wrocław; Jarosław Kacperek, Łódź

ROZWIĄZANIE Z NR. 35

KRZYŻÓWKA: ADRESAT NIEZNANY

POZIOMO: 1. GŁODNY KAWALEK – MARSZ 7. GWIŹDZE NA PRZEPISY – ARBITER 8. ROBI RÓŻNICĘ – MINUS 9. WYSZŁA SZKOŁA JAZDY – PIĘTRUS 10. AMERYKAŃSKI DREAM – TEAM 13. KIMONO W KIMONO – PIŻAMA 16. DOZET – ODA 17. WIELBI PANA – PIES 18. GŁOWA NA TRANZYSTORACH – CYBORG 19. WYSZŁA Z NIZIN – WYŻYNA 22. PIENIĄDZE NA OFIARĘ – OKUP 26. DUŻO JABŁEK NIEDALEKO OD JABŁONI – URODZAJ 32. CIĄGLE ZMIENIA KANAŁY – GONDOLIER 33. FACET PRZY KASIE – OCHRONA 34. KJUEK NA SIEKIERKĘ – TRZONEK 35. CZŁOWIEK W ATAKU – EPILEPTYK 36. SUPERSZYBKIE – EXPRESS 37. WIEZIE MAZOWSZE NA PODHALE – AUTOKAR

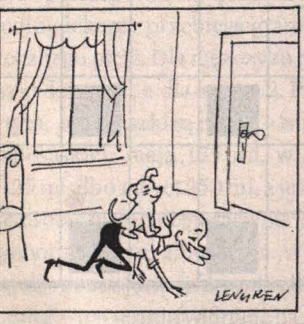
PIONOWO: 1. JAWIA SIĘ PO CHWILI – MOMENT 2. PANI JABŁOŃSKA – RENETA 3. WAŁĘSA JĄ OPUŚCIŁ – ZASPA 4. WYRWĄ MUROM ZĘBY KRAT – OBCĘGI 5. NA STOS – STERTA 6. DRAPIE PO GŁOWCE – DRASKA 11. ROZWIĄDUJĄ KRZYŻÓWKĘ „PRZEKROJU” – ELITY 12. ZWODZĄ NIEPRZYJACIELA – MOSTY 13. ZAWSZE POD RĘKĄ – PACHA 14. Z MŁODEJ PIERSI SIĘ WYRWALO – ŻEBRO 15. ŻYŁY NA CMENTARZU – MARMUR 19. RÓG PUBLICZNY – WĘGIEŁ 20. ŻÓŁTOZDÓB – ŻONKIL 21. GAZIK – NEONEK 23. SKÓRA ZDJĘTA Z CZŁOWIEKA – KURTKA 24. WSZYSTKIE KRÓLE W RĘKU – POCZET 25. SITO – FILTR 27. POWIĘKSZA SIĘ, MALEJĄC – ZANIK 28. BŁAZEN WAŻNIEJSZY OD KRÓLA – JOKER 29. CZŁONEK PACZKI – CHIPS 30. MA MASZYNEK – GOLEŃ 31. TRZY SZÓSTKI – PASSA

FILUTEK

Sztuczne Fiolki



77 Pierwszym objawem starzenia się jest miłość do życia.
Magdalena Samozwaniec



I zakładajcie związki zawodowe.

E, to całe chrześcijaństwo to nie dla Polaków.

Marek Raczkowski



PRZEKRÓJ numer 3

UWAŻAM RZE HISTORIA

SOWIECI NA PRADZE

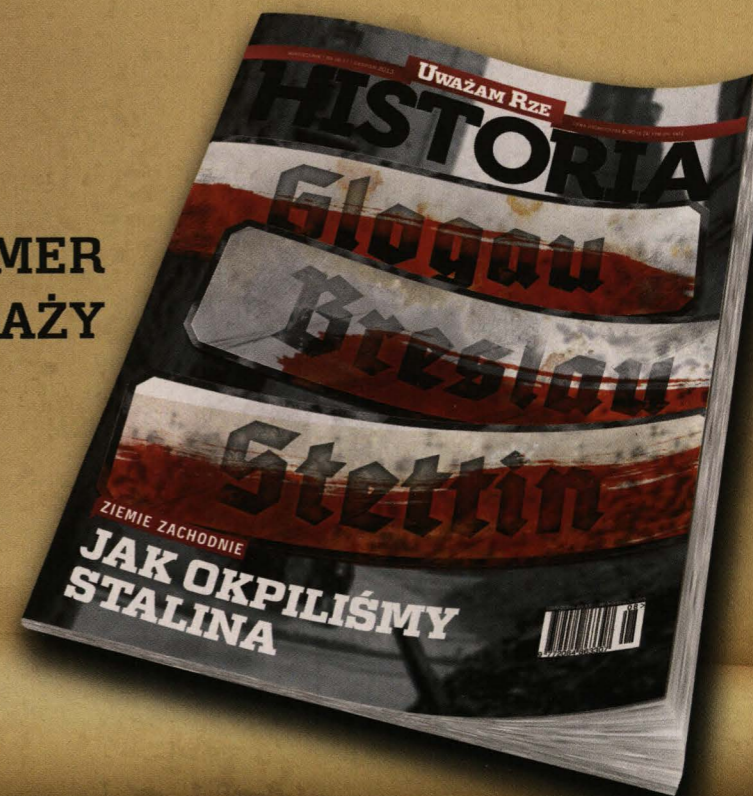
Powstanie Warszawskie wybuchło na wieść o zbliżaniu się Rosjan, ale gdzie oni naprawdę byli?

UKARANY JEDEN NA STU

Ruszyła ostatnia akcja chwywania hitlerowców. Rozmowa z Efraimem Zuroffem, szefem Centrum Wiesenthala.

KRAJ NA ŁUP WYDANY

Prof. Bogdan Musiał opowiada o największym w historii rabunku. Dokonali go Sowieci w 1945 r.



NOWY NUMER
W SPRZEDAŻY



Kociak tygodnia:
Janek. Model, didżej i entuzjasta marihuany, reprezentujący osiedle mieszkaniowe Targówek.
Fot. Sonia Szóstak



38 G D Y N I A
— F E S T I W A L
F I L M O W Y

9-14 | 09 | 2013



www.festiwalgdynia.pl

Producent Festiwalu,
Pomorska Fundacja Filmowa w Gdyni,
dziękuje za pomoc i współpracę
przy organizacji
38. Gdynia - Festiwal Filmowy
wymienionym instytucjom i firmom.

organizatorzy

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich



PREZYDENT
MIASTA
GDYNI



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

współorganizatorzy



sponsorzy główni



Bank Polski



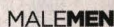
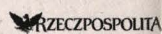
partner strategiczny



partnerzy główni



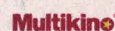
ogólnopolscy patroni medialni



lokalni patroni medialni



partnerzy



Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Współfinansowanie
Polski Instytut Sztuki Filmowej
Dofinansowano w ramach Programu
Narodowego Centrum Kultury